

Helena Sekuła

Ślad węża



Krysi, Wojtkom, Basi
z podziękowaniem za realia

1.

– Tak dalej być nie może!

Z klubu brydżowego wrócił bardzo wzburzony mąż. Nie powiedział nawet dobry wieczór. Staje w prześwicie do przykuchennego kąta Bogny, między regałem, dzielącym pomieszczenie, a ścianą.

A temu co się stało – przegrał mecz – Boże, akurat dzisiaj musiał zjawić się tak wcześniej – jakie wcześniej – dochodzi północ – niechaj nade mną nie wisi – niech idzie do siebie – dlaczego tkwi w przejściu.

– Co się stało? – odruchowo pyta Bogna, chociaż wie. Przeważnie to samo. Tylko pretensje, nigdy konkretne, nigdy dotykające sedna, wybuchają pozornie z różnych przyczyn.

Układ jest niezdrowy. Od dawna. Żyją obok siebie, w swoim dziwodomu. Wyczekują. Na co czeka Bogna? Już na nic. Czuje się stara. Roztrwoniła życie. Wymieniła na spokój, którego nie ma, i na mieszkanie, właściwie kąt w kuchni, odgradzony meblościanką. Jeden pokój należy do męża, drugi do córki. Co się rozumie samo przez się. Ulka musi mieć warunki do życia i nauki. Mąż musi mieć warunki do swojego brydża i odpoczynku po dniu pracy.

Odkąd pękła krucha nić porozumienia, ustała czułość nocy, mąż pozostał w ich pokoju. Nie jego wina. Mąż widzi zerwanie intymnych więzi w kategoriach przestępstwa i kary. Bogna zniszczyła wspólnotę, niech więc ponosi konsekwencje swojego czynu. I tak uważa siebie za bardzo szlachetnego, tolerując nienormalny układ. Oczywiście, gdyby nie dobro dziecka!

Ale z pokoju nie ruszy się nawet dla dobra dziecka. Jednak zajęcie przez Bognę kąta w kuchni, tak naturalnie, jakby nie istniała inna konfiguracja, przyjął z nieskrywaną urazą. Bogna ów podział uważa za oczywisty, jedynie możliwy i mimo wszystko czuje się winna.

Na co czeka mąż Bogny?

Na miłość Bogny, kocha ją jeszcze? Jego zachowanie o tym nie świadczy.

Jak długo można zabiegać o coś, czego nigdy nie było, nie ma i nie będzie? Jedno jest niezmiennie i on o tym wie. W sprawach ważnych można na Bognę liczyć. Bogna wie, w sprawach ważnych można na męża liczyć. Wzajemne wsparcie to dużo, zwłaszcza kiedy się nie ma niczego w zamian. W pewien sposób są sobie potrzebni. Żadna miłość.

Miłość jest bezinteresowna. Lojalność stanowi trwały element miłości. No, więc jest element, tylko nie ma reszty, zwłaszcza wspólnego życia ani w przenośni, ani dosłownie. Poza tym ważne momenty trafiają się, chwała Bogu, niezbyt często, a powszednie wydarzenia toczą codziennie, osiadają jak muł na ich związku-nie-związku. Więc oni wszystko, co drażliwe, splątane i bolące, opakowują w slogan: dla dobra dziecka! To pozwala nie myśleć, nie zastanawiać się i mieć o sobie dobre mniemanie.

– Co znowu za afera z Kociarą? – denerwuje się mąż.

Bogna, zamknięta w sobie jak małż, wciąż przeżywa niedawne zdarzenie.

– Nie ma lokatorki spod czterdziestego? – tłusty kurdupel bez płci i wieku przycałił się poniżej podestu. Dozorca.

Właśnie Bogna zdążyła zatrzaskać drzwi tego mieszkania. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona jego obecnością. Nie słyszała, gdy nadszedł, chociaż dobiegł szcęk windy z piętra wyżej. Widocznie stamtąd skradał się po schodach.

– Nie ma jej? – nie ustępował.

– Nie ma – Bogna schowała klucze do kieszeni.

– Mogę mieć brykę na sobotę. Pojedziem za miasto, odpoczniem, zabawim się.

Bognę, zajętą sobą i słuchającą byle zbyć, trochę zdziwiło, że o dziesiątej wieczorem pod cudzymi drzwiami dozorca zwierza się jej ze swoich projektów rekreacyjnych. Bogna z mężem mieszkają tutaj od kilku lat, ale dotychczas jej kontakty z dozorcą nie wyszły poza dzień dobry i zwyczajowy noworoczny bakczysz, który zresztą dawał mąż. Bogna czuła odrazę do tego człowieka, dozorca zajadłe tępił piwniczne koty i wojował z kocim lobby, któremu przewodziła emerytowana księgowa spod czterdziestego.

– Gdzie się spotykamy? – chciał wiedzieć dozorca.

Dopiero do niej dotarło. Wypad za miasto pożyczoną bryką nie jest opowieścią o rodzinnej sobocie ciecica, tylko konkretną propozycją wyrażoną dość kategorycznie.

– Na sądzie ostatecznym! A teraz proszę zejść mi z drogi – Bogna przełożyła koszyk na lewe przedramię, prawą ręką ujęła rondel, w którym zaniósła sąsiadce zupę, zdecydowana zdzielić zalotnika, ale odsunął się pod ścianę, dając jej przejście.

W domu puściły nerwy. Dygotały ręce, kiedy próbowała je czymś zająć. Czuła się znieważona już samym faktem, że ten prymityw śmiał mieć jakieś plany w związku z nią. Upokorzenie. Odraza. Niepokój.

Typ jest fatalny, dotychczas jednak nie słyszała, aby składał podobne oferty innym kobietom z bloku. Zrobiła przegląd różnych męskich zachowań względem siebie. Nawet jeśli było w niej coś prowokującego, skunks przez kilka lat nigdy nie zdobył się na podobne

awanse. Więc dlaczego właśnie teraz, co go aż tak ośmieliło?

A gdyby nie był kurduplem w nieokreślonym wieku z gromadą dzieci na karku, prymitywem mordującym koty, z aurą małego szpicla, gdyby zamiast kupy tłuszczu z brakami w uzębieniu, podobnie zachował się mężczyzna wyglądający jak mężczyzna i bardziej ucywilizowany, byłaby podobnie oburzona? – wtrąciła się druga Bogna, racjonalna, zawsze poszukująca istoty rzeczy. O zachowaniu tej kreatury nie wspomni mężowi, wie, jak by zareagował.

– Ty zawsze wpasujesz się w jakiś skandal. Sama jesteś winna, musiałaś dać powód. Nigdy się nie zdarzyło, aby zaczepiał inne kobiety – wyraziłby przekonanie mąż, chociaż inne kobiety z bloku mężowi Bogny raczej się nie zwierzają.

– Kogo podkarmiasz w domu przyjaciółki kotów?! – szaleje mąż.

– Koty.

– Ona nie ma domowego kota.

– Skąd wiesz, sprawdzałeś?

– Właśnie miałem zamiar to zrobić. Oddaj klucze od jej mieszkania.

– Dozorca! – olśniło Bognę. – Napuścił ciebie cieć!

– Nieważne. Klucze!!! Dawno przestało mi na tobie zależeć. Godziłem się na ten chory układ, ponieważ nie masz dokąd pójść, ale w tym środowisku uchodzimy za małżeństwo i twoje postępowanie uderza we mnie. Kompromituje!

– Nie zrobiłam nic naganego.

– Nie? A przetrzymywanie faceta piętro niżej uważasz za naturalne? I to ledwo właścicielka zdążyła przełożyć nogi za próg! A może za jej wiedzą, co?! Rajfura, stręczycielka! I teraz muszę obić gościowi mordę, chociaż wcale nie mam ochoty, ciebie wyrzucić z domu, Kociarze przestać się kłaniać, inaczej nie będę miał życia na osiedlu – ponuro bilansuje mąż.

– Opanuj się, nic nie będziesz musiał. Usiądź, wyjaśnię w czym rzecz.

– Przestań udawać zajączka! Klucze!

– Nie mogę dać kluczy. Zrozum. Przyrzekłam...

Mąż porywa torebkę Bogny wiszącą na kołku przytwierdzonym do boku regału, z braku innego miejsca wytrząsa zawartość na podłogę, toczą się drobiazgi, sąsiedzkich kluczy nie ma.

– Wyłamię zamki – z zimną furią cedzi mąż. Rzuca się do kuchennego aneksu izby, z szafki pod zlewozmywakiem porywa jakieś żelastwo, dopada klamki.

– Zostań, nie ośmieszaj się. To zemsta ciecia! Wszystko ci opowiem – błaga Bogna.

– Sam sobie opowiem – mąż z rozmachem otwiera drzwi i zderza się w progu z widmem. Widmo ma szczelnie zapakowaną w chirurgiczną gazę głowę i szyję, jak zza zakonnego kornetu widać tylko trójkąt twarzy koloru świeżej wątroby, krwawe wybroczyny na policzkach, szparki oczu spod opuchniętych sinych powiek.

– Zboczeniec! Pobił panią – mąż rozpoznaje we wskrzeszonej mumii Kociarę.

– Kto?!

– Jak to kto! Gość mojej żony.

– O czym on mówi? – ostrożnie dowiadyuje się przyjaciółka kotów.

– Nie o czym, tylko o kim. O facecie, którego trzymam u ciebie podczas twojej nieobecności, bardzo możliwe, że za twoją wiedzą, i któremu właśnie wybierał się nakłaść po twarzy.

– Zdaje się, przysłałam w porę.

– Ja z narażeniem opinii i świętego spokoju strzegę tajemnicy, ty urządzasz sobie spacer o północy.

– Właśnie diabli wzięli tajemnicę.

– Skunks?

– Skunks. Sadysta zaczął gmerać w zamku, pomyślałam, zaciął się rygiel i Bogna nie może odemknąć zasuw. Otworzyłam i on mnie sobie obejrzał.

– Co pan robi pod moimi drzwiami?! – pytam.

– Sprawdzalem, czy nie zakradli się złodzieje, ale co się pani stało?!

– Reakcja na pański widok.

– Co proszę? Wygląda pani jakby wpadła pani do kielbasiarki.

– Nie pytam pana jak wyglądam, ale jeśli jeszcze raz przyłapię na podsłuchiwanie, ma pan pozew sądowy pewny jak dół za cmentarnym płotem! Zmył się, mamrocząc: lokatorka rozgłasza wyjazd, a siedzi w mieszkaniu z podbitym limem i udaje nieobecność. Myślałem, ta od brydżysty ukrywa i karmi tu jakiegoś menela, bo brydżysty nigdy nie ma w domu.

– Powiecie wreszcie, co się tu dzieje?!

– Nic. Dałam sobie zrobić zabieg kosmetyczny i nie chciałam, aby mnie oglądano, póki się nie wygoi. Sam pan widzi, nie ma czym szpanować, więc rozgłosiłam, że wyjeżdżam, a skoro mnie nie było, nikomu nie mogłam otwierać. Proste?

– Ona jest beznadziejna – mąż wytyka Bognę palcem.

– Mam imię, wiesz? – mruczy Bogna i zaczyna rozumieć bezczelność Skunksa. Jeśli mogła przechowywać faceta w mieszkaniu sąsiadki, równie dobrze powinna zgodzić się na niego, nie jest gorszy od innych.

– Ona jest beznadziejna. Zawsze wpakuje się w jakiś fantastyczny skandal, który nigdy nie przydarza się normalnym ludziom. Ma blisko czterdzieści lat – postarza Bognę mąż – a zachowuje się jak niedorozwinięte dziecko – mąż wypomina Bognie lata takim tonem, jakby wiek był większym obciążeniem niż nieumiejętność czy brak przewidywania.

– Trzydzieści pięć – z godnością prostuje Bogna.

– Kłóćcie się szeptem – radzi zaspany podlotek na bocianich nogach. Ulka pojawiła się w drzwiach i ziewa rozdzierająco.

2.

– Musimy przesunąć akcenty... – zaferowany Magister podawał Bognie zagryzmołoną kartkę, z której musiała odgadnąć ulepszoną koncepcję właśnie wykańczanej planszy.

Dodać, ująć, przerobić, a najlepiej wyrzucić – niemo złościła się Bogna, przytwierdzając samoprzylepną taśmą świstek ze zreformowanym pomysłem do styropianowej tablicy, zawieszanej w tym celu na ścianie. Roiły się na niej karteluszeki i za byle powiewem trzepotały, szeleszcząc nad głową, migotając kolorami jak egzotyczne motyle.

Bogna przypinała do rajzbretu świeży arkusz kalki technicznej albo szykowała brystol na sztalugach. Nauczona doświadczeniem niespiesznie wybierała grafion, kredkę lub plakatówkę, przewidując odwlekając rozpoczęcie udoskonalonej wersji projektu.

Pierwszy magister słał drugiego magistra, który uzupełniał, za nimi wpadał trzeci z dodatkowymi poprawkami. Wreszcie, jak jej się zdawało, znalazła na nich sposób. Nie zaczynała rysunku, czekając, aż im się znudzi wymyślanie kolejnych zmian, lecz inwencja magistrów była niewyczerpana i zdarzało się, wywracali na nice gotową już pracę. Jeśli zbyt opóźniała działanie, magistrzy stawali się nerwowi, spłoszeni i nieszczęśliwi, padał na nich cień adiunkta i sięgał do kąta Bogny, nazywanego stanowiskiem plastycznym.

– ...Narzuca własny punkt widzenia... żeby powiedział od razu, czego chce, nie byłoby poprawek... uczy myśleć... Nie znosi, jeśli się coś robi pod niego... lizusa wyczuje jak jamnik kreta... najoryginalniejszy temat, jeśli nie on sam wymyśli, utrupi... nie utrupi... właśnie że utrupi... a właśnie nie utrupi, moja praca przeszła... Ma męczący rodzaj intelektu... – Czy dobrze czy źle, wciąż mówili o adiunkcie obecnym wśród tego klanu przez cały dzień, bez

względu na fakt, gdzie się akurat znajdował fizycznie. Wyzwalał różne emocje, nigdy obojętność.

Wyraźnie był osobowością, sądząc z półsłówek docierających do Bogny: tyran, intelektualista, stupajka, wielka wyobraźnia twórcza, wymagający, satrapa, dyscyplinujący myślenie.

– Oni mi ciebie wmówili – powiedziała kiedyś później i nie był to zupełny żart.

Z tego wmówienia zaczęła spoglądać na uciążliwości własnej pracy z większym zrozumieniem. Widocznie magistry powinni knocić projekty plansz i rysunków, widocznie knocenie należało do edukacji i w ogóle. Tak się dochodzi do samodzielnego rozumowania. Uczony najczęściej już po zbudowaniu koncepcji dostrzega, że można coś jeszcze dodać, ująć albo zacząć od nowa, natomiast adiunkt poza wszystkim ma jeszcze męczący styl pracy. Rzuca odkrywczą myśl albo ulepsza odkrywczą myśl, albo wymienia jedną odkrywczą myśl na bardziej odkrywczą myśl, kiedy materialne następstwa, czyli opracowania, zmierzają ku finałowi lub właśnie zostały zakończone.

Przez pierwsze kilka miesięcy Bogna widywała adiunkta rzadko i z daleka. Średnio rosły kudłacz mijał ją na korytarzu w tempie zawodnika ćwiczącego marszobiegę, może nawet zauważył Bognę (co jednak nie jest pewne), lecz zawsze jakiś adept z terminujących w Instytucie okazywał się bardziej łakomą zdobyczą.

– Proszę do mnie, kolego.

Bez przystawania zagarniał ramieniem przypadkowo zaplątanego w strefę grawitacji i tyle ich Bogna widziała, po wszystkich zasłyszaniach ciekawa osobnika, który był pierwszym po Bogu wśród kadry, jeśli za Absolut uznać profesora.

Z początku magistry jawili się Bognie jako monolit nieznośnych gamoni, następnie jako gromada niezgulów wciąż zapominających coś dodać, ująć, albo przeinaczyć w beznadziejnie monotonicznych schematach.

Nie zawsze były to wykresy, czyli słupki, słupy, kostki albo barwne plamy, koła początkowane na nierówne kawałki, nie zawsze figury geometryczne. Zlecano jej również rysunki na określony temat. Kanciaste ludziki, zwierzęta, martwe natury.

I wówczas miała co poprawiać, przerabiać albo zaczynać od nowa. Oko ryby, płetwę, w ogóle całą rybę, zamiast której lepsza okazywała się ośmiornica. Bogna otrzymywała dorobiaszowe wskazówki, jak taka stwora ma wyglądać, ponieważ nie była to zwyczajna ryba tylko ćwiczenie na przykład z socjotechniki.

Magistry długo pozostawali magmą rozciągniętych swetrów i sfatygowanych dzinsów. Następnie rozwarstwili się na: kudłato-brodatych, tylko brodatych z powodu

skąpego uwłosienia głowy, łysych i kudłaczy gładkoszczękich. Jeszcze później okazało się, że mają różne twarze i postury, w ogóle są odrębnymi osobnikami, i wcale ich tak dużo nie ma. Podlegali adiunktowi, prowadzącemu prace badawcze, mieli w perspektywie doktoraty, firmowane przez szefa Instytutu, który poza podpisem na dyplomach wyręczał się adiunktem, zwracając się do niego per panie profesorze, podobnie jak i doktoranci in spe.

– Od dawna mógłby być profesorem belwederskim. Mianowanym przez Prezydenta. Oczywiście na wniosek kapituły Rady Naukowej.

– A szef jest belwederski?

– Oczywiście, jakżeby inaczej! Zwyczajni nauczyciele akademicy, kurtuazyjnie nazywani profesorami, nie zostają szefami samodzielnych placówek naukowych o takiej randze jak nasz Instytut.

– Eee! W naszym kraju...

– Przynajmniej u nas tylny nigdy nie był szefem.

– Tylny?

– To właśnie taki jak adiunkt, bez błogosławieństwa kapituły i prezydenckiej nominacji. Pomyśleć tylko, w głowie się nie mieści, marnują faceta, którego iloraz inteligencji jest wyższy niż niektórych dwóch profesorów razem wziętych. Z całego grona pedagogicznego tylko on jeden należy do Mensy, wiesz, co to takiego?

– Stowarzyszenie najwyższych ilorazów.

Wolną chwilą wprowadzała Bognę w realia i atmosferę placówki sekretarka szefa, znajoma Magdaleny zaprzyjaźnionej z Bogną, dzięki której Bogna trafiła do Instytutu.

– Dlaczego adiunkt nie został belwederskim? – Bogna chętnie podtrzymała rozmowę.

– Hardy. Własne zdanie i w ogóle. Niezależny i uparty jak, jak... kot! Wiem co mówię, upór osła to małe miki w porównaniu z nieustępliwością i dumą kota.

– Ludzie nie lubią niezależnych.

Miernoty nie lubią, zdolni lubią, chociaż mają respekt. Przy nim nie popróżniają, ale o swoich uczniów dba. Najpierw wywalczył bufet, żeby mogli na miejscu zjeść coś gorącego, później kabinę odnowy biologicznej i kawałek piwnic na siłownię i ćwiczenia gimnastyczne. Z początku profesor nie chciał słyszeć. Stale to samo. Pieniądze. Adiunkt uparty, skakał profesorowi do oczu. Nieraz słyszałam, chociaż drzwi obite poduchami.

– Produkuje nie tyle socjologów co inwalidów, ludzi fizycznie scherlałych – twierdził adiunkt.

– Tylko bez demagogii, panie kolego, bez wiecowych chwytów – denerwował się profesor.

- Ja to panu udowodnię.
- Trzymam za słowo – wycedził profesor.

Adiunkt dopilnował, doktoranci stawili się na okresowe badania lekarskie, później wysypał profesorowi na biurko rozpoznania: skrzywione łopatki, zagrożone kręgosłupy, wadliwe postawy, znalazł się i wrzód żołądka. Profesor nie wierzył, że tej reprezentacji przypadków z encyklopedii medycznej podopieczni nabawili się dopiero w Jego instytucji, ale skapitulował. Adaptowano część pomieszczeń piwnicznych. Wszyscy pomagali w pracach prostych. Najwięcej adiunkt ze swoimi inwalidami. Teraz bardzo sobie chwala. Kompleks gimnastyczny nazywają Adamianum, od imienia adiunkta – opowiadała sekretarka.

- A jego samego, słyszałam, *homo satrapiens*.
- Celne. Ale trafia do niego argumentacja krótka i jasna.
- Nie miałam okazji sprawdzić. Widziałam człowieka kilka razy, przeleciał jak poduszkowiec i znikł.
- Wiem. Cześć, koleżanko! – funduje przednią łapę i już go nie ma. Nie zdarzyło się powiedzieć którejś z nas, że ładnie wygląda, czy zauważyć modną sukienkę lub uczesanie. W tej dziedzinie kompletny dinozaur.

- Nie ma ideałów. Czy mnie przypisano do jego grupy?
- Formalnie, jak wszystko żywe i nieożywione w tej instytucji, należysz do profesora, jednak kontakt z szefem wyłącznie przez adiunkta.
- Jakież mogę mieć sprawy do profesora? Ale czy to oznacza, że mogę wyrzucić za drzwi magistrów?
- Nie możesz. Dla nich zostałaś wymyślona. Przez adiunkta.
- Musiał ten swój iloraz nie lada wysilić. Nie kwestionował mojej płci?
- Pewno nie zauważył.
- Nie wiesz, po co mu żywa rysownicza, skoro w każdym kącie elektronika zdolna wykonać to samo, tylko precyzyjniej?

- Może właśnie dlatego, że żywa. Nie masz innych zmartwień?

Bogna ma, ale o nich niezręcznie mówić. Otrzymuje połowę spodziewanego wynagrodzenia. Nie jest pracownikiem etatowym, tylko na zleceniach. Płacą za dzieło bardzo skromnie. Dzieło musi uzyskać akceptację, czyli podpis, zleceniodawcy, w jej przypadku profesora. W imieniu profesora autograf składa adiunkt, onże sygnuje owe wykresy i ilustracje załączone do korony intelektualnych zmagania magistrów, na koniec wszystko zatwierdza Rada Instytutu. Rysunki, nie dokończone na skutek nagłych zmian koncepcji lub nie dające się adaptować do zupełnie nowych koncepcji, które powstały, zanim Bogna

ukończyła zamówione prace, zalegają ką plastyczny i nikogo nie obchodzą.

Bogna nie umie upominać się o swoje, tym bardziej, że w umowie żaden paragraf nie ma odniesienia do podobnej sytuacji. Nie z jej winy zdeaktualizowane plansze wyrzuca i stara się ograniczyć szkody. Jednak tych zaniechanych prac przybywa. Powtórki zabierają czas. Dzień zajęć w Instytucie wydłuża się, dochód pozostaje niezmienny. Mimo to Bogna nie może zrezygnować. Pieniądze z Instytutu uzupełniają wpływy z dekorowania wystaw, łącznie umożliwiając względną finansową niezależność.

Decyduje patent uczelni plus legitymacja związku twórczego. Talent bez dyplomu lub przypisania do jakiegoś stada – przynajmniej twórców nieprofesjonalnych oszańcowanych nie mniej od zawodowców – rzadko osiąga płacę zgodną z umiejętnościami. Bogna, bez cenzusu i przynależności, nie ma wyboru.

Coraz częściej dogania dnie wieczorami. Wieczorny Instytut sprzyja pracy. Korytarze są ciche i puste. Tylko w portierni drzemie albo gra w szachy z kierowcą woźny, po pracowniach siedzą tu i ówdzie najzaciętsze mole, ale nie wpada do kąta Bogny ani jeden kudłacz z najpilniejszym na świecie zleceniem opatrzonym cyfrą adiunkta oznaczającą: pilne.

Bogna znajduje nawet chwilę, żeby odetchnąć, posiedzieć w odprężającym niemyśleniu. Na takim niemyśleniu, wyciągniętą w fotelu z nogami wspartymi o rajzbret, zaskakuje ją adiunkt.

– Koleżanko, proszę...

Bognę paraliżuje skrępowanie. Zaprezentowała się wiceszefowi fatalnie. Próżniak, udający ciężko zajętego, rozwalający się w wyściełanym meblu zabranym z sali konferencyjnej. Ta ocena wywołuje reakcję łańcuchową. Czuje falę ciepła na policzkach, co pogłębia zmieszanie i znosi dystans do własnych odczuć. Pozostaje Bogna pępek świata, z pewnością niewłaściwie oceniony na skutek pozorów. Do tego rumieniec. W wieku trzydziestu pięciu lat. Katastrofa! Bogna coś duka, uznaje, że głupio, owe stwierdzenie do reszty obezwładnia swadę, ale przynajmniej dociera, po co osobiście fatygował się adiunkt.

Jeden z jego kudłaczy właśnie zalał kawą kartkę swojej bezcennej pracy i trzeba ją przepisać na prawie już muzealnym urządzeniu, zwyczajnej maszynie do pisania. Akurat żadnej instytutowej pani nie ma na miejscu, czy Bogna będzie uprzejma?

Adiunkt zdaje się żywić przekonanie, że umiejętność posługiwania się tym wykopaliskowym urządzeniem jest endemiczną właściwością kobiet.

Bogna będzie uprzejma.

– Przyślę delikwenta. Podyktuje.

– Nie mam wprawy w pisaniu pod dyktando – tłumaczy się Bogna jak z przestępstwa.

Samodzielnie wskrzesza stronnicę i odnosi adiunktowi. Zostaje poczęstowana kawą. Później, gdy wychodzi z Instytutu, pan Józio na jej widok zostawia nierozegraną partię.

– Jedziemy! – i na zdziwione spojrzenie Bogny: – Szef kazał panią wpisać na listę.

Od tej pory, podobnie jak pracownicy naukowcy, może skorzystać ze służbowego samochodu. Zwłaszcza wieczorem, czasami adiunkt, zanim zatelefonuje po auto, zawiadamia Bognę i zabierają się razem, nieraz dołącza któryś z kudłaczy. Zawsze jednak, nawet jeśli wóz jest pełen ludzi, najpierw odwożą Bognę, wyjątek robią, gdy nadarzy się bibliotekarka, osoba znacznie starsza od Bogny.

Adiunkt nabrał zwyczaju zaglądania do pracowni plastycznej. Nie za często i nie zawsze z konkretnego powodu. Wstąpi, wygłosi zwięzły monolog, Bogna przeważnie inteligentnie milczy i właściwie czuje ulgę, kiedy kończą się te, krótkie zresztą, odwiedziny. Ale zanim wejdzie wieczorem do Instytutu, spogląda ku górze budynku, czy świeci się w pierwszym oknie na piętrze, przy występie frontonu. I coraz częściej, jeśli tylko pozwalają terminy, odkłada zajęcia na popołudnie. Nie, nie z powodu tego oświetlonego okna. Skądże! Po prostu jej znacznie lepiej się o tej porze pracuje...

Nie wiadomo, kiedy zaczyna na niego czekać. Z początku bezwiednie nasłuchuje odgłosu szybkich kroków na schodach usytuowanych w pobliżu jej pracowni. Jeśli nie przychodzi, nie odczuwa zawodu, tylko schyłek dnia robi się jakiś szary i czegoś w nim coraz bardziej brakuje. Gdy uświadamia sobie tę nową jakość, wpada w lekką panikę.

Nic groźnego – zbyt mnie onieśmiela – paraliżująco – bariera nie do pokonania – przecież się nie zadurzę jak uczennica – mamy swoje lata – nie jesteśmy wolni – nie – nie chcę takiej pokątnej miłości – nie będzie pokątnej miłości.

W kraju zdążył się zmienić sejm i rząd zanim Kolegium Finansowe – dokąd sekretariat przesłał notatkę, dotyczącą odrzuconych prac plastycznych – wypowiedziało się na piśmie w sprawie pieniędzy w ogóle, a nieprzydatnych ilustracji w szczególności i odwołało do opinii adiunkta, oczywiście na piśmie, sygnatura, dziennik podawczy, i tak dalej.

– Proszę o nie zakwalifikowane prace – zagląda wieczorem adiunkt.

Bogna ciska w kąt poplamiony farbami kitel, który wprawdzie chroni ubranie, ale też ukrywa największy atut Bogny, piękną figurę. Wyciąga tekę z odrzutami.

– To wszystko?

– Z ostatniego okresu. Wcześniejsze niszczyłam. Brakuje miejsca na dłuższe przechowywanie – mówi niezupełnie z sensem, w tej samej tece zmieściłaby wszystkie odrzuty.

Bogna stara się być rzeczowa i opanowana. Lecz wciąż jeszcze odczuwa treść,

wywołaną przez obecność tego mężczyzny. Wbrew pozorom nieśmiała, od dawna potrafi to mniej lub bardziej zręcznie ukryć, w końcu nie jest podlotkiem, a mężczyźni w większości bywają jej sprzymierzeńcami. Adiunkt także; traktuje ją życzliwie, dlaczego ona nie potrafi się z nim oswoić i zachowywać naturalnie?

W tym budynku, warunkach, zależnościach on urasta na olbrzyma. A jest to zwykły, no!, może nie tak zupełnie zwykły, doktor socjologii, adiunkt, nauczyciel akademicki, niewątpliwie utalentowany, kudłaty jak większość jego wychowanków, tylko niedbale ostrzyżony, jedynie w ździebko mniej rozciągniętym swetrze niż jego podopieczni, ale w tandetnych niedopasowanych dżinsach ze Stambułu, fatalnie skracających nogi – wyjaśnia sobie Bogna, sprowadzając tę niezwykłość do ludzkiego formatu i bez zastanowienia robi coś zupełnie niestosownego. Przymykając jedno oko, odmierza kciukiem proporcje na pędzelku trzymanym w ręku.

– Miara do portretu? – uśmiecha się adiunkt.

– Tylko studium głowy – gubi się Bogna.

– Nie nadaję się na model w całości, dlaczego pani tak sądzi?

– Ta konfekcja... – usiłuje wybrnąć Bogna.

– Mogę wystąpić w todze, chce pani? Rozumiem! Akt... Pozwoli pani, że propozycję przemyszę. Akt jako określenie kondycji naukowca i wychowawcy następców.

– Pan mnie onieśmiela. Dlatego jestem taka niezręczna – przyznaje się Bogna.

– przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru – patrzy na nią z uśmiechem. Głęboko osadzone oczy, wydatne kości jarzmowe i brwi schodzące się u nasady nosa sprawiają wrażenie, że uśmiechają się tylko usta, reszta twarzy zachowuje swój zwykły, mroczny wyraz.

Dlaczego tak na mnie patrzy, pewno uważa że bluzka ma za duże wycięcie – peszy się Bogna i nagle czuje się okropnie wydekoltowana. Wykręty. Samej przed sobą. Wcale nie chodzi o bluzkę, sprawa jest poważna. Spogląda w tamte mroczne oczy, czuje jakby od nich biegł promień do jej oczu. Trwa chwilę, mniej, ułamek chwili – ale Bogna już wie, co się im wydarzyło.

– Obiecano kawę – upomina się adiunkt. Jego uśmiech obejmuje całą twarz. On także wie, co się im wydarzyło.

3.

Ulka wypływa z głębin snu. Zatrzymuje się pod powierzchnią. Marzy jej się przezroczyście lustro wody, z tym wrażeniem wynurza się na krawędź jawy. Jest nad wielkim Jeziorem. Jeśli wieje wiatr, nie wychodząc z domu można słyszeć grzywacze chluszczące o nasadę moreny.

Jestem u babki.

– Bardzo się o ciebie niepokoiłam – wpadła w ramiona Marty, oczekującej na przystanku. – Dlaczego nie telefonowałaś?

– Próbowałam. Nic z tego. Na linii niemożność absolutna.

Ulka miała przyjechać porannym autobusem, ale nie przyjechała. Marta w nerwach spędziła pół dnia.

Samą wysłali – za młoda na nocne podróże – zawsze ją ojciec przywoził – mógł jeszcze i w tym roku – niespokojnie na drogach – ocal Boże od złego przypadku – benzyna droga – muszą oszczędzać – jednak Bogna powinna dzieciakowi towarzyszyć.

Brakuje zgrania między dalekobieźną trakcją a połączeniem lokalnym z Sarnią. Wprawdzie dworzec autobusowy w Suwałkach nareszcie przeniesiono w pobliże kolejowego, ale pociąg się spóźnił i Ulka nie zdążyła na pierwszy autobus. Do południa na tej trasie kursy są dwa, obsługują ją kierowcy znani Marcie od dziecka.

– Mówiłam pani doktor, warszawski pośpieszny nie przybył na czas, wnuczkę przywiozę następnym rejsem.

Szofer wysiadł, z bagażnika w podbrzuszu pojazdu wydobył plecak Ulki, pomógł umocować na rowerze Marty.

– Do widzenia, pani doktor – uniósł dłoń do czapki i wrócił do kabiny wozu.

– Już trzecie pokolenie mi doktoruje. Przestałam prostować. Beznadziejne. Dzieci słyszą od starszych i tak dziedziczą – jak co roku tłumaczyła się Marta, patrząc na mgiełkę po autobusie.

– Nikomu nie szkodzi – Ulka chwyciła rowerowe rączki. Skręciły w leśną drogę, wysokopiennie jodły, stykające się nad duktem koronami, zamykały zielony łuk. Ulka poddała się wrażeniu, że kroczy nawą wielkiej świątyni.

– Ten patent mnie się nie należy.

– Masz absolutorium i wieloletnią praktykę, sam dyplom to poniekąd papier.

– Klucz do zawodu, moje dziecko.

– Sama mówiłaś, samouk, którego tu zastałaś, wiedział więcej od ciebie o leczeniu zwierząt, chociaż był analfabeta, a ty po studiach zaocznych.

Taka rozmowa powtarzała się w każde wakacje, zaraz po pierwszym doktorowaniu babce w obecności Ulki. Upewniała Martę, że z upływem czasu reakcja wnuczki na ów honorowy tytuł pozostaje niezmienna.

– To były wieczorowe zajęcia z okrojonym i przyśpieszonym programem. Brakowało kadry we wszystkich zawodach, wymordowanej, rozproszonej po emigracjach, obozach, zmobilizowanej. Gdy tylko wojna przeniosła się dalej, ustanawiano takie szkoły, dwa lata zaliczano w rok. A on, ten zielarz, niezupełnie był analfabeta, umiał się podpisać i czytać drukowane.

– Fantastyczne! Ile jeszcze osób umiało czytać drukowane?

– Ze starszego pokolenia niewiele, i najlepiej z kantyczki.

– I we wsi był jeden rower, jedno radio tranzystorowe... – bierze udział Ulka w znanej od zawsze opowieści, jakby ją musiała odnawiać, żeby się nie zatarła.

– Radio na kryształek – prostuje babka.

– ...ludzie chorowali na kołtun, znachor od zwierząt był na noże ze znachorką od ludzi, ponieważ nie tylko kurował żywy inwentarz, ale także podbierał jej pacjentów... Wierzyć się nie chce!

– Tak było. A chociaż od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat i odchodzą generacje, w zbiorowym doświadczeniu pozostał zapis tamtej biedy i cywilizacyjnego zapóźnienia. Nieszczęście, że znowu nadciąga niedostatek, może i gorszy od tamtego, ponieważ ludzie są światlejsi, więcej rozumieją i więcej chcą.

Martę ogólnie szanują. Wciąż jest w Sarniej Kimś, chociaż już od kilku lat na emeryturze. Ludzie tutaj z dobrą pamięcią, nie zapominają ani złego, ani dobrego, nie zapominają przekazu pokoleń minionych.

Marta przez pół wieku dbała o ich zwierzęta, nierzadko świadczyła ludziom. Nie zawsze mieli w Sarniej auta – przeważnie ciężko wypracowane za niemiecką granicą – pekaes też nie zatrzymywał się na asfalcie za lasem. Nie docierał tutaj żaden autobus, ponieważ nie było asfaltu. Najbliższa, teoretycznie regularna, komunikacja zaczynała się dwadzieścia pięć kilometrów za Sarnią, od Suwałk dzieliło ponad trzydzieści pięć z okładem.

Chorych woziło się wozem w drabinki wymoszczone półkoszkami, w konie pod duhą albo saniami, lecz kiedyś, kiedy istniały jeszcze prawdziwe zimy – bywało, puchu nasypie równo z kominami – Sarnią odcinało od świata. I Marta pomagała cierpiącym według sumienia i umiejętności, a oprócz niezliczonych miotów cieląt, prosiąt, jagniąt i źrebaków,

wielu dzieciom w Sarniej szczęśliwie zawiązała pęпки.

– Ciekawe, kiedy się pokaże? – przystanęła, nasłuchując, Marta, ale brzmiał tylko tryl kosa i perkusja dzięcioła.

– Kto?

– Płowy.

– Myślałam, że pozostał w domu.

– Oczywiście pozostał.

Płowy, kundel postury basiora, przypominał szkielet obciążony sparszywiałą skórą, gdy kilka lat temu przywłókł się z lasu i legł na siedlisku Marty. Miał przestrzeloną nogę. Z wycieńczenia nie mógł już wstać, tylko wyszczerzył się z rozpacz, bezsilności i urazy do człowieka. Musiał srogo doświadczyć od tego gatunku.

Marta rozpoczęła ratunek od napojenia ciepłym mlekiem. Odkarmiony i wykurowany, z czasem raz jeszcze zaufał dwunogiemu, przywiązał się do Marty jak tylko pies potrafi. Ostała mu się chroma łapa po brenece i paniczna reakcja na odgłos strzału, ale owe śmiertelne niemal doświadczenie nie odmieniło natury. Pozostał leśnym żulem, zbójem i kłusownikiem.

– Płowy nie idzie, Płowy zostaje – zapowiadała Marta, wychodząc z domu. Obwisły uszy, klęśły boki, opadał łeb na przednie łapy – jasnożółte oczy przygasaly ze smutku, u stóp Marty leżał najciężej skrzywdzony, najnieszczęśliwszy na świecie czworonóg. Jeszcze tylko nikły płas ogona objawiał szczątek nadziei.

Z niesprawną kończyną nie był już groźny dla wolno żyjących stworzeń, ale głośnym zachowaniem płoszył i przerażał, zwłaszcza wiosną, młode. Dopiero gdy się szło w Puszcę z Płowym, widziało się i słyszało, jak bardzo jest zamieszkała.

Marta odchodziła, ogon nieruchomiał, nieporuszony pies pozostawał na miejscu powalony bezlitosnym zakazem. Gdy znikala z pola widzenia, szorując brzuchem po trawie, czołgał się na ugiętych nogach, wlokąc jak płetwę okaleczoną. Prędko odkryty i odsyłany z powrotem, po kilku niepowodzeniach zmienił postępowanie. Ruszał za Martą, gdy już nie mogła go widzieć i towarzyszył jej, przekradając się w pobliżu za osłoną podszytu cichy i niewidzialny. Długo o tym nie wiedziała.

– Przyłapałam za jałowcami dopiero niedawno, zbierając pierwsze poziomki. Było parno, słyszę, coś zieję po psiemu. Pomyślałam, złudzenie. Aż zobaczyłam go znienacka. Biedny inwalida uwłóczył się za mną po lesie. Niewiarygodne, jakie instynkty powściągał ten wagabunda, zbój i kłusownik, wyraźnie przyuczony przez jakiegoś bandytę do wypłaszania zwierzyny. Od tej pory tak chadzamy, ja udaję, że nie wiem, a on się ujawnia dopiero przed opłotkami.

Płowy – wagabunda – zbój – kłusownik – przecież tak do niego i o nim często mówią. Wszystkie znane imiona na raz, to już ponad wytrzymałość nawet tak przebiegłego czworonoga i na drogę wytoczyło się, zmiatając chromą łapą, psisko wielkości jednodniowego cielaka. Z niegodnym, szczenięcym piskiem przypadło do Ulki, wspięło się, omiotło jęzorem twarz dziewczyny i zaraz stanęło na wszystkie trzy zdrowe nogi. Wlepiając w nią jasnożółte ślepie, uruchomiło ogon.

Chodź do lasu, pomożesz złapać te szybkie zwierzęta.

– Beznadziejny nałogowcu, mało ci jednej breneki – małodusznie wypominała Ulka.

Zmrużył swoje wilcze patrzaki, kłapnął na coś skrzydlatego w powietrzu i jak gdyby nigdy nic, dalej namawiał Ulkę do kłusowania.

Babka przejęła rower z rąk Ulki.

– Prowadź dziecko do domu! – zburzyła kalkulację Płowego i pies jak dawniej, gdy Ulka była zupełnie mała i trzeba ją było stale pilnować, chwycił zębami brzeg kurtki dziewczyny. Człapał obok karnie, nie wyprzedzał, mężnie znosząc wabiące zapachy zwierząt buszujących gdzieś w pobliżu.

Dopiero przy końcu duktury wystrzelił do przodu i z wielkim ujadaniem oznajmił przybycie swego stada.

Ulka znowu się zdziwiła, jak zmałał dom babki od ubiegłych wakacji w porównaniu z tym noszonym w pamięci, lecz o upływie lat najbardziej świadczyły modrzewie w głębi siedliska na skarpie, sadzone ręką Marty.

Ulka budzi się wreszcie na dobre i siada na tapczanie.

– Dzień dobry, przodkowie – składa ukłon portretom na przeciwległej ścianie. W izbie oddanej w pacht Ulce wiszą podobizny nieżyjących członków rodziny, w pokoju babki fotografie Bogny, Ulki i siostry Marty, Karoliny.

W wąskich, ciemnych ramach z polerowanego drewna, obwiedzionych we wgłębieniu złotą żyłką, za szkłem, w owalnych wycięciach kremowych passe-partout z grubo tłoczonego kartonu, trwają twarze zatrzymane na zawsze w czasie dawno minionym.

Kiedyś Ulka dwojga z nich się bała. W niepojęty sposób wodziły za człowiekiem oczyma. A jeśli człowiek ledwo odrósł od ziemi, nic przyjemnego taka niesamowita obserwacja. I Marta na czas pobytu Ulki zabierała Przodków do siebie.

Od dawna już się nie boi, para o niepokojącym spojrzeniu to rodzice babki Marty i jej siostry Karoliny. Dla Ulki po dwakroć para. Następna podobizna przedstawia bardzo młodą dziewczynę w ślubnym stroju i młodego mężczyznę. Ewę, jedyną córkę babki, i jej męża. Na

ostatniej jest dziadek. Nigdy za jego życia nie widziany przez Ulkę. Osobnik spokojny, nie wodzący oczyma za ludźmi. Ulka uznała go za swojego stronnika przeciw tamtej parze, podpatrującej, i nazywała po imieniu.

– Henryka zostaw – broniła zaprzyjaźnionego i babka zabierała tylko wodzących. Henryk zostawał. Poza tym nie stanowił przedmiotu większego zainteresowania, tym bardziej, że tej jakby zetłalej pamięci o nim ledwo starczało na Sarnią. Poza domem babki Marty niknął w zapomnieniu.

Ulka nieduża nie miała żadnych zastrzeżeń do wyglądu Henryka, Ulka większa zauważyła jego młodzieńczy wiek, stanowczo niestosowny dla dziadka.

– Poległ – wyjaśniła babka. I nic więcej nie dodała do tego jednego słowa.

Jeśli poległ, znaczy zabili na wojnie. Żadna różnica, na której.

Numerowanie: pierwsza, druga, wydawało się pozbawione sensu, skoro wszystkie wojny, skąd nie powrócili różni młodzi dziadkowie, działy się na długo przed Ulki zaistnieniem, czyli w prehistorii. I w ogóle ów za młody, poległy dziadek był jakiś wielce spóźniony. Dziadkowie koleżanek sprawiali wrażenie normalnych dziadków, a jeśli nawet, zdarzało się, opuszczali świat na zawsze, to nie jako polegli, tylko na zawał albo inną chorobę, niekiedy z powodu wypadku samochodowego.

– Przypadł ci w udziale dziadek z dawniejszej generacji. Żaden problem. A teraz idź i zajmij się Płowym – kiedyś wyrzuciła Ulkę do ogrodu zniecierpliwiona ciotka Karolina, warszawska siostra babki.

Karolina z mężem prowadzą wytwórnię pojemników ogrodniczych, doniczek z plastyku i ceramiki. Córka ciotki, Anka, po skończeniu stomatologii wyszła za mąż za kolegę ze starszego roku z licencją chirurga szczękowego.

Karolinowie – tak przewał starszych mąż Bogny – w prezencie ślubnym podarowali młodemu gabinet dentystyczny, a oni prędko dorobili się opinii bardzo dobrych specjalistów. Z czasem bycie pacjentem Karolinów – w niewyjaśnionych okolicznościach złośliwość męża Bogny, wydostała się na szersze forum, przylgnęła do drugiego pokolenia i zaczęła żyć własnym, pozbawionym jadu życiem – stało się synonimem nie tylko najwyższego standardu, ale także rodzajem nobilitacji i snobizmu.

Bardzo wytwornie było i nadal jest posiadać swoją kartę leczenia u Karolinów. Maskowano tam szczyby w uśmiechu, zasadzano zupełnie nowe, nieużywane trzony i siekacze schyłkowej kaście ancient régime'u. Z odpływem wysadzonych z siodła niesłusznych, miejsca obsadzili słuszni, którzy także pragnęli kosztownych wszczepów i łudzaco prawdziwych sztucznych zębów, za co, jak i za niesłusznego systemu, płaciło

państwo, właśnie przez słusznych podobno naprawione i wolne.

Kuzynka Anka z własnej inicjatywy zadbała o zęby rodziny. Założyła kartotekę Bognie, jej mężowi i Ulce. Świadczyła kunsztem, najnowocześniejszą techniką i najlepszymi materiałami. Za materiały mąż Bogny uparł się zwracać koszta.

Poza tymi wizytami Bogna z Ulką bywały u Karolinów niezbyt często. W okolicach Nowego Roku, Świąt Wielkiejnocy i imienin, zawsze w Wigilię, ponieważ mąż Bogny przeważnie wtedy wyjeżdżał na kolejny, najważniejszy mecz brydżowy. Zdarzało się, że któryś z mężczyzn rodziny przywoził Martę i zaprzyjaźnionego z nią emerytowanego leśnika, który był w Sarniej od zawsze.

– Zgroza! Zamorduje to biedne dziecko – orzekła Karolina, gdy dowiedziała się, że mąż Bogny zaangażował lektorkę języka angielskiego dla Ulki, gdy skończyła cztery lata.

Lektorka przychodziła trzy razy w tygodniu i – w interpretacji Karoliny – dręczyła bezbronne dziecko przez godzinę, z przerwą w środku.

– Koszmarny Babon.

Podśluchała Ulka opinię o tej krewnej nie dla niej przeznaczoną, bo w obecności małego pokolenia nie wieszalo się psów na familii, żeby nie nabrało uprzedzeń. Rodzina jest rodziną i nie należy osłabiać i tak nadwątłonych więzi.

Więzi pozostały, jakie były, tylko od tamtej pory, ilekroć Karolina jej się narazi, Ulka mruczy do własnej brody: – Babon, na tyle jednak niezrozumiale, aby nikt nie odgadł znaczenia.

– Karolina jest apodyktyczna, prędką do gniewu i obcesowa, ale ma dobre serce. Twoja mama mieszkała u niej, gdy po maturze przyjechała do Warszawy. Czasy były niełatwe, a ciotka, wtedy jeszcze na dorobku, nie była taka zamożna jak teraz.

Wyszła z wojny goła i bosa – pomyślało się Ulce.

We wczesnym dzieciństwie wyobrażała sobie gromadę nagich ludzi chodzących po gruzach. Na przyjęciach u ciotki Karoliny bywało sporo pań, które wyszły z wojny gołe i bose. Gruzy stanowiły tajemnicze dopełnienie kompletnego neglizju Babona i jego znajomych.

Wszystkie zasłyszane opowieści działały się nieprawdopodobnie dawno. Karolina i tamte imieninowo-noworoczne panie wydawały się już wówczas okropnie wiekowe, teraz ciotka Karolina ma siedemdziesiąt cztery lata. Kambr środkowy. Era paleozoiczna. Ulka przyrzekła sobie nigdy nie mieć siedemdziesięciu czterech lat. A chociaż czuje się prawie dorosła, postanowienie pozostało w mocy.

– Wodę macie doskonałą – chwali Karolina i otulona szlafrokiem haftowanym w złote

koguty zasiada do kolacji.

Odkąd w domu babki zainstalowano ubikację i łazienkę, co stało się nie za pamięci Ulki, Babon zjeżdża rokrocznie, żeby zobaczyć i pobyc z siostrą. Łaskawie pozwala się obsługiwać, oprócz Marty próbuje rządzić także Ulką.

– Ula, zetnij na rano trochę pokrzywy, chcę umyć głowę – zarządza Karolina.

– Mhy – Ulka ręczo zrywa się od stołu, bierze koszyk i rękawiczki, zdejmując ze ściany stary sprzęt, półkoliste ostrze na krótkim trzonku wytoczonym z drewna. Już nikt we wsi nie używa takiego narzędzia i mało u kogo przechowało się w obejściu, chyba przez zapomnienie, w trudno dostępnym zakątku.

– Ula, weź sekator – psuje cały efekt babka.

Sierp wraz z wiązką kłosów i zasuszonym pękiem nieśmiertelników, pośród innych gospodarskich archaizmów – czyże do krempłowania wełny, żelazko z kominkiem na węgiel drzewny, gliniane ładyszki, kołowrotek, maślnica – dekoruje kuchnię, czasami tylko posługuje się nim babka.

– Ona zawsze porozumiewa się pomrukami? – ciekawi Karolinę.

– Mhy – świadomie wystawia Ulka na próbę cierpliwość Babona, ale Babon, ociężały po kolacji, nie podejmuje rękawicy.

Płowy opuszcza spokojną przystań pod stołem i idzie za Ulką, chociaż obfita rosa leży już na trawach.

Wieś opłotkami wspiera się o Puszcę. Siedlisko babki, usytuowane na skraju, z dwóch stron okala las. Las od gruntów przyzagrodowych oddzieliło leśnictwo wysokim płotem, żeby państwo nie musiało płacić odszkodowań za wyżarte przez leśną zwierzynę warzywniki i przydomowe zagony kartofli.

W kącie pod ogrodzeniem buja kępa dorodnej pokrzywy. W powrotnej drodze Ulka omija otwarte okno pokoju z Przodkami, skąd na czas pobytu Karoliny Ulkę przesiedla się do wąskiego, długiego pomieszczenia nazywanego alkierzem, obok izby zajmowanej przez babkę Martę.

– I po co to trzymasz, po co kultywujesz, wmawiasz ludziom i komu to potrzebne! Mało ci jeszcze poplątania w życiu? – gderwała ciotka Karolina.

– Rodzina powinna być zakotwiczona w przeszłości, inaczej jest jak saksauł, stepowe ziele, które tacza wiatr i ono nigdy nigdzie nie zapuszcza korzeni.

– Masz bzika z tymi korzeniami.

– Mam. I dajmy spokój mojemu bzikowi. Ja tobie, Karolino, nie dyktuję, czyich fotografii nie powinnaś wieszać na ścianie.

4.

Podbarwiony rudo, świetlisty dysk wytacza się zza starodrzewia, wędruje po świerkowych czubach, zawisa nad rozczochranymi koronami nadbrzeżnych olch, rozpyła srebro na czarną łąkę. Srebrna Bogna wynurza się ze srebrnej rzeki, wstępuje na srebrną trawę, jej przezroczysty, księżycowy cień biegnie na spotkanie z cieniem Adama i razem układają się u ich stóp.

Szczęście.

Musi tego szczęścia uzbierać na zapas, żeby starczyło na jesienne szarugi, na zimowe dni i długie zimowe noce, żeby mieć czym karmić osamotnioną miłość. Złudzenie. Szczęście czerpane z bliskości Adama źle się przechowuje z dala od niego, nie można go zamknąć jak słoika z konfiturami i mieć na później. Miłość nie wyżywi się samym wspomnieniem, opuszczona na dłużej blednie, popada w anemię i Bogna-realistka cieszy się złą radością na pochybel tej drugiej, Bognie-uwikłanej. Bo czym jest trzeźwo patrząc, ich związek? Trywialny banał. Dwoje oszukuje dwoje innych.

Niezupełnie – nie mam małżeńskiego łóżka, ani w przenośni, ani dosłownie – Adam nigdy nie zapytał – ja nigdy nie zapytałam – nigdy o tym nie mówimy – tabu – jak miałabym mówić – pospolite kłamstwo, powtarzane przez uwikłanych na całym świecie, czasami nie jest kłamstwem – jeszcze jedna szablonowa namiętność – pozamałżeńska fascynacja.

Życie z drugiej ręki.

Oczekiwanie. Odkąd Adam, swoim zwyczajem przebiegając pomieszczenia Instytutu, wstąpił do pracowni plastycznej, pozostał w życiu Bogny.

Na jak długo?

Oczarowanie. Niech trwa. Poczucie przemijania. Nic nie jest wieczne. Łagodny smutek płynący z tej wiedzy i zgoda na cierpienie, kiedy zgaśnie owo światło. Nie. Nie przeminie. Nigdy. Nie przeminie?

Co się stało z pierwszą, największą miłością jej dziewczęcych lat? Teraz nie umiała wskrzesić w sobie zamilkłych doznań, tamto zachwycenie rozwiało się jak dym. Jakby nigdy nie istniało to jej zaprzeszłe, największe uczucie. Jedyne. Teraz nawet nie garść popiołu. Tylko cień politowania dla tamtej dziewczyny, dla tamtej Bogny.

Wyrwała się wówczas ze swojej klauzury w domu ciotki Karoliny w dorosłość i pierwszego mężczyznę, który okazał jej zainteresowanie, wyposażyła we wszystkie zalety chyba wszystkich książkowych bohaterów i zaraz, w dowód uznania dla nadzwyczajnego

człowieka, podarowała mu siebie. Wieczne odpoczywanie dla tamtej naiwnej i bezkrytycznej, ufnej jak młody pies. Bognie czasami żał siebie minionej, siebie z tamtego czasu. Ale nie czuje z nią więzi.

Na więcej miłości nie starczyło. Mąż nigdy nie był jej księciem. Żadnego oczarowania, nic z tężowej chmury przesłaniającej rzeczywistość. Pragnęła własnego domu, spokoju, poczucia bezpieczeństwa.

On także był bardzo samotny. I tak pozostało. Jednak ich dwie różne alienacje nie stworzyły nowej jakości.

Nie tylko się nie pokochali, ale nawet się nie żyli, pozostali obok siebie siłą inercji i niechęci budowania od nowa, tym bardziej iż żadne nie spotkało na swojej drodze nikogo, z kim chciałoby zaczynać od początku.

Może Adam to także złudzenie. Przeciętny mężczyzna, nie stroniący od nieobowiązującej przygody. Nie! Im wydarzyło się szczęście największe, uczucie wzajemne. Prawdziwe. Niech trwa. Ogrzać serce. Znowu mieć ciało. Doznać zachwyty. Doznać miłości mężczyzny. Kochać.

Intensywność przeżywania odgradza Bognę od świata; postrzega go z oddalenia jako mało ważny i nieinteresujący. Swoją koleiną toczy się codzienne życie. Zawsze wydawało się czymś tymczasowym, teraz odsunięte na zupełny margines. Bogna sprząta, dekoruje wystawy, robi zakupy z dokładnością i beczuciem automatu. I tylko wzmożona uwaga dla córki. I wyrzuty sumienia tylko z jej powodu. Jednocześnie poczucie pełni smaku, barwy istnienia.

Prawdziwe życie zawsze działa się poza Bogną. Płynęło jak rzeka, niosło innych, ona stała na brzegu. Dożywotni widz. Tak czuła. Ludzie mają swoje przeznaczenie. Widocznie nie została stworzona do miłości. Tak myślała. To przekonanie już nie wywoływało żalu. Przywykła. I nagle sam ją odnalazł ten niedostępny nurt, porwał z siłą, jakiej nawet nie przeczuwała. Odmienił egzystencję. Odmienił życie.

Odmienione życie Bogny jest oczekiwaniem na prawdziwe życie. Prawdziwe życie zaczyna się i kończy na Adamie.

– Jutro wieczorem pod Złotą Kotwicą – zawiadamia Adam w swoim zwięzłym stylu. Nazwy hoteli zastąpiły imiona miast. Nawet wyrwani ze snu będą wiedzieli, gdzie znajduje się Grand, Pod Orłem, Piast, czy Nad Łyną lub Królewski.

Jak obieżyświat ze skeczu Tuwima – rozróżniał porty według rodzajów podawanych tam alkoholi – ona miejscowości kojarzy w związku z karawanserajami.

– Masz pociąg z Centralnego – Adam podaje godzinę odjazdu i orientacyjny czas

potrzebny na dotarcie do dworca.

W dalekie trasy na zamiejskowe wykłady sfatygowany samochód Adama nie stanowi najpewniejszego środka lokomocji, poza tym rozliczenia za benzynę dyktowały księżycowe przepisy. Więc najpewniej i najekonomiczniej jeździło się panem Józkiem. Pan Józio przypisany do pojazdu służbowego Instytutu był szoferem bliskim ideału, ale nie ślepym ani głuchoniemym. Z tej przyczyny Adam nie zabierał Bogny tracją pana Józka, tylko przesyłał komunikacją ogólnie dostępną.

Bogna ma kłopoty z orientacją, zdarza się, że traci rozeznanie w okolicy nawet znanej. Potrafiła wprawiać w osłupienie wyborem stron świata. Nienawidzi tego mankamentu, jakby wyjętego z repertuaru: bo ja jestem taka mała.

– Mańkuci mają trudności z topografią, wiesz? – improwizuje Bogna. – I żyją krócej od praworęcznych. Co w tym śmiesznego? – traktuje z rezerwą nagłą wesołość Adama.

– Przypominasz Sylwię. Ona podobnie objawia różne niezwykle wiadomości – mówi Adam o córce.

– Też mi niezwykłość. Jestem mańkutom, więc chyba wiem, co mówię – Bogna nie chce przypominać kogokolwiek, zwłaszcza jego żony i dzieci.

Zazdrość?

Zazdrość o życie, w którym nie bierze udziału. I nigdy nie weźmie. Ale to także jego życie, niewykluczone, najistotniejsza część. Bogna wiedziała, tego mężczyznę można brać tylko z całym dobrodziejstwem inwentarza albo wcale. Nie da się go wypręparować z najbliższego otoczenia. Adam nieodpowiedzialny, nie dotrzymujący zobowiązań, nieczuły ojciec? Byłby innym człowiekiem. Bogna nie chce innego Adama, a jednocześnie uwiera jego pierwsze życie.

Sprzeczność nie do rozwiązania – muszę się przyzwyczaić albo odzwyczaić.

Przestała analizować przykrość odczuwaną, ilekroć mówił o bliskich. Opowiadał umiarkowanie, ale też nie osłaniał milczeniem istnienia rodziny. I jeśli o niej mówił, mówił z naturalną swobodą. Bogna tak nie umie. Dwa plany jej egzystencji izoluje poczucie delikatności.

Taktem to on nie grzeszy – czy właśnie ja jestem najwłaściwszym uchem do wysłuchiwania o jego małżeńskim domu – nigdy się nie zastanowi, jak ja się czuję w roli kroniki ich życia rodzinnego – Bognę rani każde wspomnienie tamtych. Teresa. Michał. Sylwia. Inny wymiar. Na owej planecie nie ma i nigdy nie będzie tlenu dla kobiety imieniem Bogna.

Zapada wieczór, pociąg wjeżdża na stację znacznie po właściwym czasie, Bogna

opuszcza wagon.

Czekasz na peronie, przyjdę po ciebie – raz na zawsze zarządził Adam ze względu na jej fantastyczną dezorientację. I Bogna udaje słup na różnych terminalach.

Gęsty tłum rozrzedza się powoli, Bogna tkwi w miejscu. Adam wynurza się jak zwykle z najmniej spodziewanej strony. Wychodzą przed dworzec, po drodze ze szklanej gabloty na zielonym wózku kupują galicyjskie precle, które przetrwały monarchię austro-węgierską, najazd kulturträgerów Hitlera, dwie wojny z dwudziestoletnią pauzą, Polskę Ludową, ale nie jest oczywiste, czy przetrwają transformację systemu, ponieważ ktoś słuszny rozżościł się na pewną swojej pozycji przekupkę i zamiast wpisać jej dziedzictwo do zabytków, postanowił relikw zniszczyć.

Kraków.

Przygarniają ich zanikające miodosytne, kiedyś charakterystyczny akcent miasta, zatulone w staromiejskich zaułkach, i piwnice w Baszcie, skąd wracają późną nocą przez obielony świeżym śniegiem Rynek. Niosą radość i wino. Wino, które nie udaje się nigdzie więcej na świecie, tylko na stokach i w piwnicach Tokaju. Wino niezwykle jak ich miłość.

Ponowę dzierga po przekątnej ścieg ich podwójnego śladu. Z Mariackiej spływa Hejnał, księżyc wyblyszczu znów bezchmurne niebo, jego poświata – stary kartusz mosiężny, zawieszony na wysięgniku, i okucia drzwi hotelu Pod Koroną.

Pod Koroną, Grand, Pod Pieczęcią, Zajazd Senatorski. Nazwy hoteli nakładają się na nazwy miast, Bogna jak cień podąża śladem Adama, gotowa na skinienie, nieobecna, kiedy jej nie woła. Nie narzucająca się, nie kłopotliwa. Zawsze mająca czas. A naprawdę, Bogna zarywa robotę, odwołuje terminy, traci zamówienia, chociaż jej nie stać na taką nonszalancję.

Jemu nie przychodzi do głowy, że mam obowiązki – jakieś życie poza zaliczaniem karawanserajów – istnieje tylko jego praca – jego ambicje – jego bezcenny czas – jego rodzina – jego problemy – gdyby ktoś powiedział, że świat będzie istniał bez jego dokonań, nie uwierzyłby – gdyby mu udowodniono, umarłby ze zgrozy – dla niego praca jest alfą i omegą – dla mnie środkiem do – do czego?

– Dokąd się znowu wybierasz? – chce wiedzieć mąż.

– Myszyniec – kłamie Bogna. Adam czeka na nią w jednym z miast akademickich, położonych w zupełnie innym kierunku.

– Po co?

– Potrzebujemy trochę kurpiowskiego folkloru – brnie Bogna i nienawidzi siebie i męża.

– Pani zaczęła mówić o sobie pluralis majestatis? – czepia się mąż.

– Mówię o firmie, gdzie pracuję – nie daje się sprowokować Bogna i nienawidzi jeszcze bardziej, męża za swoje kłamstwa, siebie za słabość i niezdecydowanie. Nie potrafi nienawidzić Adama. Do Adama ma żal.

Widzi mnie jak księżyc – tylko po jednej stronie – o drugiej, mrocznej, nie chce nic wiedzieć.

– Wynajęłaś się za komiwojażera? – mąż nie rezygnuje z rozpętania prawdziwej kłótni.

Bogna milczy.

– Co ty sobie w ogóle myślisz?! Mój dom nie jest noclegownią. Nie wynajmuję kwater dla samotnych kobiet. Znajdź sobie inny pensjonat i wreszcie zakończmy fikcję.

Przydział lokalu, jeszcze w Peerelu, jest osiągnięciem męża. Metraż otrzymał według osób w rodzinie. Mąż nie bierze tego pod uwagę. Bogna nie bierze tego pod uwagę. Obojgu wydaje się oczywistym, że z nich dwojga ona powinna opuścić mieszkanie.

– O twoje wyjazdy ja nie robię scen.

– To zupełnie co innego – powiada mąż. – Mecze i turnieje, w jakich biorę udział i zaliczam wygrane, odnotowują kroniki sportowe. Gdzie o twoim pacykarstwie napisano chociaż słowo? I dlaczego się włączysz, i dokąd, i z kim, Bóg raczy wiedzieć. Nie życzę sobie, rozumiesz?! Twoje zachowanie kompromituje mnie i ma destrukcyjny wpływ na Urszulę, a wyłącznie ze względu na nią jesteś tolerowana w moim domu.

– Opuszczę twój dom. Tylko najpierw muszę znaleźć dach nad głową. A teraz wybac, ale śpieszę się na pociąg. Porozmawiamy w sposobniejszym czasie – ucina Bogna.

Kiedy wraca, męża nie ma. Później zachowuje się jak dotknięty amnezją, unika drażliwej rozmowy, swoim zwyczajem z klubu przychodzi późno, ale przede wszystkim zapomina. Ależ nic podobnego nie mówił. Oczywiście Bogna, jak zwykle, źle zrozumiała i przekręciła sens jego wypowiedzi.

Następuje rozejm. Do kolejnej okazji.

Okazje zdarzają się coraz częściej. Mąż coraz częściej żąda od Bogny opuszczenia mieszkania. Tym częściej, im bardziej utwierdza się w przekonaniu, że ona nie ma odwagi, ani środków na spalenie mostów.

Bogna przyznaje mu rację. Dawno powinna, więc z jakiego powodu znosi upokorzenia? Ponieważ na radykalną zmianę nie starcza determinacji i pieniędzy. Tylko dlaczego, do diabła, wciąż czuje się winna! Staje się jednak oczywistym, nie może nadal tkwić pod jednym dachem z tym obcym dla niej człowiekiem.

Odejsć – umieścić Ulkę w dobrym internacie – na to trzeba pieniędzy – pieniędzy –

pieniędzy – oddzielny pokój nie osłania Urszuli przed naszym dnem – najgrubszy mur nie osłoni – zostawić Ulkę u ojca – nigdy – szkoła z internatem – bursa – nie.

– Stać mnie na najlepszą stancję dla córki – wtóruje mąż, jakby znał najskrytsze myśli Bogny.

– Nigdy – zarzeka się Bogna. I żal bliski nienawiści do tego mężczyzny, z którym wiąże ją jedynie wspólny dach nad głową i żal bliski nienawiści do tamtego, który jej wspólnego dachu nie ofiarowuje.

Znów nieprzespana noc, upadek ducha i samoocena poniżej wszelkiej skali. Nikt nie chce jej na stałe, nikt nie pragnie zabrać jej z obecnego układu, a ona nie ma dokąd odejść. Przede wszystkim brakuje odwagi na zupełną samodzielność, chociaż owo enigmatyczne wsparcie człowieka, z którym mieszka, stało się już tylko złudzeniem. Ale odrzucić tę egzystencję, to wkroczyć w niewiadomą. Bogna boi się niewiadomej. Boi się samotności, dezorganizacji życia, jeśli już nic nie będzie musiała.

Rutynowe czynności w domu, ten człowiek za ścianą, ta namiastka rodziny wydają się kołem ratunkowym przed niczym nieskrępowaną wolnością, która po umieszczeniu Ulki w internacie stałaby się już tylko oczekiwaniem na Adama. Poza tym Bogna boi się sublokatorskiego pokoju. Na wynajęcie samodzielnego mieszkania jej nie stać. Pozostawić Urszulę u ojca? Nie. Za nic. Może i lepiej, że jej brakuje pieniędzy na tę świetną bursę. Ale w sprawie ma coś do powiedzenia także mąż. Więc pozostaje jak jest.

Dla dobra dziecka.

Sama musi podjąć decyzję. Na własną odpowiedzialność. Ciężko. Dlaczego Adam nie zmieni jej sytuacji albo do zmiany przynajmniej nie zachęci. Wystarczyłoby jedno słowo. Tylko tyle. Trochę wychylenia w przyszłość. Ich przyszłość. Adam nigdy nie mówi o przyszłości. Nie istnieje przyszłość podczas ich spotkań. Bogna zbyt dumna, żeby prowokować deklaracje, Adam zbyt odpowiedzialny, aby je składać.

Okrutnie uczciwy – dzieci muszą mieć ojca – nawet gorszy dom rodzinny jest lepszy od żadnego – Adam nie ma pieniędzy na dwie rodziny.

Kryzys. Zwątpienie. Zanik wszechobecnego uczucia. Bogna jest bardzo zmęczona. Chwilami zastanawia się, czy jeszcze brzmi ów delikatny ton, czy jeszcze kocha Adama, czy pozostała już tylko niechęć do zerwania, lęk przed zupełną samotnością, strasznym, pustym miejscem w sercu i żal życia strawionego na oczekiwaniu.

Odejść. Odmówić. Powiedzieć nie, gdy znowu wymieni nazwę azylu w którymś z akademickich miast. Nie podnieść słuchawki, kiedy telefon odzywa się tym jedynym, szczególnym tembrem.

Wystarczy zbuntowana myśl, już Bogna szuka kompromisu. Niczego nie przesądzać. Po co cierpieć i zadawać ból. Tylko bez dramatów. Zmęczy się. Zmęczy się tak bardzo, żeby otepieć i bez wrażenia odrzucić pęta zbyt trudnego uczucia. On także się zmęczy. Prędko samo się wyjaśni. Warunki zabijają tę miłość. I szczęście Bogny umrze.

Znów będę stara – Boże – mam dopiero trzydzieści pięć lat – już tyle – panika – czternastoletnia córka – nie stanie się nic nadzwyczajnego, skończy sezonowy romans – świat poszarzeje – sezonowe romanse nie są trwałe.

Bogna żegna się ze swoją miłością. Uczucie zanika w łagodnym smutku, Bogna znieczuła się pracą. Na szczęście ma dużo pracy i żadnych obowiązków domowych. Ulka na wakacjach u babki, mąż na bezpłatnym urlopie. Pracownia architektów jego Zjednoczenia chyli się ku niebytowi jak i całe Zjednoczenie. Mężowi przymusowy odpoczynek na rękę, wyjechał do Monaco na międzynarodowy turniej.

Tylko praca pozostała mi wierna – opowiada sobie Bogna, stojąc na drabinie.

Słońce praży przez panoramiczne szyby. Upalny lipiec. W mieście wyraźnie mniej ludzi. Urlopy. Letniaki – słowo z głębi czasu, z dzieciństwa ciotki Karoliny i Marty. Tak nazywała letnią przerwę służąca u rodziców obu siostr dziewczyna z dalekiej Woli, gdzie miasto zanikało w mazowieckiej wsi. Desygnat wakacji warszawskiego proletu wtedy określanego mianem plebsu.

Bogna pod sufitem sali usuwa resztki szlaku z barwnych wycinanek. Nowy właściciel zdecydował zmienić wystrój zajazdu łowickiego, pamiątkę po ostatniej szefowej państwowej gastronomii, która część stołecznych lokali kazała urządzić regionalnie. W urzeczywistnieniu idei, aby każdą wyróżniającą się okolicę reprezentowała w każdej warszawskiej dzielnicy przynajmniej jedna knajpa z odnośnym sztafażem, przeszkodziły zmiany systemowe i teraz przedstawiciel nacji podnoszącej się z turystycznych łóžeczek rozstawianych na chodnikach miasta, usuwał niesłuszne szyki nomenklaturowej dygnitary.

Lokal miał się nazywać Montparnasse i być w stylu paryskim, co w pojęciu świeżego biznesmena znaczyło dużo złocień, bieli, stiuków i giętych krzesel z Radomska.

Bognę zaangażował Sowa, kolega z czasów Akademii Plastycznej i w ogóle brat łąta, dla klientów firma Modern-Art: stylowe i nowoczesne obiekty, apartamenty, mieszkania, wille, pałace, lokale wszelkich przeznaczeń oraz ich otoczenie wykonuje pod klucz.

Projektują wybitni artyści plastycy, architekci, spec-wnętrzarze, ogrodnicy dyplomowani, etcetera. Artyści, architekci, spec-wnętrzarze i etcetera, jak dotychczas to był Sowa, od niedawna Bogna i jeden, ale za to prawdziwy, ogrodnik. Rok założenia przedsiębiorstwa stanowiła data przyjsia na świat pradziadka Sowy. Na folderach i ulotkach

reklamowych pomysłu i wykonania Sowy, bardzo przekonująco zaświadczała o starożytności firmy.

Całymi dniami Bogna tkwi na drabinie pod stropem monumentu po socrealu, pełnego gipsowych rozet i pilastrów z czasów punktów żywienia zbiorowego numer taki a taki, które przetrwały różne trendy knajpianego zdobnictwa i, lecząc się z niewłaściwej miłości, w pocie czoła przerabia obiekt zgodnie z wyobrażeniami nowego właściciela. Ale właśnie zadzwonił telefon.

– Do ciebie! – donośny głos Sowy ściąga ją z wysokości w kąć z zakurczonym aparatem stojącym na podłodze.

– Autobus do... odchodzi spod stadionu o... – słyszy zniekształcony przez wysłużone łącza głos Adama.

Rozpasana telefonia komórkowa stała *ante portas*, pionierzy taszczyli ze sobą w walizkach aparaty okazałych rozmiarów i wagi. Należało do dobrego szyku noszenie ze sobą okazałego kufra, z którego wyciągało się słuchawkę i prowadziło rozmowę, przekrzykując uliczny hałas, bo tylko takie miejsca zapewniały dużą widownię.

– Zaraz wyjeżdżam – zawiadamia Bogna.

– Co powiem kapitaliście? – denerwuje się odpowiedzialny za kontrakt Sowa, wlokąc się za nią do pomieszczenia z prysznicem, gdzie Bogna splukuje z siebie patynę najnowszej historii.

– Jego interes? Ty jesteś tu szefem. Ma być gotowe na sierpień i będzie.

– To buldog. Źle znosi nieobecność najemników.

– Nie pracujemy na dniówki, więc o co biega?

– Widocznie lubi do pary.

– Przyśpieszam glazurników na innym obiekcie albo szukam odpowiednich firanek.

Pasuje?

Właściciel Montparnassu życzył sobie muślinowe. Dotychczas handlował owocami południowymi transport-hurt-detal. Nie znał się, prawdę mówiąc, ani na egzotycznych płodach ziemi, ani na tekstyliach i muślin jego wyobrażeń równie dobrze mógł być batystem, tiulem, koronką lub gazą.

– Nie pasuje. Już byli i glazurnicy, i firanki – Sowa zagląda do notesu, gdzie zapisuje najróżniejsze rzeczy, także wykorzystane preteksty Bogny.

– Nie nudź, Sowa.

– On po ciebie dzwoni jak po straż pożarną, szanuj się ździebko, dziewczyno!

– Mhy! – Bogna nie słucha, przed szczątkiem zmatowiałego lustra, pozostałym między

gipsowymi pilastrami, rozczesuje włosy uwolnione spod zawoju z chusty. Przelewają się pod grzebieniem ciężką falą, Bogna znowu widzi ich bogactwo, w ten sam sposób postrzega twarz, czuje nagie ramiona ze śladami opalenizny. Ma ciało. Doznaje stanu posiadania jak cudu i przygląda się sobie Jego oczyma.

...w zgodzie na życie w samotności / nie szukałam już wielkich uczuć / gdy naraz / słowem / Ty / otworłam pierwszy nasz dzień... – wynurzyła się z pamięci fraza z wiersza Brzostowskiej.

– Powój skubany, roślina pnąco oplatająca – bez złości mruczy Sowa. Wciąż zdumiewa go metamorfoza tej kobiety, którą zna, zdawałoby się, od zawsze.

Inne miasto.

W zaborze rosyjskim gubernialne. Po ostatniej transformacji systemu nieprędko odnalazło swój dzień dzisiejszy. Wielki, szczerbaty majdan dworca autobusowego w wieńcu prowizerek i odrapanych budynków jawił się Bognie najpiękniejszym miejscem na ziemi. Przy budce lodziarza czekał brązowy od słońca Adam w rozchełstanej bluzie na brązowej piersi.

– Witaj w Łomży!

Po trzech dniach Bogna, znowu nie licząc się z czasem, haruje na dobro firmy Modern-art, i biało-złoto-stiukowa restauracja-bar-dyskoteka, czynne przez całą dobę Montparnasse w zawarowanym kontrakcie terminie przyjmuje pierwszych gości.

Zaczyna się sierpień.

Połowa lata należy do rodziny, połowa lata do Bogny. Po przepłynięciu Wigrów w ścianie trzciny obrośniętej nadwodną miętą, kępami kosaćców, wybująłych szczawiów, Adam z Bogną odnajdują opłatany kwitnącym powojem zarośnięty ciek. Tutaj rzeka rozstaje się z akwenem i znowu dąży własnym szlakiem. Najpiękniejszym na tym odcinku. Na odwieczny dobijają do stacji na Pohorze.

Na Pohorze szumiała Puszcza, pachniało leśnymi ziołami, żywicą, ogniskiem, gadały bystrza. Do kajaku podpływał łabędź-flibustier, głowę na giętkiej szyi z surowym wyrazem twarzyczki zapuszczał w głąb przybijającej do brzegu łódki, szukał, żądał i brał daninę, pan rozlewiska na przełomie Rzeki. Oskarżycielsko kwacząc, kolebała się po trawie rozpanoszona cyranka, mądra, dzika kaczka, która pod koniec tygodnia zapadała w zarośla.

Pod koniec tygodnia na Puszczę, na Stanicę, na Zatokę spadała plaga miłośników ognia, wody, chóralnych śpiewów. W sobotnie popołudnia miłośnicy napadali Puszczę z toporami, wlekli zamordowane siewki. Wieczorem płomienie stosów biły do pierwszych konarów bezbronych, nadbrzeżnych olch, raniły gałęzie.

Na Pohorze panowała nieograniczona swoboda, nikt sobie nic nie robił z nigdy nie egzekwowanych przepisów. Przy kładce dogorywała tablica na zżartym rdzą pręcie, gdzie umieszczono regulamin. Już nieczytelny. Wandale ćwiczyli na nim celność rzutu kamieniem, pustą flaszką, czym popadło.

W sobotnie noce zamknięta stacja żeglowała jak arka pośród rozpasanego żywiołu spływającego alkoholem, rykami pod jęk nieprzytomnie szarpanych gitar, tranzystorów wyrzaskujących mocne rytmy. Miłośnicy nie tolerowali uwag, wołań o spokój, próśb. Rozzłoszczeni atakowali stadnie.

Region bliski Bognie.

Z tej pięknej krainy we wczesnej młodości ruszyła po swoje miejsce na ziemi. Ale dopiero trzeba było wszystkich lat, i Adama, i kajakowej włóczędzy, żeby otwarły się jej oczy na urodę ziemi rodzinnej, lasów, źródeł i księżycy wiszącego nad wciąż nieskażoną wodą. Dopiero Adam podarował jej tę wyjątkową Krainę.

W stancy na Pohorze kupują świeży chleb i uciekają w górę Rzeki. Zatrzymują na leśnej polanie. Tutaj srebrna Bogna kąpie się w srebrnym nurcie, brodzi po srebrnej od rosy trawie i parzy herbatę na srebrnej wodzie ze źródła bijącego u nasady moreny.

– Kochałam cię zawsze, nawet wtedy gdy jeszcze nie istniałeś w moim życiu.

Jedno z tych wyznań, które pragmatyczny Adam ma za miłą bzdurę, jednak przyjmuje bez oporów, bo być może coś znaczy.

5.

– ...masz nierówno opalone nogi – oskarżycielsko zauważa Ulka.

– Drobiazg – nie daje się sprowokować Bogna i przekręca na drugi bok. Upał. Z samego rana zeszyły z wyniosłości w cień nadbrzeżnych drzew. Jezioro gładkie jak szkło, ani powiewu. Jednak ta masa wody rzeźwi, tworzy inny klimat niż panujący wyżej na czubie moreny, gdzie praży się wioska. Tam gorące powietrze sprawia wrażenie substancji stałej.

– Mamo, dlaczego dźwigasz. Miałaś nas zawołać – zrywa się Bogna.

– Na górze jak w piecu chlebowym – Marta stawia koszyk. Bogna podsuwa jej płócienne krzeselko.

– Mogłabyś się ruszyć, Ula!

– Po co? Tyś się ruszyła, dużo działałaś? Nie uznaję pozornych gestów – Ulka ani

drgnie, ostentacyjnie rozwała się na materacu turystycznym.

– Mamo, co jej jest?

– Nie wiem – uchyla się Marta od opowiedzenia po czyjejś stronie. Nalewa chłodnik do miseczek.

– ...masz spalone kolana – znowu czepia się Ulka. – Tak się podpiekają kajakarze.

– Właśnie wróciłam ze spływu.

– Taak! Jednak wróciłaś. Odkąd z ciebie taki wodołaz – prycha pogardliwie Ulka i szuka na twarzy matki zaniepokojenia.

– Urodziłam się nad wodą.

– A na starość – Ulka kładzie nacisk na to słowo – na starość, szczególnie polubiłaś kajakowe spędy Towarzystwa turystycznego.

– Nie płynęłam z grupą Towarzystwa.

– A z kim?

– Odpowiem, kiedy będziesz mniej jadowita, tarantulo.

– Kręcisz i ukrywasz się za przezwiskami! – krzyczy rozeźlona Ulka.

– Jeśli nie chcesz usłyszeć kłamstwa, nie pytaj. Ale ja nie uciekam w kłamstwo, tylko nie pozwalam na terror rozbestwionego szczeniaka.

Ulka jest nieznośna, wie o tym, nie może przestać. Jakby siedział w niej i rządził stwór wredny, złośliwy, z niczego niezadowolony, wszystko widzący krzywo. Nawet opiekane kartofle i kurzy filet na talerzu wydaje się gorszy niż na talerzu Bogny, nie żeby gorszy był obiektywnie, ale babka tym razem nie zapytała, czy Ula chce bardziej czy mniej przyrumieniony, a Bognę zapytała.

Bogna swoim zwyczajem, bez żadnej zapowiedzi, spadła niespodziewanie i zaraz wszystko kręci się wokół Bogny, babka niańczy ją jak niemowlaka, uprzedza życzenia, wysmaża, wypieka, podtyka. Przychodzi stary leśniczy z jeszcze starszym pasiecznikiem pamiętający Bognę od zawsze, przynoszą gościńce: suszone borowiki, miód, pierwsze żurawiny z Bobrowego Uroczyska. Nawet Płowy, objawiając przyjaźń Ulce naprędce i mimochodem, przeniósł swoje nadzieje na Bognę i jej nie odstępuje, chociaż Bogna przemieszcza się wyłącznie z domu nad brzeg jeziora i z powrotem, i ani jej w głowie wędrówki po lesie, gdzie w dusznym zapachu prażonej w słońcu żywicy, rzucają się na człowieka i zwierza końskie gzy, ślepaki, niedobitki komarów, meszka oraz wszystkie inne nienazwane wampiry.

W Ulce kotłuje się żal przemieszany z nieopanowanym pragnieniem dokuczenia matce. Pobędzie najwyżej z pięć dni, obecna ale niezupełnie, właściwie wciąż gdzie indziej,

możliwe że jeszcze na Rzece z absolutnie cudzym facetem. Pewnie wpadnie, dosłownie wpadnie, tutaj na Zaduszki, pójdzie na cmentarz, zapali znicze na grobach i tyle ją babka widziała. A Ulka jest z babką wciąż niemal przez całe wakacje, wyjąwszy dwa tygodnie u schyłku letniego sezonu, ponieważ wtedy taniej i luźniej zaliczyć jakąś zagranicę. Nie jest to zagranica wylegiwania się, zakupów i zabawy.

Ojciec dba o uzupełnienie edukacji. Córka musi poznać, możliwie najpełniej, najświetniejsze dzieła architektury, sztuki, obyczaje i kunsztu innych nacji od starożytności i wykopalisk, pra-archeologii, po współczesność.

Bogna im w tych peregrynacjach nie towarzyszy, ale i nie przyjeżdża do babki. Natomiast babka, kiedy na parę dni wpada do niej Bogna, świata nie widzi poza Bogną, a obie nie widzą jej, Ulki.

– Mamo, co z nią jest? – bezradnie zastanawia się Bogna po kolejnym, nieprzyjaznym odruchu córki.

Na to babka swoje: – Przepoczwarza się.

– Jak długo można się przepoczwarzać – oburza się Bogna.

– Przypomnij sobie. Też trwało, zanim umysł dopasował się do reszty.

– I jeszcze się nie dopasował! – Ulkę wścieka, że tak sobie o niej mówią, jakby jej tu wcale nie było. – Prawdopodobnie taki nasz gatunek. Niedojrzały, lekkomyślny, żyjący chwilą. Po kim też to mamy? – zastanawia się Ulka z wyraźną intencją.

– Po mnie – mówi spokojnie Marta.

– Ulka, jesteś okropna – obrusza się Bogna. Najchętniej sprąłaby to wrogie stworzenie, tylko jak uderzyć toto przypominające zmokniętego kurczaka o sfuszerowanych proporcjach.

– Wpadłaś po drodze trochę mnie powychowywać. Przypomniałaś sobie, że masz dziecko. Ile czasu przez te kilka dni będziesz robiła za matkę? Dzisiaj już możesz sobie odpuścić – gada Ulką ta wredna stwora, co się w niej załęgła odkąd pojawiła się matka, i nie może przestać, chociaż Ulka jest bardzo nieszczęśliwa. I już nie wie, czy powodem rozpaczliwego nastroju są pyskówki osobistego demona, czy uczucie wielkiego oddalenia od matki.

Na resztę pobytu Bogny Ulka pokornieje. Małomówna, powściągliwa i hermetyczna. Bogna nie próbuje przeniknąć przez nową skórę Ulki. Nie dowierza naglej przemianie skorpiona w kamedulę. Ma do Ulki żal. Nielojalna. Bezczelna. Złośliwa. I skąd wie, zdawałoby się śpiąca z otwartymi oczyma, o jej kajakowej wyprawie? – dziwi się naiwnie. Pragnie uniknąć rozmowy z Martą na temat Adama, do czego prowokuje Ulka.

W dniu wyjazdu Bogna wstaje bardzo wcześnie. Musi dojść do asfaltu i zdążyć na

poranny autobus, aby złapać warszawskie połączenie z Suwałk. Wciąż mają tylko jeden samochód przypisany do męża. Bogna wolałaby iść pieszo do Warszawy niż prosić, aby po nią przyjechał. Niepodobna znieść wyjazdu z tym drugim, a powrotu z mężem. W wieczór przed podróżą długo nie może usnąć.

Ulkę niepokój podnosi o świcie. Zanim stary budzik, pękate monstrum z dwoma dzwonami jak czynele po bokach ucha naciągowego, postawiony obok posłania Bogny, rozwrzeszczał się wniebogłosy na cały dom, wyłazi przez okno, żeby nie spotkać babki już krzątającej się w kuchni i przy rowerze, troczącej do bagażnika koszyk z leśnymi smakołykami dla Bogny.

Ulka nie chce spotkać nikogo, a szczególnie matki, gdyby przypadkiem wstała przed wizgiem zegara, co się jej czasami zdarzało. To samo dotyczy Płowego, on także Ulce podpadł za podlizywanie się Bognie. Wyjazd rodzicielki ma zamiar przeczekać w ukryciu za zaprzyjaźnionym kłębem jeżynowych krzewów, w którym wydeptała tunele.

Słońce jeszcze nie uniosło się zza lasu, koloryt nie nabrał pełnego waloru. W warzywniku kłapouchy opychają się kapustą. Ulka przystaje, aby ich nie płoszyć, gdy pokazuje się pies.

Na widok nadciągającego kuternogi szybciej pracują ruchliwe mordki. Liście nikną jak wjeżdżające na taśmie między siekacze, niespiesznie migają białe zadki z centrem podogonia i tyle ich widzieli. Bas Płowego przechodzi w dyszkant, skargę beziły i upokorzenia. Kity szaraków przepadają za państwowym płotem, odgradzającym prywatne od skarbowego, smutny pies kuśtyka ku smutnej Ulce.

Dopóki płot nie padnie nadwierzony łopatami danieli, rosochami łosi, wieńcami jeleni ścierających scypuł, duża zwierzyna nie może dobrać się do wioskowych upraw, jednak płot nie stanowi przeszkody dla zajęcy. Za straty wyrządzone przez duże zwierzęta leśnictwo płaci odszkodowania, kłapouchy, kuny, piżmaki nic nie kosztują.

Płowy udaje, że to on lekceważy owo tatałajstwo, nie posiadające nawet przyzwoitego ogona, za który można by je chwycić, podstawia grzbiet do głaskania, rekompensatę za obolały honor i Ulka nie ma serca traktować go oziębło. Nie ma też serca nie odprowadzić Bogny razem z babką do przystanku i nie popatrzeć na autobus, uwożący matkę, i zwierającą się nad asfaltem ścianę drzew.

Tego dnia izby wydawały się za duże, dom za cichy i bardzo pusty, babka obchodziła się z Ulką jak ze zgniłym jajkiem.

– Brzydko odnosisz się do matki – powiedziała Marta, kiedy miejsce po nieobecności Bogny zasnuły mijające dni. Nieczęsto mówiła takie rzeczy Ulce.

– A jak ona traktuje mnie? Wcale nie dba. Nawet obojętne, czy żyję. Odliczała czas do wyjazdu. Rzuciła jak psu kość parę nędznych dni, właściwie jej tu nie było, jeszcze nie powróciła z Rzeki, któregoś dnia w ogóle nie powróci. Dosłownie.

– Nie zazdrość jej Rzeki. Wyrosła nad wodą, to ją ciągnie.

– Wyrosła nad jeziorem. Ma je pod nosem, dlaczego tutaj jej nie ciągnie?

– Rzeki ma swój odmienny urok.

– Pewno, jeszcze jaki, zwłaszcza gdy się wędruje do pary.

– Nie wiem, o czym mówisz?

– Ona tu była z kochankiem.

– Co ty wygadujesz, dziecko.

– Ona się zakochała w zupełnie cudzym facecie.

– Na ogół zakochujemy się w obcych facetach.

– Mówię poważnie. Cudzy znaczy zakontraktowany. Ma żonę.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Wiem dużo i jeszcze więcej. Wypadki chodzą po ludziach, ja jej nie zazdroścę, nie wyżyła się w młodości, szaleje na starość, tylko dlaczego mnie urodziła, po co mnie zmajstrowała z obojętnym jej mężczyzną. Zabrakło pigułki anty, może jej nie uświadomiłaś i stąd cała bieda?

– Uświadomiłam. Bogna chciała cię mieć, chcieli oboje.

– Widać z czasem im przeszło. Oni nie żyją ze sobą nawet jak pies z kotem. Idealna obojętność albo złość. Ja się pętam między nimi, istne piąte koło u wozu, i tylko przeszkadzam w korzystaniu z życia. A im się wydaje, że noszą wspólne dyby, wyłącznie przeze mnie, dla mojego dobra oczywiście, nie ze strachu przed niewiadomym.

– Nie powiesz, że ojciec się tobą nie zajmuje.

– Dla ojca istnieję jako przedłużenie jego ambicji. On mnie zrobił i wciąż ulepsza. Kiedy miałam cztery lata, dostałam lektorę od angola, skończyłam pięć, dołożył Francuzę, skończyłam sześć, doprowadził na egzaminy w szkole angielskiej...

– Ty niewdzięczne dziecko, on buduje ci przyszłość...

– Ale moja terażniejszość nigdy nie wróci. Mam ją zajętą po brzegi... zdaję, uczę się, co innego mogę zrobić, żeby się nie załamał, wpakować w bachora tyle kasy i dopiero stwierdzić, że to matoł? Jak mu się do tego żona puszcza, można dostać rozstroju...

– Mając sześć lat wiedziałaś, że matka ma kogoś innego? Pleciesz. Niegodziwie.

– No nie, ja ci przedstawiam całokształt.

– Ulka, nawet jeśli twoi rodzice nie są idealną parą, o ciebie dbają najlepiej, jak

umieją.

– No to nie umieją. Analfabeci! Tato też nie święty męczennik. Bardzo prawdopodobne, że w niedalekiej przyszłości doczekam się przyrodniego rodzeństwa, jeśli będzie syn, moje notowania u ojca mogą spaść do zera. Co się stanie z matką, nie wiem, ponieważ ten jej menel chce ją zdaje się tylko na doskok.

– Mówisz o człowieku jak o kryminaliście.

– Spoko. Naukowiec. Iloraz IQ, może gdyby ten iloraz miał mniejszy, matka miałaby większe szanse. A tak w ogóle to kochanek ze starego portfela.

– Dlaczego ze starego portfela?

– Zadawniony układ. Skłonność podobna do chronicznej.

– Ulka, Ulka, zbierasz plotki o rodzicach?!

– Sama prawda.

– Skąd znasz tę prawdę?

– Ojciec uczy nowe elity licytowania szlema, poniektórzy, oprócz wiedzy, że nie wychodzi się spod drugiego króla, prowadzają się na angielski do Metodystów. Do Metodystów semestr wyżej uczęszcza córka naukowca, na konwersację jego syn. Warszawa jest mała, powtarza nieraz mój tato. Ma rację. U Metodystów ćwiczy się w wymowie Angoli także jego uczennica i flama, jejmość ma ze trzy dychy z okładem, starawa, bizneslumen, ale może być z tego życie poczęte, a gdy się pocznie, ojciec rzuci matkę, a doktor-adiunkt z widokami na Belwedera, jak na moje rozeznanie, na trwałe z nią nie osiądzie. Stara zostanie sama, może wpaść w panikę i będzie kaszana.

– I tak sobie wymieniacie wiadomości o rodzicach u tych Metodystów?

– Ja nie douczam się u Metodystów! Babciu, w mojej szkole wszystkie przedmioty wykładane są po angielsku, dlatego ojciec zagnał mnie do Angola, gdy tylko przestałam sikać w pampersy. Ja nie znam się z dziećmi doktora-adiunkta z widokami na... Tylko Wiga, siostra mojej przyjaciółki Kai. Ich starym już nie starczyło kasy na obcojęzyczną szkołę dla Wigi, uczy się w polskiej, na angielski chodzi do Metodystów.

– I jak katar rozsiewa wiadomości po różnych domach.

– Nie czepiaj się Wigi. Jest w porządku.

– A cóż to za imiona?

– Jadwiga i Katarzyna.

– Masz jeszcze jakieś towarzystwo?

– Ja nie mam towarzystwa, na mnie nikt nie zwraca uwagi.

– Przed chwilą słyszałam, że masz przyjaciółkę.

– Od niedawna. Zaczęło się od przypadku.

Z początku Katarzynie nie zależało na Ulce, nieefektywnej, wciąż jakby sennej, bladej okularnicy wyciągniętej ku górze jak łęt kartoflany, pnący się rozpaczliwie z ciemnicy ku światłu. Oceniała Ulkę na kryptokujona zaliczającego bardzo dobre stopnie i niezmiennie rok po roku pierwszą lokatę.

Zbliżyło je do siebie nieposiadanie w domu kominka.

– U kogo z was jest kominek? – zapytała nauczycielka literatury angielskiej, przy okazji omawiania klasyki, gdzie roiło się od takich utensyliów.

Podniosły się ręce. Bezkominkowe okazały się dwie uczennice, Ulka i Katarzyna.

– Pani naruszyła naszą prywatność – głośno oburzyła się Ulka. Nauczycielka bez komentarza przeszła do tematu.

– Masz kolegów? – pyta teraz Marta.

– Mniej więcej połowa to chłopaki, ale jak się wybrałam na szkolną dyskotekę, przez godzinę podpierałam ścianę.

– A po tej godzinie?

– Wysłałam. Chłopaki nie zwracają na mnie uwagi. Mnie nawet w tramwaju nie zaczepiają – ułał się z dziewczyny żal. Musiał być wielki, skoro się poskarżyła. Jeśli już zawierzała jakieś swoje niepowodzenia, to tylko Babce.

– I bardzo dobrze. To jeszcze niedorostki. Nie potrafią właściwie ocenić dziewczyny.

– Potrafią. I chcą dowodu miłości.

– I dziewczyny godzą się na te dowody?

– Jedne się godzą, inne nie. Które się nie godzą, rzadko mają stałego chłopca, z wyjątkiem podobnych do Kai.

– Co nadzwyczajnego w Kai?

– Jest piękna i bardzo sexy, każdy ma nadzieję, że wreszcie z nim się puści.

– Jak ty się wyrażasz?

– Zwyczajnie.

– Katarzyna nie ma stałego chłopca?

– Ona się nie puszcza. Uroda to jej jedyny kapitał i postanowiła dobrze go zainwestować. W jej domu się nie przelewa.

– Jesteście głupie jak stołowe nogi. Rozpuściłyście chłopaków. Jedna przez drugą łapie byle kijankę...

– Jaką kijankę?

– Zadek na mężczyznę, z czego może wylęgnąć się mężczyzna, a może i nie, bo

wielu z nich pozostaje w fazie kijanki na zawsze. Podobnie bywa z dziewczynami.

– Bogna wyszła ze stadium kijanki?

– Najtrudniej oceniać bliskich.

– Ona myśli tylko o sobie i swoim socjologu, poza nim nie jestem pewna, czy ktoś ją jeszcze obchodzi.

– Postaraj się jej nie osądzać, nasza prawda niekoniecznie bywa prawdą uniwersalną. Nie wymagaj od ludzi doskonałości, kochaj ich takimi, jacy są. Nie zawsze na miłość odpowiedzą miłością, ale nigdy na nielojalność, nieżyczliwość, zawiść...

6.

– Mnie nie zależy na rekompensacie – przekonuje Bogna.

Zdarzyła się rzecz przykra. Rada Instytutu mimo wniosku podpisanego przez adiunkta nie przyznała Bognie wynagrodzenia za odrzucone rysunki.

– Ale mnie zależy.

– W naszej sytuacji nie powinieneś zabiegać o moje dobro.

– Nasza sytuacja nie ma nic do rzeczy. Tobie należą się zaległe pieniądze. Kondycja finansowa Instytutu nie usprawiedliwia wyzysku.

– Rozróżba wisi na włosku.

– To niech się ten włoszek urwie.

– Jeśli odkryją nasz związek, wiesz, co powiedzą?

Dotychczas chroni ich latami ugruntowana nieskazitelna opinia Adama. Nikomu nie przyjdzie na myśl podejrzewać adiunkta o romans na oczach całego gremium, tak dalece jego dotychczasowe zachowanie, sposób bycia, usposobienie wreszcie, nie kojarzyło się otoczeniu z inną, poza żoną, kobietą w jego życiu.

– Jakim sposobem on ma dzieci?

– Przez pączkowanie dusz – co jakiś czas rezygnowały kolejne panie ze sprowadzenia adiunkta na manowce. Zwierzę monogamiczne – z nostalgią wzdychały doktorantki kolejnych generacji. Zresztą nieliczne, bo Instytut był męski i niezbyt przychylny damom, jak głosiła obiegowa opinia, pomawiająca adiunkta o mizoginizm.

– Jesteśmy dorośli. To wyłącznie nasza sprawa. I nikomu nie pozwolę na ingerencję – zapowiada.

Czuł się w porządku. Nigdy nie nadużył dobra Instytutu. Nikt nie może mu zarzucić prywaty.

Z pewnością nie pozwoli. Bognę zdumiewała w nim ta wręcz dziecinna nieznajomość ludzkiej natury, układów, sprzecznych interesów, ambicji, zawiści i zwyczajnej złej woli, zwłaszcza w momentach większych przesilen społecznych, kiedy zbiorowa świadomość szczególnie odbiera rozchwiany ład.

Instytut nie stanowił wyspy oderwanej od rzeczywistości. Kadra i magistrzy nie pochodzili z gwiazd. Byli stąd. Podobnie zmęczeni, przerażeni, zdeorientowani, z nadziejami, pragnieniem wybicia się, osiągnięcia korzyści, utracenia konkurentów, odegrania się, pogwałcenia antagonistów. Natomiast ten utalentowany naukowiec, autor liczących się prac, jak gdyby nie wiedział, co się dzieje pod jego nosem. Może nie chciał wiedzieć, był ponad lub tylko usiłował być.

Bogna podziwiała jego siłę charakteru, prostolinijność, rzetelność w każdych okolicznościach. Miał wszystko, czego jej nie dostawało, ale jego postanowienie utwierdzało ją w przekonaniu, że musi przejąć inicjatywę i wybrnąć z niebezpiecznej sytuacji bodaj pokrętnie, jeśli nie mają polec w pięknej katastrofie.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało i więcej nie zajmuj się sprawą. Pozwolisz, zdecydują według własnego uznania. Przyznasz, rekompensata to wyłącznie moja działka.

– Niezupełnie. Moja również. Odmowa godzi we mnie. Co najmniej poddaje w wątpliwość moje metody, mój styl pracy. A tego nie zniosę.

Bogna rozumie. Adam nie ustąpi. Ucierpiała jego duma. Naruszono jego obszar osobisty. Perswazje nie pomogą. Atmosfera okazuje się znacznie cięższa niż oceniła. Postanowienie Adama komplikuje rzecz do granic możliwości. Zaczyna się o niego bać.

Nie uwzględnienie przez Radę roszczeń plastyczki wycelowane w adiunkta, zaczyna funkcjonować jako rozgrzewka przed walną rozprawą żadnej pieniędzy i znaczenia grupy mniej lub więcej utytułowanych panów z kadry, przymierzających się do zagranicznych stypendiów, dotacji, lepszych miejsc na liście płac, albo pragnących zachować przynajmniej *status quo*.

Trwa podwyższona temperatura po decyzji Rady. Bognę prosi do siebie Profesor belwederski.

Takiego wyróżnienia nie sposób ukryć. W tej niewielkiej, zamkniętej, kastowej społeczności zawsze jest wydarzeniem. Profesor zaszczyca uwagę rzadko, zwłaszcza pracowników spoza naukowego gremium.

Bogna jak tarczę niosła pod pachą tekę odrzutów, których zażądał szef. Magistrzy

nagle zaczęli mieć nie cierpiące zwłoki sprawy do sekretariatu, wyroili się na korytarz, niby zajęci własnymi problemami, oglądali przemarsz Bogny, jakby była właśnie testowaną, unikalną, kosztowną, samobieżną pomocą naukową.

– Jest pani osobą interesującą... – zagaił Profesor i umilkł, speszony własną dezynwolturą. Komplement wypadł niezręcznie, wywołał zakłopotanie obojga.

– Dziękuję – wyjąkała Bogna, odbierając pochwałę bardziej jako ostrzeżenie niż hołd złożony jej indywidualności.

– Zagadnienie jest delikatne – Profesor z roztargnieniem przewraca arkusze odrzutów, unikając spojrzenia Bogny. – Oczywiście nie odmawiam słuszności pani roszczeniom. Czasami jednak należy ustąpić, a raczej odłożyć rozstrzygnięcie... Sytuacja ogólna jest trudna i warto cofnąć się o krok, żeby później wygrać. Solennie przyrzekam, wszelkie zobowiązania będą dotrzymane.

– Panie profesorze, ja się nie upieram. Dawno zrezygnowałam z tych pieniędzy. Rzecz uważam za zakończoną i jest mi przykro, że reperkusje dotarły aż do pana.

– Nie przyjmuję rezygnacji, tylko odłożymy uregulowanie na sposobniejszy czas.

– Nie chcę stać się przyczyną uchylecia decyzji Rady.

– Jest pani mądrą kobietą. Zaręczam, korekta wniosku wyniknie z woli Rady. Tej, czy w innym składzie, nie ma znaczenia. A zatem zgoda?

– Jak pan sobie życzy, panie Profesorze.

– A więc rozumiemy się. Bardzo mnie cieszy. Bardzo. Gdyby jeszcze zechciała pani powiedzieć w tej sprawie słowo adiunktowi.

– Ja?! – Bogna czuje rumieniec wypęłzający na policzki, walczy z nim rozpaczliwie i beznadziejnie, zdradliwa fala wznosi się po nasadę włosów.

To tylko nerwicowe rozszerzenie naczyń – tylko – żeby w tym wieku.

– Dlaczego nie? Pani jest osobą najbardziej zainteresowaną. – Szklą Profesora promieniują samą życzliwością.

– Spróbuję, ale ze mnie kiepski mediator – opanowuje się Bogna. Kompromitujący war powoli ustępuje z twarzy.

Okropne – reaguję jak małolata.

– Jeszcze jedno. Niebawem będziemy mieli spotkanie z zagranicznym sponsorem *in spe*, nie lubię tego terminu, lecz na razie nie wymyśliłem lepszego. Liczę na panią.

– Tak, panie Profesorze, dziękuję panie Profesorze – odruchowo mówi Bogna.

Spotkanie z zagranicznym – drops na osłode piguły – dlaczego przyjął drops – dlaczego – tak – panie profesorze – tak – panie profesorze – przepraszam że żyję, panie

profesorze – omal nie dygałam – słowo adiunktowi – wie o nas – domyślał się – teraz jest pewien – przez ten kompromitujący rumieniec – podejrzewał, że żeruję na Adamie – udzielił audiencji – ostrzeżenia – osłonił przed kłami kadry.

Źle oceniła sytuację. Jest znacznie poważniejsza niż się jej dotychczas wydawało. Chodzi o pieniądze. Gdy stawką są pieniądze, nie oszczędza się kobiet ani dzieci, nie ma dżentelmenów, zaczyna się wolna amerykanka. Bogna tłumi panikę.

Instytut przypomina węzę szerszeni. Już powszechnie wiadomo, że dominium Profesora nie ostoi się w dotychczasowym kształcie. Część kadry dotknie redukcja. Nie zwiększony, ale i nie okrojony, budżet zasili uposażenia pozostałych, podobno jednak nie w formie wyższych pensji lecz systemu nagród za konkretne, udokumentowane wyniki. Podobno, bo jeszcze nic pewnego, przekaz mówiony.

Zdania już podzielone, jedni są za podniesieniem uposażeń związanych z etatem, a nie uznaniowych premii za enigmatyczne osiągnięcia, które różne grupy interesów mogą dowolnie interpretować. Przede wszystkim jednak weryfikacja. Samo brzmienie tego pojęcia ożywia zastarzałe fobie, urazy, pragnienie odwetu, zawiść i ambicje. Fermentują, urastają, krążą pod powierzchnią, gotowe wykipieć pod lada pretekstem.

Tymczasem co robi adiunkt, w aurze niepewności, braku stabilizacji, lęku o stan posiadania jednych i nadziei na lepsze innych? Adiunkt, jak gdyby nigdy nic, tworzy precedens, wyróżnia i podejmuje znaczące zobowiązanie czyli uszczupla budżet przeznaczony na poprawę statusu materialnego pracowników naukowych. Na rzecz kogo? Jakiejś Obcej, zatrudnionej na zlecenia.

Magistrzy popadają w chorobę sierocą, łaszą się, przymilają i skrupulatnie śledzą dowody łask. Nic nie uchodzi ich uwadze, nawet tak marginalna zaszłość jak odrzuty. Uważają, że adiunkt niesłusznie faworyzuje plastyczkę, w końcu to przecież przybędą nie przypisana do środowiska ani etatu. I jeszcze jedno. Odrzuty tworzą się głównie przez styl pracy adiunkta.

Zanim Bogna zorientowała się w czym rzecz, odczuła zmianę. To nie byli już ci sami mężczyźni, zawsze chętni do świadczenia drobnych uprzejmości, ogromnie intelektualni i męscy, dowcipni i elokwentni w pobliżu atrakcyjnej kobitki, w pewien sposób uzależnionej od nich, ich męskiej pracy, ich męskiej pozycji zawodowej, ich męskiej uwagi. Wszyscy gotowi byli odebrać kod Bogny, który wyczuwali, chociaż nie był skierowany do żadnego z nich.

Niecierpliwych i zbyt przedsiębiorczych Bogna stopowała bardziej lub mniej taktownie, z miejsca likwidując próby grożące niepożądaną zażyłością. Te likwidacje nie

minęły bez śladu. Niektórzy poczuli się urażeni i zachowali ów cień, nawet nie zdając sobie sprawy, że pozostał. Dał znać w sprzyjających okolicznościach.

Z czasem wszyscy przywykli do kobitki nieczulej na awanse, tym łatwiej, ponieważ żaden nie mógł się pochwalić szczególnymi względami. Tak Bogna przestała stanowić prowokującą nowość, ale pozostała Kobitką i dopóki była rodzajem ozdoby, pomysłem adiunkta na obrazowe przedstawianie niektórych ćwiczeń, estetyczną pomocą naukową ładnie zaprogramowaną, budziła zainteresowanie, a nawet przyjazne uczucia. Teraz nagle straciła płęć, z dnia na dzień stała się zagrożeniem, podstępny osobnikiem wyciągającym ręce po ich pieniądze, kto wie, czy nie po zaszczyty, awanse i zagraniczne stypendia.

– Wodogrzmoty w szambiarce. To im przejdzie – pocieszył Bognę jeden z tych, którzy nie widzieli w niej konkurencji ani do splendorów, ani do kasy.

Bogna, nie zwierzając się z zamiarów, zaczyna szukać zajęcia i stwierdza, na razie z lekkim niepokojem, że w jej branży możliwości bardzo zmaleły. Skromniejsze sklepy urządzają wystawy własnymi siłami, a bogate mają na zawołanie nawet uznane nazwiska.

Marzy o rozstaniu z Instytutem, zanim nastąpi spotkanie ze sponsorem, które jakoś się odwleka. Zapracowany kapitalista widać nie może oderwać się od interesów gdzieś na innym końcu świata, lecz nie trwa to na tyle długo, aby Bogna zdążyła znaleźć nowe miejsce na nagle zawężonym i coraz bardziej wymagającym rynku pracy.

– Profesor liczy na ciebie – mówi sekretarka, przynosząc Bognie imienne zaproszenie. Opiewa na dwie osoby. Drugie miejsce nie jest zarezerwowane dla męża. W każdym razie jego nazwisko nie figuruje na bilecie zadrukowanym złotą kursywą.

I Bogna znowu nie potrafi odmówić.

– Nie mam się w co ubrać! – telefonuje do Magdaleny.

Tryb życia Bogny nie wymusza niezwykłych kreacji, zwłaszcza wieczorowych. Na kupno czegoś specjalnie z okazji przyjęcia w Marriotcie, nie może sobie pozwolić. W podobnych okolicznościach ratuje ją szafa Magdaleny, chociaż jeszcze się nie zdarzyło, aby coś stamtąd wybrała. Szafa Magdaleny działa inspirująco. Bogna buszuje wśród zaprzyszłych i terazniejszych strojów przyjaciółki i nagle przychodzi na myśl zapomniany w koszu na pawlaczu prezent, jaki sobie kiedyś zrobiła za pieniądze zarobione niespodziewanie. Jedwab.

– Mam bryt beżowego atlasu. Doskonały gatunek. Wystarczy na gładką tunikę i szal – w twórczym natchnieniu już widzi refleksy światła na miękkiej tkaninie podkreślającej kształt, który opływa. Pomysł fasonu nie ma nic wspólnego z żadną z oglądanych sukien.

– Modna jest czerń i perły – podpowiada Magdalena.

– Nieważne. Tylko muszę mieć beżowe czółenka.

– Widziałam włoskie. Armaniego – Magdalena wymienia cenę i sklep, gdzie zauważyła odpowiednie prunele.

– Za takie pieniądze mogłabym dostać rzecz gotową i nie dorabiać się skrzywienia kręgosłupa nad maszyną do szycia po nocach – dla zasady oburza się Bogna.

– I tak, i tak musiałybyś wydać na odpowiednie obuwie. Najważniejsza jest stopa i głowa – Magdalena rozumie, Bogna potrzebuje wsparcia w tym szaleństwie.

Po małej dyskusji Bogna przyjmuje punkt widzenia Magdaleny. W zasadzie czysta oszczędność. Dokupić tylko obuwie, a ileż kosztowałby cały strój. Logiczne? Jeszcze jak. Dla pantofli Giorgo Armaniego można poświęcić całą filozofię, cóż dopiero trochę zdrowego rozsądku. Pozostaje sprawa środków.

– Pożyczę ci, nie powinnaś wyglądać jak kopciuch, skoro na dobrą wróżkę nie możesz liczyć. Z kim się wybierasz?

– Z nikim.

– Sama nie możesz tam iść. Zorganizuj faceta, chociażby tego knociarza od knajpianych wystrojów.

– Nigdy nie był knociarzem, ale teraz oprócz wnętrzarstwa zajął się obrotem sztuką przez duże ES.

– Marchand?!

– Tak. Prowadzi galerię.

– Bardzo dobrze. Ma prezencję i pozycję.

– Nie jestem pewna, czy będzie chciał wystąpić jako wieszak na wieczorowe ubranie.

– Ja pod ręką nie mam nikogo. Nic ci nie mogę podrzucić. Deficyt, total. Czas biegnie. Młodzi i piękni jakoś się dziwnie odkształcili, wielu przyjaciół pogubiłam w pogoni za karierą. Ale, ale! Mam doradztwo prawne w agencji wypożyczającej modele męskie do reprezentacji. Mogę ci załatwić ze zniżką ślicznego przygłupa z manierami lorda, wytworną siwiznę albo intelektualnego studenta ze starszego rocznika. Stawka od godziny.

– Płatny facet do towarzystwa? W życiu!!!

– Ostatecznie spróbuj namówić męża.

– Od dawna nigdzie ze sobą nie chodzimy, nawet na spacer. A już zaproszenie wypisane na moje imię przyjąłby jak obelgę. Zawsze był uczulony, aby nie zostać postrzeganym jako mąż swojej żony. Poza tym wołałabym w ogóle tam nie iść niż z nim. Niesmaczne.

– Zapomniałam, przecież tam będzie książę. Pewno nie postąpi z podobną subtelnością i przytarga małżonkę. Przekonasz się.

– Masz rację. W Instytucie nie ma zwyczaju przyprowadzania kochanek na oficjałki.

– A ja ci radzę, rozejrzyj się za przypominającym mężczyznę facetem. Samotne emancypantki w wieku post-poborowym na salonowych spędach, status nie do pozazdroszczenia. Kobieta bez pary w takich okolicznościach musi być albo Wielką Wdową, albo znaną ekscentryczką, albo gwiazdą w jakiejś dziedzinie sztuki, albo bardzo Kimś. Inaczej towarzyszy jej dyskretny czar lekceważenia lub współczucia, jakby miała garb, łysinę czy krótszą nogę.

– Jestem bardzo Kimś.

– Winszuję dobrego samopoczucia, lecz oni o tym zdaje się nie wiedzą. Natomiast brak mężczyzny w tle jest pewnego rodzaju kalectwem. Wiem coś o tym. Mam doktorat, wysoki iloraz inteligencji, znam trzy języki, ale nierzadko syczą za mną: stara panna, a najmniejszy błąd wywodzą z mojego stanu cywilnego i mój stan cywilny jest najbardziej znaną z moich cech.

– Nie przesadzasz? Trzecie tysiąclecie *ante portas*.

– Najwyżej trochę...

– Kobieta zamężna w towarzystwie cudzego mężczyzny, też nie bardzo... Jakby nie było, to są belfry. Z istoty zawodu wynika pewien dystans do zbyt, powiedzmy, niekonwencjonalnych obyczajów.

– Poproś knociarza! Nie musisz nikomu tłumaczyć, czyj to mąż. Tym bardziej, że nie ma żony. Właśnie, dlaczego? Facet pod czterdziestkę, świetna prezencja, wprawdzie fach niestabilny, jednak, jak mówisz, dobrze sobie radzi. Jaką ma skazę?

– Nie sprawdzałam.

Wieczorem Bogna kroi i zszywa paski tkaniny.

– Co robisz? – zaciekawia Ulkę sutasz przygotowywany do aplikacji, najwięcej wymagający czasu.

– Sukienkę autorską – chwali się Bogna, wywracając na prawą stronę wąskie, długie tutki z atlasu.

– Pytam o ten makaron – uszyte ze skosu taśmy, śliskie i lśniące jak skłębione żmijki, Ulka nonszalancko porównuje do klusek. Ale takie zainteresowanie ubiorem stanowi rzecz niezwykłą. Ulka ostentacyjnie i programowo nie zwraca uwagi na szmaty niegodne osoby poważnej, za jaką się ma.

Z braku miejsca lustro jest wmontowane wewnątrz drzwi łazienki. Bogna czeka z przymiarką, aż Ulka skończy wieczorne misterium kąpieli, później zwleka, dopóki córka nie położy się spać. Nie, nie ukrywa swojego zajęcia, jednak czeka w zakuchennym kącie na

odejście dziewczyny do swojej izby przezywanej *coupé*, kształtem przypominającej kolejowy przedział sypialny. Dopiero wtedy staje przed otwartymi na przedpokój drzwiami ze zwierciadłem.

W srebrzystej tafli jak wyrzut sumienia pojawia się druga twarz. Urszula. Stąpa bezszelestnie w swoich śmiesznych papuciach z przeszwanymi uformowanymi w dwa zwierzęce ryjki patrzące oczyma z błyszczących guzików.

– Pod tę suknię powinnaś kupić sobie Perłę albo nie nosić nic.

Odkąd ona rozróżnia firmy gorseciarskie? Od kiedy interesują ją staniki. Plaska i bezbarwna, jak gdyby jej ciało po rozstaniu z dzieciństwem nie miało odwagi zatracić kanciastości kształtu, przypominała pęd rośliny dźwigający się z ciemnicy ku słońcu. Zawsze jakby trochę senna, zwrócona do wewnątrz. Sprawiała wrażenie, że żyje odgradzona szybą od rzeczywistości, niezbyt zainteresowana tym, co się po drugiej stronie dzieje.

– Dobrze ci w tym kolorze... – przygląda się nieprzeniknionymi oczyma odbiciu Bogny. Inna. Obca. Świadek. Życzliwy, bezstronny, osądza matkę?

Bogna czuje się nieswojo. Dlaczego Ulka tak patrzy, co chce niemo wyrazić. Kim jest ta bliska-daleka dziewczyna. Jakie będzie jej życie. Szanse ma nieporównywalnie lepsze od matki. I ściśnienie serca. Jej córka. Jej miłość. Pretekst i kula u nogi. Obróć się w kamień, podle słowo! Nie pomyśleć w złą godzinę – odżegnuje niebezpieczeństwo zwyczajem Marty.

Ulka patrzy.

Za mało ją kocham – zabrane dziecku uczucie oddaję Adamowi – nonsens, to są inne miłości – inne – miłość jest pazerna – nigdy nie syta czasu uwagi – czas dla Adama odejmuję Ulce.

– Interesujące – wynurza się zza swego milczenia Urszula i przygląda sylwetce matki wymodelowanej w złocistobeżowym atłasie.

– Nic modnego z sensem nie dało się zrobić. Mało materiału – Bogna okręca się wolno, bada cyrkiel prostej tuniki z zaznaczoną talią. Szal osłania i odsłania gors, przerzucony przez ramiona na plecy, sięga skraju sukni, na tej samej wysokości uwypukla się szlak aplikowany sutaszem wypracowanym ze skrawków atłasu, eksponujący się lśniąca fakturą na matowej powierzchni kreacji, i matową repliką na błyszczącym szalu.

– Jest bardzo piękna.

– Mogę się w niej pokazać między ludźmi?

– Możesz i wiesz o tym bez mojej aprobaty. Dokąd się wybierasz?

– Party ze sponsorem Instytutu.

– Jako kto?

- Nie rozumiem.
- Jesteś niezbędna Instytutowi czy... Bez ciebie nie mogą się obejść?
- Mogą. Zwyczajnie. Zaprosił mnie Profesor.
- Twoja umowa z nimi zobowiązuje cię do towarzyszenia ich notablom w knajpach?
- Ulka, o co ci chodzi?
- O nic. Chcę tylko wiedzieć, czy będziesz tam jako ktoś, czy...
- Czy?
- ... jako piękny bibelot.
- I miej tu, człowieku, dzieci – wykręca się Bogna niby żartem. Wewnątrz wrze. Co ta smarkata sobie myśli. Nie dać się sprowokować. Nie wybuchnąć. Trudny wiek. Skąd to okrucieństwo. I usłużny stereotyp. Po ojcu.
- Przypominasz szczeniaka wypróbowującego zęby. Głębszy chwyt. Jeszcze głębszy i jeszcze. Zacisnąć szczęki. Ale ja nie jestem starym butem do ogryzania. Boli.
- Nie chciałam. Przepraszam. Idziesz sama na tę balangę? Gdzie się będzie działa?
- W Marriotcie. Zaprosiłam Magdaleny – kłamie Bogna. Dobiło ją porównanie z bibelotem i nie ma odwagi powiedzieć prawdy.
- Magdalena przyjedzie po ciebie?
- Nie, ja idę do Magdaleny – brnie Bogna. Owszem pójdzie do Magdaleny, u niej zmieni strój i stamtąd zabierze ją Sowa. W taki sposób uniknie wyjścia z domu bez męża w zwracającej uwagę wieczorowej sukni.
- Wzór aplikacji przypomina secesję – Ulka zakopuje topór, bada wypukły rysunek sutaszu na szlaku, układający się w wystylizowane kwiaty nasturcji.
- Tak, ściągnęłam z Wyspiańskiego.
- Jakbyś się tak zajęła projektowaniem?
- Mnie przychodzą pomysły tylko na własny użytek i tylko wtedy gdy mam nóż na gardle.
- Jeśli się wdasz we własne przedsięwzięcie, wciąż będziesz miała nóż na gardle.
- Model jak ten, jest bardzo wypracowany, pojedynczy musiałby kosztować okropnie drogo. Kogo stać na stroje autorskie, ten chce mieć stempel Paryża, Rzymu, Londynu. Jeśli już kogoś z rodzimych to Xymeny, Antkowiaka, Arkadiusa, nie Bogny jakiejś tam. Wprawdzie markę można zdobyć, ale wtedy trzeba oddechu, czyli czasu i pieniędzy, a ja ich nie mam.
- Jeśli nie spróbujesz inaczej, tylko na jakichś zleceniach, nigdy nie będziesz miała.
- Czego ci brakuje?

– Wolności od niedzielnych obiadów w gronie rodzinnym.
– Nie nadążam. Co mają duże pieniądze do rodzinnych obiadów.
– Może gdybyś je zarobiła, nie siedziałabyś pod jednym dachem z facetem, który cię nic nie obchodzi. Ani ty jego. Krypta rodzinna. Porozumiewacie się pomrukami i wierzycie, że cotygodniowy wspólny stół czyni z tej przechowalni dom. I pewno robisz to dla mnie. Dla dobra dziecka.

– Dla nas wszystkich.

– Sama nie wierzysz w tę przypowieść. Nie pamiętam, żebyście z ojcem mówili o sobie MY. Powinniście się rozejść. Oboje się męczycie, a ja z wami. Ale tobie brak odwagi i środków na mieszkanie, ojciec nie ruszy palcem, aby coś zmienić, dopóki nie wdepnie w inny układ. Wtedy ty zostaniesz najbardziej poszkodowana.

– Nie będziesz cierpiała, jeśli bym odeszła?

– Będę. Lepszy jednak zgryz niż kacze bajoro, w którym siedzimy po uszy.

...piją wodę morską, mówią lemoniada... potem ukradkiem rzygają...¹ napisał poeta wprawdzie z innej okazji, ale pasuje do nas.

– Co ci się stało, Ula?

– Ktoś wreszcie musiał powiedzieć głośno. Poza tym dorosłam. Skończyłam piętnaście. Nie zauważyłaś, chodząc z głową w różowych chmurach. Zdarza się. Taka atmosfera przyspiesza wychów młodych.

– Mówisz jakbyś miała do mnie żal – Bogna ostrożnie nie tyka różowych chmur. Jeśli nie są zwyczajną przenośnią, nie czuje się na siłach tłumaczyć.

– Chcę ci uświadomić, że ta koścista okularnica, nocująca w *coupé*, nieatrakcyjna i mrukowata, widzi, myśli, czuje, kojarzy.

– Tak nas widzisz? Przeróżające.

– A ty jak siebie widzisz?

Bogna milczy. Musiałaby odpowiedzieć, że wypracowała sposób, aby nie patrzeć na siebie zbyt krytycznie.

– Jesteś struś. Dobranoc.

¹ Adam Ważyk – *Poemat dla dorosłych*

7.

Do Ewy jeździ się na początku i pod koniec wakacji. Ewa należy do letniego pejzażu, jak dom babki, jezioro i las. Ewę odwiedza się, odkąd Ulka sięga pamięcią, również jeśli wypada droga w pobliżu. Właśnie tak, odwiedza.

– Odwiedzimy Ewę – mówiła babka, od zawsze.

Małą Ulkę lokowała w wiklinowym foteliku umocowanym na ramie roweru, większej Ulce kupiła rower. Pedalowały na skrótym leśnymi duktami, zostawiały swoje pojazdy wsparte o okalający cmentarz niski murek ze spojonych cementem otoczków, wkraczały w obszar szczególnej ciszy, podkreślanej tylko tryłem ptaka.

W starej kwaterze grzebalnej płasko rozłupany olbrzymi kamień przykrywał mogiłę, chropawa powierzchnia błyszczała w słońcu drobinami miki, jego druga część wzniesiona pionowo miała fragment wypolerowanej płaszczyzny, na nim wyżłobiony znak krzyża, u podstawy dwa portrety na porcelanie. Ewa i Łukasz. Różne daty urodzenia i wspólna śmierci. Niespełna siedemnaście i dziewiętnaście lat.

– Ewa i jej mąż – za każdym razem przedstawiała babka tych dwoje, znanych Ulce ze ściany, przodków, na nagrobnej ceramice nie złączonych ślubną bliskością. To były reprodukcje innych fotografii, każda oddzielnie na własnym białym owalu, chociaż owale umocowano na głazie jeden obok drugiego.

– Twoja rodzona babka – dodawała Marta po chwili milczenia.

Owa prawda długo do Ulki nie mogła dotrzeć. Brzmiała jak bajki opowiadane do poduszki na dobranoc, bardziej zajmujące od telewizyjnych, bezbarwnych.

U Marty latami nie było kolorowego aparatu. „Używany, ale w doskonałym stanie” dostała od ciotki Karoliny w prezencie. Później coraz częściej Karolina zastępowała swój dobry lepszym, lepszy jeszcze lepszym, jeszcze lepszy jeszcze-lepszym, i kolejny model coraz nowszej generacji zsyłała do Sarniej w charakterze podarunku, przywożąc go latem razem ze sobą.

Mimo coraz większych ekranów i doskonałej barwy, opowieści babki nic nie utraciły ze swojej atrakcyjności, ale poza najwcześniejszym dzieciństwem nie mieszały się Ulce z rzeczywistością. Podobnie przez całe lata, stwierdzenie babki nad mogiłą zdawało się pochodzić z umownego świata wieczornych fabuł.

Nie, babka Marta nie kłamie. Ulka jej wierzyła bez zastrzeżeń, przez co jednak wcale nie stawiała się realniejsza bardzo młoda dziewczyna ze snopem długich włosów

przerzuconych przez ramię, luźno przewiązanych aksamitką, widoczna na nagrobnej płycie.

– Ewa jest moją jedyną córką, twoją babką, matką Bogny – Marta nad tą kamienną płytą nigdy nie powiedziała o pogrzebanym tu swoim dziecku w czasie przeszłym.

Odkąd do Ulki dotarł prawdziwy sens od maleńkości znanej prawdy, odbierała ową prawdę umysłem, nie sercem. Nie potrafiła zaakceptować emocjonalnie na należnym miejscu ani obdarzyć głębszym uczuciem tej młodziutkiej dziewczyny mimo całej wiedzy o rodzaju pokrewieństwa. Nadal pozostawała niekłopotliwą, nawet miłą, właściwie nierzeczywistą, znajomą z fotografii, natomiast prawdziwą, kochaną, jedyną jest babka Marta, matka Ewy, czyli prababka Ulki. Jednak owo pra – dla Ulki nie ma żadnego znaczenia.

Ewie towarzyszy cień Łukasza.

Miano: babka w odniesieniu do Ewy odbierała identycznie jak mąż do jej męża. Nie budził też refleksji brak imienia własnego poza rytami na pomniku, chociaż inni mężowie, innych kobiet, mieli.

– Łukasz jest moim dziadkiem? – upewniła się na wszelki wypadek Ulka. Jej nowa świadomość żądała jasnego określenia miejsca męża Ewy w szeregu nieżyjących krewnych, zwłaszcza po usłyszeniu pamiętnej wymiany zdań Karoliny z babką.

Odwołując się do im tylko znanych faktów z przeszłości, ciotka odmawiała jednemu ze sportretowanych prawa do pamięci. Miałby to być mąż Ewy? Chyba dopiero wtedy Ulka na dobre uświadomiła sobie, że mąż Ewy, poza wykutym na pomniku, właściwie nie ma imienia, w każdym razie nie pamiętała, aby kiedykolwiek słyszała je od babki Marty.

Podobnie działo się z modrzewiami.

Modrzewie mieli Ewa, Bogna, ojciec Ulki, nawet ten rzadko wspomniany, za młody dziadek Henryk i tylko nie było drzewa męża Ewy. Rosły kępą w kącie siedliska, na granicy prywatnego z państwowym, tuż przy parkanie wzniesionym przez nadleśnictwo.

– Dlaczego mąż Ewy nie ma drzewa? – pierwsza Karolina wypatrzyła ów brak.

– Nie przyjęło się.

– Tak trudno o nową siewkę? – Karolina w ogóle uważała pomysł z modrzewiami za jeden z łagodniejszych bzików młodszej siostry, skoro już jednak nadaje imiona członków rodziny drzewom zasadzonym na tym siedlisku, gdzie łatwiej o borowika niż o sałatę, niechaj nie dyskryminuje właśnie Łukasza.

– Nieautentyczne – powiedziała przy Ulce innym razem.

Modrzewie nie były równoletnie z domem, nie były równoletnie z osobami, których miano nosiły. Jedynie drzewo Ulki zasadziła babka pierwszej wiosny po jej urodzeniu, pozostałe niejako z datą wsteczną, ponieważ dopiero w roku przyjścia na świat dziecka

Bogna zdobyła się na kupno domu.

– Drzewa nieautentyczne?! – oburzyła się Ulka.

W każde wakacje zaraz po przyjeździe biegła do swojego modrzewia. Pamiętała czas, kiedy był z nią równy i kiedy ją przerósł. Lubiła mieć własne drzewo swojego imienia. Posiadało tyle samo okółków co pozostałe, lecz wyciągnęło się ku górze bardziej niż rówieśne, co dobrze Ulce wróżyło.

– Dlaczego nigdy nie wspominasz Łukasza?

Marta wiedziała, że kiedyś Ulka zapyta o szczegóły. Z kiedyś, nagle zrobiło się teraz, a ona nie czuła się przygotowana bodaj do tego, aby bez rozpaczki wymówić jego imię, nie wspomniane latami. Od ponad trzech dziesięcioleci nazywała go mężem Ewy, nawet gdy po raz pierwszy o ojca zapytała Bogna, nawet w modlitwie.

– Opowiedz o nich – prosi Ulka.

– Bogna nie mówiła?

– Bogna powtarza tylko, co usłyszała od ciebie.

Bognie biologiczna matka wydawała się młodo zmarłą starszą siostrą. W innej roli nie umiała jej sobie wyobrazić. Prawdziwą matką pozostała dla niej na zawsze Marta i tak ją nazywała.

– Ty jedna ich pamiętasz.

Lata nie zatarły ani cierpienia, ani wspomnień. Są w niej zawsze. Czasami bolą łagodniej, czasami ostrzej. I nie zatarły ostatniego obrazu. Widzi ich, jak euforycznie szczęśliwi odjeżdżają, aby nigdy nie powrócić.

– Byli bardzo młodzi. Za młodzi.

– Też byłaś za młoda.

Ulka dokładnie sobie wyliczyła. Babka Marta urodziła Ewę nie mając pełnych siedemnastu lat.

– W wojnę inaczej przybywało dojrzałości. Żyło się z wielkim przyspieszeniem, a oni ani nie doświadczyli, ani nie pamiętali wojny. Pierwsze pokolenie nie obciążone przekleństwem zagłady.

– Może tamten klimat przekazałaś jej w genach, podobnie jak przekazuje się kolor oczu, rysy twarzy czy cechy osobowości – mądrzy się Ulka.

– W genach? Kiedy byłam w ciąży, dziecko razem ze mną przeżywało grozę nieludzkiego czasu, strach, trud tułaczki, niedostatek.

– Musieli się bardzo kochać, prawda?

Ulka pragnie usłyszeć o wielkiej miłości pary rodzinnych kochanków, bezcielesnych

istnień żywionych już tylko pamięcią bliskich, wciąż jednak w pewien sposób obecnych w niej, Ulce.

– Czy się kochali? Zauroczenie. Czad. Żyli w tym zauroczeniu niczym w innym wymiarze. Łapczywie. Szybko. Oderwani od rzeczywistości, nie dbając o dzień następny.

– Może przeczuwali, jak mało dano im czasu?

– Może...

Z perspektywy lat oczarowanie tamtych dwojga kojarzy się Marcie z tutejszą wiosną. Wybucha nagle feerią barw i kształtów, wprost marnotrawnym bogactwem, śpiesząc z kwitnieniem ku owocowaniu przed końcem krótkiego lata.

– Bardzo dobrze się uczyła, dopóki nie poznała tego chłopca.

Wtedy w zwyczajnym gimnazjum nie było miejsca dla brzemiennej uczennicy, nawet zamężnej. A ona nie przeniosła się do wieczorowego dla dorosłych. Wieczorów nie oddałyby za nic. Wieczory należały do niego. W dzień nie miał czasu nawet na największą miłość. Pracował na swoją karierę. Na przyszłość obojga. Tak mi tłumaczyli. On nigdy się zbyt nad książkami nie trudził, tym łatwiej rezygnował z jej wykształcenia.

– Czym się zajmował?

– Lekkoatletyką. Sposobiony do oszczepu od chłopaka. Przepowiadano mu wielką sławę. Szedł od wygranej do wygranej, wciąż lepszy i lepszy od innych i od siebie z poprzedniego zwycięstwa. Coraz było o nim głośniejsze... W technikum bywał gościem. Mówiąc bezstronnie, eliminacje, treningi, przygotowania do wyczynu odbierały czas i nawet to dotychczas dość przeciętne zainteresowanie nauką. Ale klub potrafił zadbać o ulgi dla rokującego zawodnika i nauczyciele przymykali oczy na jego braki w programie, przepychając dumę regionu z klasy do klasy. Właściwie fundowano mu oceny na świadectwach, jak puchary i nagrody za sukcesy na stadionach. Ale klubowi szefowie również nie pochwalali ich związku. Miłość absorbuje. Nic nie powinno konkurować z uprawianą dyscypliną. Wtedy on, jeszcze za mało ważny, położył uszy po sobie, do najbliższych, jakichś wielkich zawodów...

– Mistrzostw świata?

– Prawdopodobnie. Nie wiem. Nie pamiętam. Zresztą nigdy się na sporcie nie znałam. W każdym razie z prowincjonalnego klubu nie bardzo miał drogę w świat, a rzucanie patykiem – patyk, tak nazywał oszczep – było dla niego równie ważne, jak Ewa, może nawet ważniejsze?... Przez jakiś czas, żeby nie drażnić klubowych bonzów, spotykali się z Ewą potajemnie... Niebawem wygrał jakieś najstynniejsze zawody, przeniósł do lepszego klubu, tam nikt nie śmiał ingerować w jego osobiste sprawy. On poczuł się sławny i już zupełnie nie

dbał o szkołę... Nie, nie był mężczyzną dla Ewy...

– Widocznie był, skoro go kochała.

– Co mogło zostać z ich miłości po paru latach? Po ślubie przeżyła z nim niepełny rok, życiem żony marynarza. Każde spotkanie, święto. Nigdy nie zaznali próby dnia codziennego, zwykłych kłopotów. Mieli mieszkanie, gdzie bywali gośćmi, on przeważnie na niezliczonych obozach kondycyjnych, ona tutaj ze mną, w Sarniej. I znowu wygrał jakieś nadzwyczajne zawody i dostał skodę. W tamtym czasie rzecz właściwie niedostępna dla zwykłych ludzi, zwłaszcza dla niedouczzonego młokosa... I zabił ją i siebie w tym samochodzie, którego mu zazdrozczono... Bogna miała wówczas trzy miesiące.

– Wciąż go nienawidzisz, po tylu latach?

– Bóg mnie uchronił od nienawiści.

– Nawet nie chcesz pamiętać jego imienia!

– Gdybym mogła naprawdę zapomnieć...

– Przecież to ojciec Bogny. Gdyby się z Ewą nie spotkali, nie byłoby nas... ani matki ani mnie.

Ulka zamiera z przerażenia. Jak niewiele brakowało, żeby w ogóle nie zaistnieć. Gdyby tamta dziewczyna, Ewa, nie zakochała się niewłaściwie i za wcześnie, gdyby tamten chłopiec, Łukasz, posłuchał niezadowolonych z jego miłości szefów albo gdyby trzymiesięczną Bognę zabrali ze sobą w tę drogę, skąd nigdy nie powrócili. Ulce i jej matce uratowała życie, podarowała świat nierozsądna miłość, oczarowanie tamtych dwojga, za młodych, lekkomyślnych, nieprzygotowanych do dorosłej egzystencji, na trud wychowania dziecka.

– Pomyśl, oni mogli się w ogóle nie spotkać albo spotkać i nie mieć dziecka, w takim przypadku nie byłoby ani mojej matki, ani mnie. A ty wciąż żałujesz. Tak mało dla ciebie znaczymy... Wszystko Ona...

– Nigdy tak nie mów, Ula! Nigdy! Zrozum. Chociaż ręka ma pięć palców, człowiek dobrowolnie nie da uciąć żadnego. Przecież dziecko nieporównanie więcej znaczy niż palec. A wy obydwie jesteście takimi samymi dziećmi dla mnie jak Ewa.

– Może krótkie życie było jej pisane, i musiała żyć prędko i zachłannie. Za to miała dużo szczęścia. Wielką miłość. Łukasza. Bognę. I twoją wieczną pamięć. Można pozazdrościć. Ja to chyba będę żyła i żyła.

Z wielkiego strachu wobec, na szczęście niespełnionej, możliwości niezaistnienia, Ulka popada w ponure przewidywania wegetacji i beznadziei w przyszłej egzystencji, nieskończenie długiej i nieskończenie nudnej.

8.

Światło przyściennych lamp ścieka po miękkim atłasie, kładzie ruchome cienie, barwa jedwabiu podkreśla smagłość odkrytych ramion, uwydatnia granicę między nagim ciałem a tkaniną opływającą sylwetkę. Światowa Bogna, obuta w cienki safian Armaniego, kroczy obok eleganckiego Sowy. Prawdziwą Bognę ukrytą pod nieprawdziwą pewnością siebie ogarnia niepokój na widok ogólnej czerni i pereł.

Bicze, wielokrotne sznury, kanaki, zausznice, sopele, klipsy, naszyjniki, sztuczne i hodowlane, tajlandzkie, japońskie i Jablonexowe, gdzieniegdzie naturalne, emanują bladym lśnieniem na tle mory, tafty, szyfonu i aksamitu barwy antracytu.

– Zdaje się, że w tych beżach wyglądam jak Filip z konopi.

– Filip z konopi się wyrywa, nie wygląda. Nie przejmuj się, artysta jest ponad modą, artysta modę kreuje.

– ... znasz kobitkę?... tę jasną... nic ważnego, spoza środowiska, plastyczka na zleceniach... przypomina złocistego motyla... – monosylabami rozpryskują się i gasną urywki szeptów za plecami Teresy, żony Adama, idącej obok męża w świetle Profesora.

Profesor, na tle swojego dworu, zapoznaje zgromadzonych z ważnym gościem. Amerykanin, rośli i wypielegnowany self-made-man z osrebrzonymi skroniami, pachnie Yardleyem i zadowoleniem z siebie. Ma polskie korzenie. Odległa generacja chłopów spod Siedlec. Popisuje się znajomością słów z kraju pochodzenia przodków, jakie przetrwały w przekazie tych zamorskich pokoleń: koniak to okowita, kieliszek kwaterka i wišta wio, kiedy przechodzą od grupy do grupy.

– Cieszę się, że panią widzę – Profesor funduje przednią łapę Bognie i łaskawie zapoznaje Sowę ze swoim poglądem na pogodę, rejestrując jego kurtkę z czarnego aksamitu, spodnie z czarnego szewiotu i biały kołnierz Lorda Byrona nie skażony obowiązującym halsztukiem. Na tle wattermoderów, krawatów i smokingów przyodziewek Sowy jeszcze bardziej widać.

Teresa przechwytuje spojrzenie męża na kobietę w złocistych beżach. Tak patrzy mężczyzna. Od jak dawna nie patrzył tak na nią, Teresę. Profesor wita kolejnych gości. Za nim podąża dwór.

– ...motyl?... szal, noszony tyłem naprzód, ma przypominać skrzydła...

Czarna tafta na Teresie, pozbawiona pleców, ramion i gorsu, trzyma się tylko dzięki szczytkowym skrawkom tkaniny łączącym całą konstrukcję ze stójką opasującą szyję.

– Strój na duży wieczór, ten szal bardziej podkreśla niż osłania goliznę, a w ogóle ona jest wyzywająca – profilaktycznie sączy Teresa w ucho Adamowi.

Nie może się powstrzymać, chociaż wie, bardzo, bardzo nieelegancko obmawiać ludzi tak od razu, niejako na pniu. Jeśli już, operację przeprowadza się w domu, kiedy oryginału nie ma przed oczyma, a nie z masochistycznym poświęceniem utrwała go w pamięci delikwenta.

Adam zdaje się nie słuchać Teresy, nawet kiedy doskonały, naturalny jedwab złocistej kreacji ona degraduje do poziomu podszewki.

– O kim mówisz?

Doczekała się wreszcie jakiegoś znaku życia od niezwykle roztargnionego męża. Adam ucieka spojrzeniem od Złocistej, skrępowany i rozdrażniony. Reakcja jest nienaturalna, nie umie udawać ani przekonująco kłamać, nie ma wprawy.

Teresa rozumie, on nie chce rozmawiać o kobiecie w beżowym atłasie, ale dlaczego jest taki zły. Zna tę nieruchomą twarz i ponury wyraz głęboko osadzonych oczu.

Zły? Adam jest wściekły.

Teresa łowi urywki ściszonych i nie zawsze wyraźnych słów.

– ...nie ma dyplomu... do sztuki weszła kuchennymi drzwiami... odkąd to się nazywa kuchnią... ten w welurowym kabacie to jej mąż... mąż nie mąż... w ich branży co noc inny mąż... oni tacy są... wybujały erotyzm... erotyzm sublimuje się w sztuce... z niej nawet niezła sztuka... ale to i cała jej sztuka... Jednym słowem, sztuką jest uprawianie sztuki przez sztukę, panie kolego...

Mimo całej przenikliwości, intuicji kobiety tracącej wieloletniego partnera, Teresa nie domyśla się, że przyczyna nastroju jej męża tkwi obok kobiety w beżowym atłasie. Rosły mężczyzna, któremu Bogna sięga do ramienia, przez co wydaje się jeszcze bardziej filigranowa i wiotka, jak niemodna porcelanowa figurka z za witryny szyfoniery, i jeszcze bardziej pożądana i nienawistna.

Dziwka. Jak śmiała przyjść tu z tym pajacem. Pierwszym lepszym z ulicy.

Dziwka. Bezwstydna dziwka. Motyl? Coś efektownego, co trwa krótko. Cieszy w słoneczny dzień nad rzeką. Ginie jesienią.

Skąd wzięła tego... menela w aksamitach, z golą grdyką – nie zdaje sobie sprawy, że sięgnął po określenie ze słownictwa swoich dzieci, ale łapie się na dyskwalifikowaniu osób za ubiór, co przed chwilą przyganił Teresie.

– Panowie – zwraca się do szemrzących – szanuję tę kobietę i w mojej obecności proszę wyrażać się o niej oględniej.

Galeria przycicha, tłumek magistrów topnieje. Teresa czuje się upokorzona,

wypowiedź męża odnosi przede wszystkim do siebie.

– Parafia – wybrzydza jakiś potakiewicz.

– Nie jestem pewien, czy Hennessy z kawiozem na tartince jest najwłaściwszym wstępem, może powinni podać campari lub inny aperitif – prezentuje wykwintne rozterki besserwisser.

– Kawior jest właściwy zawsze i o każdej porze – wtrąca się przechodząca obok dama z brylantem wielkości ziarna bobu na grubym palcu.

Zimny bufet zastawiono w sąsiednim pomieszczeniu, na razie jednak nikt nie zaprasza tam gości. Podobno spóźnia się ktoś bardzo ważny ze sfer rządowych. Cóż, punktualność jest grzecznością królów.

Kelner w smokingu obnosi koniak i kęsy żytniego chleba lśniącego czarną ikłą. Jego taca zdaje się niewyczerpana. Znika niezauważenie i z odrodzoną zawartością znowu krąży po sali.

Na Dworcu Centralnym, vis a vis Marriota, Nur wyławia ze śmietnika wyrzuconą tam bułkę z wędliną, która padła obok rozbitej świetlówki.

Ważny ze Sfer... z obstawą, kogutem i przeraźliwym alarmem, brmiącym jak skrzyżowanie sygnału karetki pogotowia z syreną straży pożarnej, zbliża się do Marriota.

Pikolo zbiera puste kieliszki. Trzeba jednak dobrze uważać, żeby nie ominąć następnej kolejki Hennessy, skrawka czarnego chleba połyskującego ciemnymi ziarnami z promieniem cytryny, hawany lub nadzwyczajnych mieszanek tytoniu, nabitego w nadzwyczajne gilzy z nadzwyczajnymi filtrami, przygotowanych w palarni.

– Czym się naraziłaś damie w czarnej tafcie i tajlandzkich perłach? – dowiadyuje się Sowa.

– Nie wiem, o kim mówisz – Bogna stara się nie spoglądać w tamtą stronę, ale to niemożliwe. Opanowała do perfekcji sztukę niby nie patrzenia i Sowa nie wie, że ona widzi każdy gest tamtej kobiety. Czuje się okropnie. Upokorzona. Zbyteczna. Wyrzucona na margines. Nie wyrzucona. Margines od zawsze.

Przygoda dojrzałego mężczyzny. Mężczyzna rozmienił piątą dziesiątkę, wszystko co mógł osiągnąć, osiągnął. Czeką go najwyżej jeszcze trochę pieniędzy więcej. Może trochę uznania więcej i z pewnością tytuł profesora belwederskiego, niewykluczony rektorat.

Przychodzi znużenie.

W młodości zakochał się albo tylko oczarował. Ożenił. Z latami przywykł do żony i czegoś mu nie dostaje w tym związku, pewnym i wygodnym, jak domowe ubranie. Czegoś brakuje, może odrobiny szaleństwa, fascynacji, niepewności.

Nie musi, ale tak się zdarza po czterdziestce. Na tym przystanku, skąd droga powoli, jednak stale zdąża ku krainie cienia. Pauza w osiągnięciach. Spojrzenie za siebie. Nie odczuwa, jak przywykał do żony. Spotyka inną kobietę i oddala się od żony. W tę pauzę, ani wiedząc, ani chcąc, weszła Bogna. Ot! Kobitka. Ci tutaj, gdyby wiedzieli, nazwaliby ją równie krótko, lecz dosadniej. Rozpaczliwie zazdrości żonie Adama, którą widzi po raz pierwszy.

– Rozszarpuje cię oczyma, jak kruczycza – donosi Sowa.

– Kruczycza? – bezmyślnie powtarza Bogna, zwrócona do wewnątrz, właśnie rozdrapuje swoje poniżenie.

– No, kruczycza czyli kobitka kruka. To taki ptak z rodziny krukowatych.

– Gdzie, nie widzę?

– Para od kudłatego supła.

– Supła?!

– Przybocznego kurdupła szefa instytutu.

– Mówisz o adiunkcie? Wcale nie kurdupel – obrusza się Bogna. – Jest przystojny.

– Przystojny? Gdzie masz oczy, dziewczyno!

– To mężczyzna, Sowa. Gatunek zanikający.

– Rozumiem! Goście od nagłych wyjazdów.

– Ten sam.

– Po co ci facet obarczony rodziną, weź mnie! Jestem piękny, wolny, zamożny, nie absorbujący, mam metr osiemdziesiąt wzrostu i proporcje Apolla belwederskiego – błaznuje Sowa, ale z nutą goryczy.

Sowa nie jest zdolny do miłości. Kobiety swojego życia spotyka za często. Kocha. Szaleje. Nie odstępuje na krok. Oprowadza. Prezentuje. Urządza sceny zazdrości. I tak przez tydzień, dwa, miesiąc, raz się zdarzył wyjątkowo prawie rok. Później wszystko mija, jak nie leczony katar. Sowa wcale nie jest szczęśliwy z tym usposobieniem.

– Sowa jest dziwkarz – głosi obieguowa opinia. Psycholog szukał zahamowań z dzieciństwa, przez które nie rozwinęła się albo rozwinęła wadliwie osobowość Sowy w sferze uczuciowej.

– On mi wygląda na takiego, co biją kobiety. Ja jestem łagodny i znasz mnie od zawsze.

– Właśnie, od zawsze. To byłoby kazirodztwo, Sowa.

– Chcesz go zdenerwować? Mogę robić za bardzo tobą zainteresowanego.

– Ani się waż.

– Nie, to nie. Masz jednak pospolity gust. Chociaż tutaj wyjątkowy zlot łamagów i w ogóle gerontologia, zauważyłem jednak kilku prezentujących się lepiej niż on.

Na sali są przystojniejsi od Adama. Chociażby Amerykanin. Właśnie obaj rozmawiają. Adiunkt sięga mu trochę powyżej ramienia, wydaje się krępy i niższy niż jest w rzeczywistości.

Bognę męczy to świetne przyjęcie, sytuacja, w jaką pozwoliła się uwikłać. Za swój brak wyobraźni wini Profesora, siebie za uległość. Nie powinna tutaj przychodzić. Nie pomyślała, jak odbierze atmosferę wieczoru. Nie pomyślała, jak odbiorą ją inni. Okazała się ciężkim przeżyciem, okazała się sytuacją niejednoznaczną.

Teraz zobaczyła swój sekretny związek oczyma niechętnych jej ludzi. Rozżalona i zła obrzydza sobie Adama.

Paskudny charakter – apodyktyczny – teraz się wścieka, bo mnie nie może ustawić na baczność jak swoich magistrów – poczucie bezpieczeństwa – stabilizacja – zwyczajne życie – nie przy nim – co ja w nim widzę – trzeba odejść.

– A tego wszędzie pełno. Ostatnio żaden większy spęd nie obywa się bez niego. Węch absolutny do oficjalnych bankietów. W młodości zaczął o Akademię, czy już za twoich czasów? – przypomina o sobie Sowa.

– Nie wiem, o kim mówisz. Nie znam człowieka – z nikim się Bognie nie kojarzy tęgi osobnik brylujący w grupie nigdy nie widzianych osób.

– Nic nie straciłaś. Pewno, jeśli go nawet znałaś, to ze czterdzieści kilo temu. Przezywają go depeszowiec.

– Prasa?

– Nie. Notoryczny biesiadnik i bywalec. W ogóle epidemiczny roznosiciel wiadomości przeważnie nieprawdziwych.

Sowa zalicza znajomych. Bogna razem z nim wymienia ukłony z ludźmi dotychczas przez nią nie spotykanymi.

– Znasz całe miasto – schlebia Sowie i ma sobie za złe, ale naprawdę jest mu wdzięczna za towarzystwo ofiarowane spontanicznie, chociaż okazuje się nie tak zupełnie bezinteresownie, jak się z początku mogło wydawać. Nie czuje jednak rozczarowania. Niby dlaczego miałby poświęcać wieczór wyłącznie na poprawienie jej samopoczucia.

Sowa musi bywać.

Bywanie Sowy ma cenę najdroższej reklamy telewizyjnej w czasie największej oglądalności. Świat nauki, chociaż zubożony, wciąż jeszcze zachowuje swoją bardzo wysoką rangę społeczną. Wprawdzie nie stać go na towar oferowany przez Sowę, ale niezmiennie

fascynuje i przyciąga Młody Pieniądz, a ten bardzo interesuje Sowę.

– Warszawa pieniądza jest małym miastem, Warszawa klienteli marchanda to parafia. W tej parafii wszyscy ze wszystkimi się znają – opowiada Bognie.

Sowa ostatecznie przestał biegać za zamówieniami na wykadzanie knajp po socrealu i zajął się sztuką przez duże ES. Otworzył galerię w dobrym punkcie. W środowisku przepowiadano mu natychmiastową klapę, długi i nędzę. Tymczasem jego salon nie tylko przetrwał, ale okrzepł i powoli wpisywał się w stołeczny pejzaż. Zapoznany malarz, długo niepodejrzewany o talenty handlowe, zdobył ostrogi w obrocie tak ulotną materią, jak sztuka.

– Bardzo młody pieniądz potrzebuje legitymacji.

Sztuka, którą można ozdobić siedzibę, którą widać, zaświadcza o guście, wyższych potrzebach estetycznych i intelektualnych, jednocześnie o stanie posiadania, zasobności portfela, ponadto jest nienajgorszą lokatą. Idealny gmerk dla pieniądza ze świeżym rodowodem, zwłaszcza tym biorącym początek od łóżka turystycznego na placu Defilad, straganu nazywanego żabą lub szczęką, wreszcie od korupcji.

– Widzę jednego gościa podobnego do Konia spod banku na Kredytowej z czasów cinkciarzy – zauważa Bogna po wymianie kolejnych grzeczności z zupełnie nieznanymi ludźmi.

– Ten sam. Teraz to wprowadzie stary koń, ale już nie Koń, a bankier i tak dalej. Niedawno kupił u mnie płótno Tieppolo, rzadkość na naszym rynku. Natomiast dama w grubych japońskich perłach to autentyczna Konica, także z czasów Wall Street na Kredytowej. Obok gość w przyciasnym smokingu, wysoki urzędnik państwowy, zdążył już być członkiem ze czterech kanap politycznych i z nadania każdej był posłem, ale przekonania nie zmienił. Zawsze, bez względu na ideały, jakie reprezentuje, trafia tam, gdzie coś prywatyzują. Dalej myrmekolog z dużym dorobkiem naukowym, teraz zakotwiczony w kosmetykach...

– Myrmekolog?

– Badacz życia mrówek. Wszyscy reprezentują świeży, jeszcze gorący pieniądz. Wasz Instytut potrzebuje środków jak powietrza i dlatego oni tu są. Amerykanin ich nie da. To łowca szarych komórek, najpewniej skaperuje i wywiezie jakieś naukowe talenty. Chociaż mogą się mylić. W każdym razie jest seniorem Phi Beta Kappa, najstarszej organizacji studenckiej Stanów. Powstała w Kalifornii, bodaj w 1776 roku, szalenie ekskluzywna w sensie doboru intelektualnego, grupuje krąg wpływowych osobników i wielkie zapisy finansowe.

– Zbierasz takie wiadomości.

– Zbieram. W moim zawodzie znajomości ze znaczącymi ludźmi przekładają się na dochody. Przede wszystkim muszę coś wiedzieć o wypłacalności klientów aktualnych i *in spe*.

Odkąd Sowa z malarza przedzierzgnął się w marchanda, o jego galerii wciąż było słyhać. Przyciągał różnych ciekawych ludzi, talenty, oryginałów, besserwisserów, osobowości i snobów, nację nie do przecenienia. Nikt lepiej od snoba nie buduje legendy, ponieważ ta legenda nobilituje nie tylko podmiot, ale i autora anegdoty.

Sowa urządzał wernisaże i happeningi, wieczory sztuki i wenty, właśnie tak, wenty dobroczynne na rzecz odrobiny luksusu dla biednych dzieci, dla spauperyzowanych inteligentów, dla bezdomnych i rencistów, a także wieczory portretu, na których bezrobotni plastycy rysowali biznesmenów i ich damy, wycinali sylwetki z czarnego papieru, naklejali na biały karton, jak ich koledzy po fachu z Placu Tertre na Montmartrze.

Wszystko dla klienta.

W niepowtarzalnej atmosferze wspaniałych wieczorów można się było pokazać, obnieść kreację prosto z Paryża albo nie gorszą kogoś z polskich projektantów, kupić obraz, spotkać znajomych, obejrzeć antyki, omówić przekręt.

Galeria-salon Sowy w pewien sposób nobilitowała wczorajszego cinkciarza, pokątnego handlowca, przepartyjnionego posła, odwróconego, nawróconego lub nowiutkiego jak jednogroszówka polityka.

Wszystko, również ekscentryczny strój marchanda, służyło pozyskiwaniu nowej klienteli. O aksamitnym kabacie, czarnym szerokoskrzydłym kapeluszu i kraciastym macferlandzie Sowy bywalcy roznosili plotki.

Sowa codziennie pożycza i odnosi kostium do rekwizytorni opery. To spadek po Przybyszewskim, kupił jego garderobę na krakowskiej tandecie.

Sowa wynajmuje pelerynę od zbankrutowanego kataryniarza ze Starego Miasta – za *ancient régime'u* kataryniarz stanowił element dekoracji Starówki. Wymyślony przez urzędników, opłacany z kasy wydziału kultury, datki od turystów traktował jak tajemnicę zawodową.

Należało także do szyku być z Sową na per Sowa, a nie tylko zaocznie nazywać go jego studenckim przewiskiem.

– Młody pieniądz lubi, żeby nie tylko dzieło, ale i artysta wyróżniał się spośród tłumu. Ja im dostarczam, co lubią, trzeba kreować rzeczywistość, codzienność przekształcać w święto. Następnego dnia zależna od sponsorów i właścicieli większego pakietu akcji prasa podbije im bębenka, kursywą w drogich, kolorowych tygodnikach napisze: *byli wszyscy!*

9.

- ...społeczność naukowa... zamknięty klan... obyczaje bardziej konwencjonalne...
- Wywołałam zgorzenie szanownych akademików?
- Powiedzmy, niezdrowe zainteresowanie.
- Nic mnie to nie obchodzi – kłamie Bogna. Oczywiście obchodzi, nie chce być obiektem niezdrowego zainteresowania środowiska Adama.
- A mnie tak. Nie podoba mi się afiszowanie z playboyem.
- Playboy, kto? Sowa!
- Nie interesują mnie jego kameralne imiona.
- Nie kameralne imiona tylko studenckie przezwisko. Znam go sto lat, jeszcze z Akademii.

Adam jest zazdrosny o Sowę – oświeca Bognę.

Jako dekoracja, Sowa prezentował prawie doskonałość. Zamieniał natomiast w katastrofę nadzieje kobiet na wspólną przyszłość. Przy Sowie nie udawało się zakotwiczyć nawet najbardziej odpornym. Nie wytrzymały ani Misjonarki – świat jest niestały, nie Sowa, przy mnie się zmieni. Ani Odpowiednie – nie miał szczęścia dotychczas, trafiał niewłaściwie. Ani nawet Desperatki – niech się dzieje, co chce, ja go nie opuszczę.

Sowy nie lubili mężczyźni. Przyjaźnił się z dziewczynami odpornymi na jego urok. Bogna należała do tej, wcale nie mniejszości, której nie zwała z nóg gwiazdorska uroda i wdzięk Sowy. Sowa lubił dziewczyny. Dziewczyny lubiły Sowę. Wobec koleżanek kompensujących brak męskich przyjaciół był oddany, lojalny i bezinteresowny. Służył ramieniem i aparycją filmowego amanta, kiedy decydowały się definitywnie wyjaśnić albo ożywić nie dość jasne skłonności swoich mężczyzn. Przyprawiał o wściekłość facetów, którym dopiero widok bliskiej dziewczyny z Sową w tle uświadamiał, co tracą i jak bardzo im na tej dziewczynie zależy.

Działo się tak w młodości.

Kilkanaście lat później panowie na Sowę reagowali podobnie. Bardzo możliwe, Bogna podświadomie sięgnęła po tamten sposób z dziewczynskich lat, ale czy tak zupełnie bezwiednie?

- Jesteś niedojrzała – niedawno powiedziała Bognie jej poważna, piętnastoletnia córka.
- Dzięki niemu dostałaś się do Akademii? – teraz przesłuchuje bardzo ponury Adam.

Jest w pytaniu obraźliwa pewność i dwuznaczny podtekst. Bogna łowi sygnał ostrzegawczy, co on wie, od kogo? I przypomnienie widzianego w Marriotcie plotkarza, depešowca, z tych lubiących podawać cudze życiorysy pikantnie przyprawione. Nic skandalicznego nie mógł opowiedzieć, jeśli nie kłamał.

– Nie upowaźniłam nikogo do rozliczania mnie z mojego życia.

Po przyjeździe do Warszawy Bogna miała w majątku maturę, kwaterę i stół u ciotki Karoliny (w zamian za pomoc w wytwórni plastikowych doniczek) oraz skłonność do akwareli. Na Akademii było już po przedwstępnych selekcjach, sprawdzianach i egzaminach. Poszukiwano tylko modeli. Bogna poszła na eliminacje, wyglądała chudo, bez ubrania okazała się doskonale zbudowana.

– Idealne proporcje. – Profesor był wielce z siebie rad. Ma niezawodne oko. Nie zwiedzie go nawet wór pątnicy na pięknym kształcie.

Odtąd Bogna wstępowała naga na kawaletę. Jakiegoś dnia powróciła z ubieralni na salę ćwiczeń zapięta pod szyję i umieściła karton na sztaludze. Nikt jej nie zabraniał, chętnie pomagano wolontariuszce, dziekan traktował jak studentkę. I tak dotrwała prawie do dyplomu.

– Pani indeks – nowy profesor przystanął za plecami nieformalnej uczennicy, nie patrzył na nią, patrzył na jej pracę.

– Za... pomniałam.

Więcej nie pokazała się na uczelni.

– Dzięki niemu dostałaś się na studia? – teraz przesłuchuje Adam.

– Dzięki sobie. Zaczynałam jako modelka. Dyplomu nie zdobyłam nigdy.

Zabrakło pół roku... indeksu, egzaminów wstępnych, pracy dyplomowej. W zasadzie jest samoukiem i nie przecenia swego talentu. Lubi jednak to, co robi.

Wyjaśnienia Bogny nic nie znaczą. Poznaje innego Adama. Inny Adam, apodyktyczny, małostkowy i mściwy wymyślił sobie przeszłość Bogny. Przeszłość Bogny jest mroczna i skandalicznie swobodna, zaludniają ją liczni mężczyźni podobni do Sowy. Kobieta, którą kocha – czy jeszcze kocha? – nie zmieniła się i w terażniejszości. Teraźniejszość Bogny jest mroczna i skandalicznie swobodna. Ona, bądź co bądź kobieta zameżna, kompromituje się na bankiecie wydanym przez poważną instytucję naukową z jakimś playboyem w aksamitnym kabacie, udającym znawcę sztuk pięknych.

– Sowa nie udaje marchanda, jest marchandem – tłumaczy Bogna jak komuś rozsądnemu.

– Nie obchodzi mnie jego zawód!

Nie ma sensu spierać się z innym Adamem. Nie ma sensu przekonywać. Inny Adam jest kapryśny i podejrzliwy, wie lepiej, bywa bardzo niegrzeczny. Inny Adam chce się wyzwolić z fascynacji Bogną, czuje się przez nią poniżony, przywykły do dominacji nie może darować oprowadzania Sowy po salach bankietowych i teraz spotkania z Bogną zamienia w sale rozpraw.

Ścigają Bognę jego telefony, sprawdza, czy jest wieczorami w domu, jeśli nie ma jej w pracowni plastycznej Instytutu. Zdarzają się głuche. Czasami, wprawdzie rzadko, trafia na niemy sygnał męża. Aparat jest umieszczony w przedpokoju, najbliżej do niego Bognie z jej kąta za kuchnią, ale ostatnio uaktywnia męża.

– Czy to narzeczony mojej żony? – cedzi mąż z sadystyczną radością w milczącej słuchawkę i do Bogny: – Słyszalaś, co powiedziałem, co ty na to?

Mąż z tradycyjnej łączności właściwie nie korzysta. Swoje sprawy załatwia przez komórkę. Bogny nie stać na dwa aparaty bezprzewodowe, na razie kupiła komórkę córce. Ulka nazywa ją smyczą.

– Nie, nie klub bezpruderyjnych pań – mąż łapie słuchawkę przed nosem Bogny i Bogna nie wie, czy istotnie pomyłka, czy coraz częstsze milczące połączenia.

Mąż rozpoczyna monolog o nieporządnym życiu Bogny. Bogna ucieka z domu, błąka się po osiedlu godzinę, dwie. Kiedy wraca, mąż jest już w swoim pokoju. Następnego dnia zachowuje się, jakby nic nie zaszło, jakby nigdy nie dokuczał Bognie.

Ustaliła się groteskowa równowaga między nieustannymi pretensjami męża a ponurą zazdrością Adama.

Gdyby Bogna mogła spojrzeć na siebie z dystansu oczyma widza: farsa Ale ta farsa dzieje się z nią w roli głównej i ona nie umie spojrzeć oczyma widza ani nawet wychylić się z tego kadru. Ciągłe napięcie zaczyna rozładowywać alkoholem. Niewiarygodne co może działać kieliszek wódki.

– Jesteś nietrzeźwa – ze zgrozą stwierdza Adam.

– Tak. Na siedem dni w tygodniu piję przez osiem.

– Kiepski żart.

– Nie szkodzi... twoim posłannictwem będzie wyrwać mnie ze szponów nałogu – mówi Bogna i starannie, za starannie artykułując poszczególne słowa, zamawia miarkę brandy.

Kelnerka zna tę parę, uśmiecha się do Bogny. Zaczęli bywać, kiedy lokal nazywał się Pod Łabędziem, ale zdaje się nie przetrzymają Paris i nawet nie z braku pieniędzy. Kelnerka zna objawy zmierzchów, zmęczenia, uzbieranych podskórnych i ciężkich urazów sekretnych

miłości. Uwikłanych.

Siedzą nabzdyczeni, syczą do siebie jak tresowane kobry, ich ręce, odprawiające rytuały nad kieliszkiem, filiżanką, papierową serwetką, nie spotykają się ani razu.

– Zachowujesz się nieodpowiedzialnie. Obudź się, jesteś dojrzałą kobietą!

– Właśnie próbuję. A jak się obudzę, pošlę was wszystkich do diabła!

– Jak znosi to twój mąż?! – wrywa się Adamowi w bezsilnym gniewie.

– Dziękuję, dobrze. Mój mąż jest toll... lerancyjny – plecie Bogna. – I pewno by się wzruszył, gdyby wiedział, jak się o niego troszczysz, tylko on bardzo nie lubi głuchych telefonów... Głuchy telefon to taki, kiedy jeden palant woła w słuchawkę halo, a drugi palant po przeciwnej stronie tylko oddycha.

– Tego już za wiele. Idziemy.

– Nie. Mam jeszcze co nieco do powiedzenia – zapiera się Bogna.

– Innym razem. Na dzisiaj wystarczy – Adam traci cierpliwość, zaciska dłoń na jej ramieniu, zmusza do podniesienia się z krzesła.

Innego razu nie będzie. Dość ma tej lekkomyślnej kobiety, zmieniającej mężczyzn łatwiej niż rodzaj perfum.

– Jesteś apodyktyczny, bizantyjski, islamski mizogin – burzy się przeciw tyranii Bogna i, nie oglądając za siebie, idzie ku wyjściu godnym, odmierzonym krokiem urażonego opoja.

Adam dogania ją w przedsiionku, zgarnia spod lustra w szatni, pakuje do samochodu. Oboje milczą. W Bognie roztopił się bunt, zgasły wszystkie racje, jakie chciała przedstawić. Pozostał żal i zniechęcenie. Nie porozumieją się nigdy. Bliskie były tylko ich ciała. Ich bezmyślne ciała, ale także one są teraz obce i odgródzone murem urazy.

Milczą. Daleko od siebie. Każde tkwi w kokonie własnego przeżywania. Oddzielne planety na dwóch równoległych trajektoriach, trzeba niewyobrażalnie wiele lat świetlnych, żeby się znowu spotkały w nieskończoności.

Adam przywykły do posłuchu, dominacji i w ogóle bezkrytycznego oddania Bogny, w tej chwili nie cierpi tej nagle zbuntowanej istoty, tej kobiety nietrzeźwej, ekstrawaganckiej, wulgarnej, prowadzącej się z jakimś Sową. Co to za miano? Obelga dla ptaka symbolizującego mądrość. Jak ona powiedziała? Palant! Co za słownictwo. I jak mogła podejrzewać jego, jego! O jakieś poniżające manipulacje telefoniczne kierowane do tamtego mężczyzny, jej męża. Ten związek jest równie nienaturalny jak nieznośny. Upokarzający.

Milczą.

Już nie mają sobie nic do powiedzenia. Nawet nie odczuwają takiej potrzeby, chociaż kipią w nich wzajemne pretensje i zarzuty, kłębią się i mielą we własnym wnętrzu. Ranią

własne ego. Adam nie ma miłości dla tej kobiety, Bogna nie ma miłości dla mężczyzny obok niej. Koniec. Wysnuło się?

Mści się za swój brak charakteru – za swoje uwikłanie i niemożność zdecydowania na jedno lub drugie życie – jestem wolna.

– Jestem wolna – powtarza sobie już w domu, gdy wchodzi do zakuchennego kąta. – Wolna – oznajmia głośno czterem ścianom, ale stwierdzenie nie przynosi radości. Tylko jakby w odpowiedzi rozbrzmiewa sygnał telefonu. Bogna porywa słuchawkę. Milczenie. Na drugim krańcu przewodu czyjaś napięta obecność.

Zamarł telefon.

Adam staje się daleki i niedostępny. W dzień mniej go na korytarzach i zawsze w asyście przynajmniej jednego magistra, jakby swoją wierną-niewierną gwardią – magistrzy coraz jawniej szemrzą przeciw adiunktowi, wprawdzie wciąż jeszcze tylko za jego plecami – odgradzał się od Bogny. Jeśli już nie mógł jej nie zauważyć, rzucał w przestrzeń:

– Cześć, koleżanko – i rwał przed siebie, jakby nie potrafił znieść jej obecności.

Wieczorami nie gasło światło u Adama, nie gasło światło kilka kondygnacji niżej w sali z pomocami. Bogna wykańczała plansze albo, markując zajęcia, bawiła się kształtem i kolorem, zabijając oczekiwanie. Ale ustała komunikacja między gabinetem na piętrze a kątem plastycznym na parterze.

Kąt plastyczny – kąt zakuchenny – kąt hotelowy – kobieta pokątna.

Czeka na próżno. W spowolnionym rytmie wieczornego Instytutu daremnie nasłuchuje szybkich kroków na schodach, które rozpoznałaby pośród tysiąca innych.

Trzeba wyjaśnić! Nie bardzo umie nawet sobie powiedzieć, co chce wyjaśnić. Idzie ku górze i każde następne stąpienie jest cięższe, jakby wspinała się nie o piętra wyżej, lecz ku wierzchołkowi góry w coraz bardziej rozrzedzonym powietrzu.

– Adam... – pod ścianami pracowni czai się mrok, na granicy światła nisko opuszczonej lampy rozsiadły się cienie, jasność spływa na pochyloną głowę mężczyzny. Bogna zamiera z dłonią na klamce z niepokoju, wzruszenia, szczęścia.

– Jestem bardzo zajęty – znad papierów podnosi się zamknięta, nieprzenikniona twarz z grymasem zniecierpliwienia. Wyniosły naukowiec pracuje. Nie życzy sobie, aby przeszkadzano.

Bogna ucieka.

Siedź w kącie – znajdą cię – błąka się w myśli porzekadło z rodzinnych stron, jeszcze za jej wczesnej młodości powtarzane dziewczynom jak kanon, podczas gdy mechanicznie liczy stopnie pod nogami. Jest ich czterdzieści osiem. Czterdzieści osiem szczebli

upokorzenia.

Powój – głupi – beznadziejny powój – musi się wokół kogoś snuć – inaczej nie potrafi.

W popłochu zbiera swoje nieliczne drobiazgi i wymyka jak przestępca. Przy drzwiach dopada ją sygnał telefonu. Opanowuje pierwszy odruch i nie zawraca, by podnieść słuchawkę.

Nie ma mnie – już mnie nie ma – i nie będzie.

Bogna zalega w zakuchennym kącie, rysuje, jakby nie miało być jutra. I mimo woli czeka. Wciąż czeka. Czekanie boli. Gdy staje się nie do zniesienia, kiedy kredka zawisa w próżni, sięga po kieliszek.

– ...nasz los powstaje wraz z nami, jest dany z życiem i nie podlega zmianom. Tylko my przypominamy gaśienicę. Pełźnie wzdłuż przedmiotu, nie ogarnia całości, widzi jedynie odcinek, który mija – opowiada sobie Bogna przeczytaną kiedyś hipotezę w piśmie *Nieznany Świat*.

– Matka, lepiej niech cię stary nie zobaczy w tym wydaniu. Połóż się spać – zagląda zatroskana, poważna córka.

– W jakim wydaniu? Też coś, kieliszek koniaku mnie inspiruje.

– Aha, Wańkowicz pisał, że gdy wypije, robi się z niego drugi człowiek, ale drugi człowiek też chce pić. Mniej więcej wyglądasz jak ten drugi człowiek.

– Daję ci zły przykład.

– Jestem uodporniona na złe przykłady. Ale połóż się, proszę. Zadbam, żeby cię nikt nie niepokoił.

– W tym domu człowiekowi nawet się upić nie wolno.

– Mamo, alkohol nie rozwiąże za ciebie problemu. Za chwilowe znieczulenie zapłacisz kaczem fizycznym i psychicznym. Supeł zostanie.

– Kto tu jest dorosły? Skąd to wszystko wiesz?!

– Myślę.

– Jajko mądrzejsze od kury.

– Na tym polega ewolucja. I nie martw się, zapiszę telefony do ciebie. Wszystkie.

Jednak ten jeden, najważniejszy zamilkł na dobre. Inne sygnały długo świdrują ciszę, nim Bogna zmusi się do podjęcia słuchawki. Trwa w stanie zawieszenia, nierzeczywistości. Za oknem jest słońce i znowu jakieś kolejne przedwiośnie. Bogna nie ma spraw do świata za oknem. Od pierwszego dzwonka wie, że to nie On wybrał numer tam, u siebie, w Instytucie, na nowym aparacie z automatyczną sekretarką. Może jednak on, przecież niepodobieństwem jest, żeby mógł tak ją zostawić bez jednego słowa.

– Bogna, co się z tobą dzieje?

Mówi sekretarka Instytutu. Gaśnie słaba nadzieja, jednak rozczarowanie jest niewspółmiernie wielkie.

– Magistrzy są zniecierpliwieni.

– Nie interesują mnie nastroje magistrów. Skończyłam z Instytutem.

– Nie rozumiem?

– Odeszłam z Instytutu, zlecenia w Instytucie to czas przeszły.

– Umowa zobowiązuje cię...

– Umowa wygasła kilkanaście dni temu, tylko nikt nie zauważył w nawale bardziej ważnych spraw.

– Nigdy nie obrażałaś się o drobiazgi. Formalność. Więc po co zaraz demonstracja?

– Posłuchaj, umowa straciła moc i ja jej nie odnawiam, nie mam zamiaru odnawiać.

Tyle.

– Chcesz rozmawiać z adiunktem?

– Nie chcę rozmawiać z adiunktem.

– Połączyć cię z Profesorem?

– Nie mam spraw do Profesora. Możesz mu przekazać moje uszanowanie.

– Nie przekażę. Powinnaś się przynajmniej z paru osobami pożegnać, a już na pewno z Profesorem.

– Nie odczuwam takiej potrzeby.

– Jesteś niegrzeczna.

– Możliwe. Ale jeśli zapragnę kazania, pójdę na sumę. Żegnam.

– Bogna! Nie chciałam cię urazić, ale dlaczego uciekasz tak nagle, bez uprzedzenia, bez przyczyny. Przecież zaległe pieniądze na pewno ci wypłacą.

– Nie życzę sobie zaległych pieniędzy!

– Oszalałaś?!

– Potrzebuję trochę szaleństwa.

– Słuchaj, o pracę w mieście bardzo trudno. Zastanów się, zatelefonuję jutro.

– Właśnie podjęłam pracę w pełnym wymiarze. Do widzenia – kłamie Bogna i odkłada słuchawkę.

Skończyłam z wami, skończyłam – mówi do ściany i nalewa sobie kieliszek użhorodzkiej brandy z rosyjskiego targu, który zawładnął koroną stadionu nie mającego szczęścia do swojego przeznaczenia.

Muszę wziąć etat.

Etat to niewola. Wymiar godzin. Dyscyplina formalna i nieformalna w odróżnieniu od

nienormowanego czasu pracy, jakby wolnej od przymusu, gdzie liczy się tylko efekt i... terminy.

Bogna pije przeciw Adamowi, przeciw doznanemu upokorzeniu, przeciw uczuciu, z którym nie może się uporać, przeciw rzeczywistości, z którą musi sobie poradzić.

10.

– Kochałaś Henryka?

Ulka, od zawsze spoufalcona ze spokojnym osobnikiem z fotografii, w dzieciństwie uważała go za przyjaciela, mówiła o nim i do niego po imieniu.

– Kochałam.

Babka nie odrywa oczu od swojej pracy. Dobiera gałązki rozchodnika, łąkowej rośliny o mięsistych listkach. Powstaje splot jak rzeźbiony w jednolitym tworzywie. Zbliża się Zielna, tutejszym zwyczajem Marta zaniesie do poświęcenia dwanaście polnych i leśnych ziół uwitych w wianki i nanizanych na wstążkę. Uschnięte, wiszące na ścianie przodków, Ulka zastanie w następne wakacje. Spali się je uroczyście, kiedy ich miejsce zajmą świeże w kolejne święto sierpniowej madonny.

– Kim był?

Odkąd Ulka pamięta, w każde wakacje jej pierwsze spojrzenie po przebudzeniu spotykało twarz Henryka na przeciwległej ścianie. Dobry znajomy i zupełnie nieznany. O jego istnieniu zaświadczał portret, powiększenie z małego zdjęcia, imię, powściągliwe wspomnienia babki i przyczyna śmierci zawarta w jednym słowie: poległ.

Poległ.

Mała Ulka wystrzegająca się tego słowa. Złowrogie. Jego okrutna moc mogła przemienić żywego człowieka w fotografię. W wyobraźni miało kształt szkatułki zamykanej na kluczyk, w której babka Marta trzymała akt hipoteczny domu, różne dokumenty i garść starych, przeważnie amatorskich, wyblakłych odbitek. Między innymi tę jedyną, pierwowzór dużej reprodukcji.

Tylko jak się tam mógł pomieścić ów za młody dziadek? Małej Ulce babka pozwalała zajrzeć do puzdra. Rzeczywiście nie wzięło nic więcej poza papierami i garstką fotografii. Przed dużą Ulką babka Marta nie ukrywała w jakiś szczególny sposób drewnianej kasety z okuciami, naśladowującej zamczysty kufer, lecz usunęła z widocznego miejsca w głębie starej

szafy, także z kluczem, ale nigdy nie zamykanej.

Ulka, której tutaj wolno wszystko, a nawet więcej, rozumie. To granica prywatności. Może babka kryje tam również inne, bardziej osobiste pamiątki po kochanym mężczyźnie.

Tyle wiedziała Ulka. Kiedyś wystarczało. Teraz już nie.

– Chcesz zachować o nim pamięć jednocześnie nie mówiąc, kim był?

Dla Ulki, w tamtym okresie życia, świat zaczynał się od niej, a kult korzeni Marty, nie sięgający nawet stulecia, wydawał się pretensjonalny i w złym guście. Nie chciała ranić babki, ale z wyraźną rezerwą traktowała przeszłość.

– Poczekam, aż się uskłada ze cztery wieki – podkreślała dystans, mała snobka. Czuła zażenowanie przerostem pamięci babki Marty, zwłaszcza jeśli świadkami przerostu były osoby postronne.

Wówczas jeszcze nie rozumiała, że oprócz innych przyczyn, przez ponad dziesięć miesięcy w roku pamięć o przeszłości i fotografie na ścianie pozostawały stałym, jedynie pewnym towarzystwem babki w wyludniającej się wiosce, gdzie osamotnione jak i ona jej rówieśne, ostatnie mieszkanki starych domostw „umierały stojąc” na progach swoich chat.

Z czasem Ulka wyrosła z tego snobizmu, znowu rodzinna przeszłość znaczona kilkoma portretami należała także do niej, chciała o niej wiedzieć, chciała zrozumieć zasłyszane i podsłuchane aluzje Babona. Były to zajęcia czysto wakacyjne, problem znikał i odnawiał się następnego lata. Tym razem jednak przypięła się do Marty na dobre.

– Kim był? Nie raz mówiłam. Walczył i poległ.

– Nie wymiguj się. Powiedz, czym się zajmował, co umiał, zanim został zabity i w jakich okolicznościach zginął.

– Jakież to ma znaczenie teraz. Minęło ponad pięćdziesiąt lat. Przeszło do historii.

– Znowu to samo! Wstydzisz się go, zrobił coś niegodnego?

Ulka dawno zauważyła. Babka unika wspomnień sięgających poza owe ponad pół wieku w Sarniej. Dla Ulki małej pół wieku stanowiło abstrakcję i łatwo było zająć ją czymś innym. Z czasem jednak zdała sobie sprawę, że odkąd pamięta, babka zawsze bardzo oszczędnie wyprawiała się w przeszłość sprzed przybycia do Sarniej. Szczególne embargo obejmowało najwcześniejszą młodość.

– Chcę znać moje korzenie.

– Był agronomem.

– Gdzie?

– W majątku, w Wielkopolsce.

– Co tam robiłaś?

– Pracowałam.

Ulka wie. Protoplastów, dwoje ludzi z portretów wodzących oczyma, jej kilkakroć pra – hitlerowcy rozstrzelali na ulicy w Warszawie. Hitlerowcy albo faszyci. Właśnie tak. Babka Marta nigdy w tym kontekście nie użyje nazwy Niemcy i zawsze poprawia Karolinę i każdego, kto w ten sposób określał sprawców wojennych zbrodni. Ulka przejęła od niej owo rozgraniczenie.

– Kiedy tam przyjechałam, byłam młodsza niż teraz ty. Po nieszczęściu z rodzicami zajęli się nami stryjeczni krewni. Mieli ogrodnictwo w Konstancinie. Karolinę, starszą, zdutniejszą do pracy, pozostawili u siebie. Mnie wysłali do jeszcze dalszej rodziny, właściwie swoich powinowatych w okolicy na styku dawnego województwa poznańskiego i bydgoskiego. Tam spotkałam twojego pradziadka – Marta dystansuje się, przypominając właściwy stopień pokrewieństwa, co czyni rzadko lecz zawsze, ilekroć Ulka zbyt dociekliwie odpytuje ją z najdalszej przeszłości.

– I od razu zakochaliście się z Henrykiem?

– Nie od razu.

– Jak?

– Z początku nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Był ode mnie siedem lat starszy. Później już wiedzieliśmy. Tylko śmierć nas rozdzieli. I rozdzieliła.

Ulka liczy babce lata i sumuje spostrzeżenia, także te najdawniejsze, dotychczas jakby zapomniane lub biernie spoczywające w zakamarkach pamięci – ... zwichnęła sobie życie, miała nieślubne... i to z kim!... Zgroza!... uciekła... nie chce pamiętać o przeszłości... zakopała się na wsi pod wschodnią granicą... schłopiała... zrobiła absolutorium z weterynarii...

Ulka wie: dziewczyna z przeszłością – tak za młodości babki określano niezamężne matki. Nie umie umiejscowić gdzie, kiedy, kto i o kim tak mówił. Echa wiadomości z najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy starsi jeszcze nie biorą pod uwagę małych świadków.

W metryce Ewy wyszperanej w szkatule z pamiątkami Marty nazwisko Ewy urodzonej w Konstancinie jest nazwiskiem rodowym babki Marty i ciotki Karoliny, takie samo nosiła para wodząca oczyma, rodzice sióstr. Imię ojca Ewy: Henryk. O nim nic więcej, poza małym zdjęciem, które posłużyło do reprodukcji portretu, ze zdartą warstwą kartonu na rewersie, jakby usunięto stamtąd jakiś tekst, podpis, może dedykację, może pieczęć.

Babka Marta nigdy nie nosiła obrączki.

– Po co otaczasz kultem i wmawiasz ludziom, mało ci jeszcze poplątania w życiu – opinia ciotki Karoliny zasłyszana minionego lata.

Wszystko przekształciło się w postanowienie: wiedzieć!

Najpierw, kogo Babon uważał za niegodnego ściany przodków. Para wodząca oczyma nie wchodzi w rachubę. Takie samo powiększenie wizerunków rodziców obu starszych pań wisi u ciotki Karoliny w Konstancinie.

Także nie Ewa, przyćmiewająca resztę przodków. Wprawdzie Babon był subtelny jak czołg, przecież miał na tyle przyzwoitości, żeby nie czepiać się pamięci jedynej córki swojej siostry.

– Mężczyźni was się nie trzymają – mówiła niedawno z okazji donosu o prowadzeniu się Bogny, podczas dorocznego pobytu w ostoi Marty.

Ulka słyszała. Babon stanowił niewyczerpaną skarbnicę rodzinnych sekretów, trzeba tylko strzępy wiadomości poskładać z sensem i uzupełnić luki. Jak na razie luki były duże. Ale nie mogą towarzyszyć żywym kobietom martwi mężczyźni. Nie ich wina, że umarli. Henryk poległ. Łukasz zginął w katastrofie samochodowej. Więc chyba mowa o kimś żyjącym. Łukasz ma grób, o grobie Henryka nic nie wiadomo. Czyżby żył, nie był tylko imieniem przepisany z kalendarza do aktu urodzenia Ewy? Może porzucił babkę Martę i uciekł?

Nonsens. Babka nie kłamie. Nie mówiłaby, że poległ. Natomiast ciotka Karolina wprawdzie nie rozgłasza wszem i wobec rodzinnych tajemnic, lecz przypominając młodszej siostrze zdarzenia z przeszłości nigdy nie wspomina Henryka ani źle, ani dobrze, jakby w ogóle nigdy nie istniał. Ulce nie zdarzyło się słyszeć z jej ust nawet jego imienia.

– Cóż tu mówić. Odszedł i nie powrócił. Wojna. I nigdy się nie dowiedziałam, gdzie i jak zginął i gdzie jest pochowany – odpowiada Ulce babka.

– Może powinien mieć symboliczny grób. Chociażby epitafium przy Ewie i Łukaszu?

– Nie. Nigdy. A jeśli mimo wszystko gdzieś żyje?

– Więc nie jesteś pewna, że go zabili?

– Człowiek nigdy nie jest pewien, dopóki się naocznie nie przekona.

– Jeszcze na niego czekasz?

– Nie. Już nie czekam. Ile można czekać, moje dziecko, od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat.

– Dlaczego ponownie nie wyszłaś za mąż?

– Nigdy nie miałam męża. Kochaliśmy się. Kochaliśmy rozpaczliwie na śmierć i życie. Nie zdążyliśmy poddać się obrzędowi. Byłam za młoda na ślub, za młoda na matkę, za młoda na taką trudną miłość i na takie życie. Urodziłam Ewę. Nigdy on swojej córki nie zobaczył. Trwała wojna. Istniałam chwilą. Pod presją rozstania. Nagłej śmierci. W ciągłym napięciu, strachu. Nie myślałam o latach, które nastąpią, tymczasem one już się stawały. Wszystkie

nasze czyny dobre i złe, jak obraz z projektora, rzutują na przyszłość, zawłaszczają ją i determinują. Mnie, tamtej szesnastoletniej, w myśli nie powstało, że trzy pokolenia, jedno po drugim, będą się upominać o rachunek z mojego życia. Nie muszę go zdawać i niczego nie żałuję.

11.

Cichy odgłos przekreślonego kurka elektrycznej kuchni. Szum wrzącej wody. Dźwięk odkładanej na spodek łyżeczki. Za regałem dzielącym kuchnię na dwie części robi sobie śniadanie mąż Bogny. Wczesnie wychodzi do pracy.

Za tą przegrodą z płyty oklejonej drewnianymi listwami po jednej stronie, i półek zastawionych książkami po przeciwnej, Bogna ucieka w sen przed czyhającym dniem. Trzeba oddać projekt, przepływa myśl podobna do świetlistego żaglowca w mirażach drzemki. Z projektem łączy się coś ważnego, ale co? Aha, spotkanie z głównym szefem. Majaki gęstnieją, kryją jak chmura tamtą jasność, przez nie przebija łkanie rury wodociągowej, wtóruje porażony czkawką bulgot odpływu. Nakładają się na siebie odgłosy otwieranej lodówki, kroków, zamykanych drzwi i klucza przesuwającego rygiel.

Ulka wyszła do szkoły.

Cisza. Zakuchenny kąt Bogny, mieszczący oprócz rozkładanego legowiska fotel, rajzbret albo sztalugi – na obie rzeczy jednocześnie brakuje miejsca – powiększa się o nieobecność męża. Gdy mąż jest w domu, nie doznaje przykrości czy przymusu, jednak czuje się swobodnie dopiero, kiedy go nie ma.

Ciasno – wmawia sobie, chociaż od dawna nie wierzy w tę przyczynę.

– Nie mózgować! – nieźle, już gadam sama ze sobą. Przypomniała jej się starsza pani widziana na Krakowskim Przedmieściu. Szła ludną ulicą, wymachując rękoma, wiodła gniewny dialog na dwa głosy.

Bogna wykształciła w sobie pewne odruchy. Usuwa niechciane myśli, wyrzuca poza chwilę bieżącą, zaczyna o przedmioty materialne, czynności właśnie wykonywane. Jednak tamte powrócą, wie o tym, pojawiają się nocą, obsiadą świadomość, zabiorą sen, będą urastać wypasione na wyobraźni. Taka jest cena. Czego? Niezgody na samą siebie.

Nie można wyskoczyć z własnej skóry, przesiąść się w inny, ale również własny byt, nie można wydobyć się z rzeczywistości oblepiającej, jak gipsowa papka, chociaż podobno

człowiek ma największy wpływ na własny los.

Czy aby na pewno?

Wszystko to zwali się na nią dopiero wieczorem. Przed nią cały dzień. Wyciąga ze schowka odkurzacz. Nieprawda, że w małym mieszkaniu jest mniej do sprzątnięcia niż w dużym. Przeszkadzają słoczzone przedmioty, zwłaszcza w pokoju, gdzie mąż Bogny przez miniony wieczór zaprowadził ten sam powtarzający się codziennie bałagan. Mąż Bogny nie sprząta, nawet po sobie. Wszystko, dotyczące gospodarstwa załatwia Bogna. Zakupy także należą do jej obowiązków.

I tym razem nie poprosiła męża o pieniądze. Przede wszystkim opłacała angielską szkołę Ulki. Na wspólne gospodarstwo świadczył umiarkowanie, nigdy się nie zatroszczył o inne potrzeby prócz jedzenia.

Na ten cel Bogna przeznacza taką samą kwotę jak mąż. Mąż nie dzielił z nią innych wydatków. Niewymagający, oszczędny, większość domowych inwestycji uważał za wyrzucanie pieniędzy, nie widział powodów, by tracić własne. Bogna była zbyt dumna, żeby się upominać o rzeczy nawet tak oczywiste, jak zmiana bielizny pościelowej, ręczniki czy ścierki. Takich detali mąż w ogóle nie zauważał.

Nigdy nie podarował jej perfum. Może i lepiej, przy jego znajomości przedmiotu musiałaby je wyrzucić. Sam używał i bardzo sobie chwalił wodę toaletową z odżywką Givenchy, ale o to dbała Bogna. Pewno by się rozchorował, gdyby wiedział, ile kosztuje.

Bogna wychodzi z wanny, wymotuje się z kąpielowego frotte i zakłada swoją najlepszą bieliznę. Naturalny jedwab, produkt starej, włoskiej firmy, bardzo piękny i bardzo drogi, na który Bognę absolutnie nie stać. Jednak kupiła, ponieważ jest dla niej ważne, co nosi pod spodem. Podejrzewała siebie o kompensowanie w ten sposób swojej niepełnej wartości, a elegancki negligé uważała za rodzaj protezy psychicznych niedostatków albo odbijanie sobie ograniczeń wczesnej młodości.

– Skłonności hedonistyczne – zakwalifikowała Magdalena, lubiąca porządek w każdej dziedzinie. – Nie jesteś jedynym przypadkiem i masz nawet sławne poprzedniczki. Na przykład Marlena Dietrich zastrzegała w kontraktach najlepsze na świecie desusy, nawet gdy się na planie nie rozbierała. Świadomość komfortu, wyrafinowanego tym bardziej, że nie był widoczny, podnosiła jej samopoczucie. Mężczyźni w większości nie odróżniają Perły od asortymentu klasy trzeciej. Gotowi dostać zawału ze zgrozy, gdyby się zorientowali, że łaszek, jaki bez trudu zmieści się w zamkniętej dłoni, może kosztować pięćset i więcej złotych, czyli pięć milionów starych.

Wielu panów wciąż jeszcze lubiło operować przelicznikiem w dawno minionej

walucie. Milion! To brzmi!

– Nie bądź taka Marlena – mówi Bogna do odbicia w lustrze, przygląda się sobie krytycznie.

Sprawia wrażenie o wiele młodszej niż to stwierdza jej metryka, nawet teraz, prosto z wody, ale data jej urodzenia widnieje w dokumentach złożonych w jakiejś szafie, i tkwi zapisana w pamięci komputera.

Minęły trzy miesiące wstępnego stażu. Z umowy zawartej na ów próbny kwartał, wynika że Bogna nie ma prawa do żadnych roszczeń, jeśli przedsiębiorstwo z niej zrezygnuje nawet bez ujawnienia powodów.

– Targ niewolników – oburza się przed Magdaleną.

Przez czas próbny opracowała kilkanaście projektów, w południe jest umówiona na pierwsze spotkanie z dyrektorem generalnym, który rozstrzygnie jej być albo nie być w firmie.

Najważniejszego szefa dotychczas nie widziała.

Pracownia dla próbnych mieści się w drewnianym składaku w Izabelinie, bok w bok z wytwórnią opakowań, przy bocznicy kolejowej także należącej do Hermes Zoo. Po tym torze przetaczane są kontenery na lorach o pojemności wagonów transportowych z surowcem do produkcji. Jadą z górki rozrządowej Warszawa-Towarowa wprost pod rampę magazynów zakładu, nad którymi władzę absolutną sprawował młody mężczyzna, technolog, specjalista w dziedzinie tworzyw. Dwojga doktoratów: z chemii i zarządzania. Nad pacykarami i grafomanami walczącymi o miejsce w firmie czuwała z doskoku event-marketing. Prace opatrzone tylko godłem oceniały tandemy: copywriter – artdirektor.

To anglo-tutejsze zadęcie już nawet Bogny nie śmieszyło, skoro z polska-angielskie tytuły słyszała nawet w znanym jej od dawna sklepie spożywczym.

Sprzedawczyni z osiedlowego marketu, opowiadały Bognie horrory o losach wcześniaków. Tak nazywały dziewczyny zatrudniane na okres próbny.

– Już pani u nas nie pracuje – pod koniec dnia jak kobra paraliżował takiego wcześniaka kiepszop albo salceson, spolszczony sales manager i przemianowany bardziej swojsko kierownik sklepu, należącego teraz do jakiejś sieci z zagranicznym kapitałem.

– I za co?! Za wzięcie z półki kubeczka jogurtu!

– Nie powinna najpierw zapłacić? – nietaktownie znalazła się Bogna.

– No wie pani! Za państwowego nikt nie robił halo z kawałka sera, owocu czy wędliny. Człowiek musi się przecież posilić, kiedy haruje przez okrągły dzień i kto słyszał, żeby człowiek płacił za jakiś kęs, jak robi w żywności.

– Jeśli ją zaangażowano przed trzema miesiącami, skąd znała zwyczaje z czasów państwowego?

– Nasze matki stąd poszły na emeryturę. Wtedy nie rządził byle szczył co dopiero z merca się wypierzył!

Nie staram się o posadę sklepowej, pociesza się Bogna, ale właśnie trafiło Magdalene.

Metoda. Za zatrudnienie na próbę nie płać ubezpieczenia i paru innych podatków. A kandydat ryje niczym niewolnik, żeby się jak najlepiej zaprezentować. Czysty zysk – podsumowała Magdalena swoje doświadczenia z Fundacją.

Przez kwartał, oprócz różnych mniej czasochłonnych działań, przeprowadziła skomplikowaną operację prawną, która przyniosła firmie wymierne korzyści, po czym podziękowano jej za współpracę. Gdyby rzecz zlecono kancelarii adwokackiej, ta jedna sprawa kosztowałaby wielokrotność trzech pensji wypłaconych Magdalenie.

Hermes Zoo, przedsiębiorstwo, gdzie Bogna stara się zdobyć względnie stałe miejsce, zajmuje się szeroko pojętą reklamą, projektuje i produkuje wszystko, co służy budowie image'u wytwórców i popularności ich towarów: film, obraz, słowo, znak graficzny dla różnego rodzaju opakowań i same opakowania, nalepki, ulotki, etykiety, plakaty, metki, szyldy i propagandę w massmediach.

Budynek szpetny, nowobogacki, pseudonowoczesny, ze szkła i metalu. Sztampowa tandeta, jaką zaczęto zaśmiecać miasto. Bardzo nowy menadżer zwykł mawiać, że to budowla na miarę XXI wieku.

– W czym mogę pomóc? – wypełnia sobą wejście portier w wygalonowanej liberii o kompleksji zapaśnika.

– Staż próbny.

– Szan-pani zamówiona na dzisiaj?

Szan-pani zamówiona.

– Sabi, próbna, z naszej plastyki – zawiadamia gladiator ścianę obłożoną syntetycznym marmurem i zaraz na schodach pojawiają się nogi. Przez dobrą chwilę widać tylko wciąż coraz dłuższe nogi, dopiero później ukazuje się rąbek popielatego tweedu, wreszcie szczyłek spódniczki i reszta bardzo efektownej, młodej osoby.

Na półpiętrze sekretariat i gabinet szefa.

– Numer osiemdziesiąty szósty – anonsuje Sabi, wychodzi i zamyka dźwiękoszczelne ognio-wodo-gazo-odporne drzwi, opatrzone tabliczką znamionową nadzwyczajnej firmy znanej od Pacyfiku po Kamczatkę i z powrotem.

Gabinet obszerny. Białe. Oprzyrządowanie czarne. Jedna niecka duża, trzy mniejsze

wyłożone poduchami z czarnego tworzywa udającego skórę. W jednej z niecek siedzi facet w ciemnoszarym garniturze, popielatej koszuli, krawacie barwy dymu i dynda nogą w modnym kamaszu przypominającym skrzyżowanie buta ortopedycznego ze sztybletem. Na widok Bogny niemrawo wygrzebuje się spośród tapicerki i przenosi do czarnego blatu wspartego na dwóch pionowych kwadratach oraz poprzecznym prostokącie. Na tym blacie oprócz komputera i aparatów łączności jedna, jedyna teczka barwy żrącej czerwieni.

Użytkownik pomieszczenia zaprasza Bognę na samotne, względnie normalne krzesło, ustawione po przeciwnej stronie geometrycznych konstrukcji. Jego palec wskazujący zaczyna zmagania z klawiaturą Hewlett Packard. Od strony Bogny nie widać co wyświetla monitor.

– ... pani nie ma łatwości w kontaktach aaa... aaam międzyludzkich... – z tonu nie sposób wywnioskować czy facet twierdzi, czy pyta. Pauzy między słowami wypełnia dźwiękiem przypominającym gardłowe aaa, przemiennie z aaam.

Aaacz – kwalifikuje Bogna. Zamiast swojskiego eee, które cechuje tubylców, ziomkowie przebywający dłużej lub krócej za granicą, zwłaszcza w Ameryce, preferują pierwszą literę alfabetu, być może bliższą duchowi języka angielskiego w amerykańskim wydaniu. Bogna nie jest pewna, z angielskim jest osłuchana tylko z ćwiczeń córki. Owo aaa podchwyciły snoby i gwałtowna inwazja Aaaczów grozi zagładą rdzennie polskim Eeeczom.

– Nie mam żadnych trudności, przeciwnie wielką łatwość jednania sobie ludzi – łże Bogna.

Magdalena, podchodząca naukowo do życiowych supłów, swoje doświadczenia z dziedziny starań o pracę w coraz trudniejszych warunkach, wsparte literaturą fachową, przekazała Bognie.

– Nigdy nie mów, że czegoś nie umiesz, nie znasz, dotychczas nie robiłaś, nie masz praktyki.

– Proszę... aaa... aaam zapoznać się z oceną bieglego – szef przestaje dręczyć komputer, gmera w tej samotnej czerwonej teczce leżącej na biurku. Zawartość teczki stanowi jedyny dokument, który podaje Bognie.

Bogna ogląda podpis: (-) doktor, adiunkt, faksymile nieczytelne.

Opinia:

„Typ leptosomiczny. Temperament schizotypiczny. Skłonność do autyzmu. Zatapiania w sobie. Wytworzenie ściśle indywidualnej strefy wewnętrznej. Obcego rzeczywistości świata marzeń, idei lub zasad z obojętnym lub uczuciowo zabarwionym uchylaniem się od kontaktu z masą bliźnich albo chłodnym przebywaniem wśród nich, bez interesowania się nimi i potrzeby wewnętrznego powiązania. Schizotypicy: wytrwali, energiczni, niezłomni,

pryncypialni i konsekwentni. Natury władcze. Ocena według typologii Kretschmera.”

Passus o uchyłaniu się od kontaktów z masą bliźnich podkreślono. Takie są rezultaty wielostronicowego testu, który otrzymała na początku, oceniła jako goniący w piętę, i wypełniła byle zbyć.

– Wolę terminologię Sheldona: typ ektomorficzny. Brzmi znacznie lepiej i nie ma obawy pomylenia schizotyńnika ze schizofrenikiem, a odpowiada leptosomowi według Kretschmera, podobnie Pendego: typ steniczny. Nie są tak autorytarni jak Kretschmer. Nie mam zaufania do facetów głoszących jedynie słuszne prawdy.

– Aaaaam... interesujące, proszę mówić dalej.

– Poza wszystkim należy pamiętać, o czym doktor adiunkt, kwalifikujący mnie do odnośnego typu, w ogóle nie wspomina. Otóż cechy osobowości stanowią wynik działania genotypu w określonych okolicznościach. Zasadniczy wpływ mają uwarunkowania środowiskowe i kulturowe. Ja na przykład wcale nie jestem naturą władczą – zapewnia Bogna i mimo „chłodnego przebywania wśród bliźnich” ciepło myśli o Magdalenie, która przygotowała ją na podobną okoliczność.

– Ośłuchaj się z typologią, żebyś wiedziała, o co chodzi, jak ci wyświetlą twój rentgen psychiczny. Okropnie teraz w modzie naukowe podejście do rekrutacji kadr. Dopust boży. Na wszelki wypadek poczytaj Spenglera.

Bogna nie zajrzała nawet do Spenglera, teraz żałuje. Jej wiedza z dziedziny typologii wyczerpana. Prawdopodobnie nie ma już nic do stracenia, przynajmniej pomądrzyłaby się przed tym Aaaczem patrzącym na nią baranim wzrokiem.

– Pani aaam, jest psychologiem, albo tym... socjologiem?

– Ani jednym, ani drugim. Tyle wie, w każdym razie powinien, inteligentny człowiek chcący pracować w tej branży – skromnie zauważa Bogna i nagle coś ją tknęło. – Ale w czym może mi przeszkodzić, powiedzmy: brak potrzeby wewnętrznego powiązania z masą bliźnich?

– Tak, oczywiście, aaam, ma pani wspaniałe warunki zewnętrzne... Ale dlaczego ja tu nie mam żadnych sprawozdań... Aaaaam...

Na wygwizdowie przy boczniczy kolejowej należącej do Hermes Zoo, aaamczył kawaler dwojga doktoratów, technolog sprawujący władzę absolutną w usytuowanej tam wytwórni opakowań z tworzyw sztucznych. Podobno był stypendystą i naukowe ostrogi zdobył w Stanach. Można rzec aaamczył prawowicie. Pewno ten tutaj, główny szef, uznał, zwłaszcza dźwięk brzmiący jak aaa-m, za elegancki atrybut ludzi wykształconych, bywałych w świecie, w ogóle wytwornych i na topie.

- Ile zamówień zebrała pani, aaam przez okres próbny?
- Ani jednego – morderczo cedzi Bogna.
- Właśnie! – nie wiadomo dlaczego cieszy się Aaacz.
- Natomiast złożyłam dwadzieścia projektów graficznych. Kilkanaście tekstów reklamowych i nigdy nie występowałam o pracę akwizytora.
- Jakieś, aaam, nieporozumienie – zacukał się szef i nerwowo dziobnął klawiaturę Hewlett Packard. Nie poskutkowało, więc przydusił dzwonek. – Sabi! Przyślij tego darmozjada od sprzętu. Cito! – ponaglił zapożyczeniem z lekarsko-aptekarskiej łaciny.
- Wpadają parą. Ta dziewczyna składająca się prawie z samych nóg w szczątkowej spódniczce na ich górnym zakończeniu i chłopak we frędzlastym kaftanie a la Zbyszko z Bogdańca, z syntetyku, udającego skórę łosia.
- Sprawdzić – bezosobowo rozkazuje Szef.
- Głowonóg z kończynami jak z reklamy najlepszych pończoch świata i na obcasach w kształcie klocków przy buldogonosych czółenkach wgryza się w wydruki, frędzlasty majdruje przy klawiaturze Hewlett Packard, po chwili wynosi ich z pomieszczenia tak szybko, jak wniosło.
- Przepraszam, aaam, mój personel jeszcze czasami nie panuje nad techniką i oprzyrządowanie robi, aaam, figle...
- Bogna podejrzewa, że Aaacz nacisnął nie to co trzeba, ale milczy z uśmiechem Giocondy.
- Aaa, przyjmujemy panią na stałe.

12.

- Nie chciałaś mnie widzieć?
 - Nie mogłam. Praca.
 - Tak bardzo rygorystyczne są twoje nowe zajęcia?
 - Owszem. Zwłaszcza terminy.
 - Kiedyś nie miałaś terminów.
 - Były zawsze, tylko je zawałam.
 - Już nie jestem wart drobnego uchybienia obowiązkom?
- Mówił to człowiek bezwzględnie dotrzymujący słowa, bez pobłażania ani sobie, ani

podwładnym. No tak, we własnym przypadku. Ale jego praca i praca Bogny stanowiły dwie różne wartości, chociaż pewno nawet nie uświadamiał sobie tego podziału, werbalnie uznając każde działanie za ważne.

– Jesteś dużo wart, ale ja nie mogę stracić miejsca.

Bogna siedzi naprzeciw Adama, widzi jego uważne spojrzenie i nie czuje nic. Dokładnie nic. Nawet kiedy weszła, a on uniósł rękę, dając znak od ich stolika – ileż czasu upłynęło od ostatniego spotkania! Nieważne – ani razu żywiej nie uderzyło serce.

Już nie jestem zdolna do kochania – wypaliłam się – umarłam tamtego wieczoru na progu twojego gabinetu – zamieniłam w kamień – nic nie jest w stanie mnie poruszyć – nie mogę płakać – nie mogę się cieszyć – mam dorastającą córkę – zmarnowane lata w nieudanym związku i kochanka chama – byłego kochanka – i nie potrafię przypomnieć sobie smaku jego miłości – nie potrafię i nie chcę – i nie żałuję przemiany w kamień.

– Porzuciłaś Instytut. Nie wiedziałem.

– Nikt nie wiedział.

– Sądziłem, że nie jestem nikt.

Upokarza – poniża – przychodzi po latach świetlnych i domaga się specjalnych względów – jest ich pewien.

– Tak bardzo było ci u nas źle?

– Musiałam stanąć na pewniejszym gruncie niż zlecenia z umową co miesiąc, którą bez wypowiedzenia można nie odnowić.

Nigdy nie brałaś poważnie mojej pracy – chociaż widomie jej nie lekceważyłaś – należała do babskich zajęć – uzupełnianych innymi babskimi zajęciami – na przykład dekorowanie wystaw – zupełnie niepoważna czynność – ponieważ ty nigdy nie oglądasz sklepowych witryn inaczej niż z punktu widzenia socjologa: jak się wystrój handlowy ma do rytuału przejścia naszej między epoki z ery minionej do ery, która nastąpi – lecz z żadnego punktu widzenia nie zauważyłaś, że moja umowa tylko z Instytutem nie wystarczyłaby na życie.

– Nawet nie zawiadomiłaś o odejściu.

– Próbowałam. Zawróciłaś mnie od drzwi.

Nie kłamie. Jest przekonana, że o rozstaniu z Instytutem postanowiła, zanim pamiętnego wieczoru spróbowała zobaczyć się z Adamem i powodem jej inicjatywy stała się właśnie ta decyzja. Nie mogąc znieść doznanego poniżenia, litościwa pamięć dokonała swoistej roszady, zamieniając przyczynę na skutek.

– Nie miałaś dla mnie czasu.

Nic nie czuje do tego obcego mężczyzny, a jednak mimo szalbierstwa pamięci, dotkliwość minionego upokorzenia nie utraciła nic ze swej goryczy, wspomnienie jest wciąż świeże i raniące jak bezpośrednie doznanie.

– Byłem na ciebie wściekły.

– Już nie jesteś?

– Postawiłaś mnie w niezręcznej sytuacji. Zaangażowałem się, a ty zniknęłaś bez słowa wyjaśnienia.

– Prosiłam, żebyś nie zajmował się pieniędzmi za odrzuty. Nie warte były emocji, jakie wyzwoliły.

– Bronilem zasady, nie tylko twoich pieniędzy.

Pewno – gdzieżby taki intelektualista szarpał się o jakąś szmatławą kasę dla jednostki – oni wszyscy są *pro publico bono* – dla dobra i ku – dla dobra i ku, gotowi przegryzać ścięgna – podrzynać gardła – wydłubywać oczy – jestem niesprawiedliwa – cudownie niesprawiedliwa – nareszcie wolna.

Bogna ma uczucie dobiegnięcia do jakiejś mety, wytchnienia, wydobywania się na pewny grunt. Wprawdzie nie będzie na tej ziemi chrzęstu ponowy pod stopami na wyludnionym rynku dostojnego miasta, nie będzie słońca w kieliszku tokaju, nie będzie srebrnego księżyca, nie będzie księżyca jak miedziany gong obwieszczający Rzece godziny nocy, nie będzie księżyca jak opal w rozkudłanych czubach nadbrzeżnych olch. Ale to już tylko dalekie wspomnienie, wyblakła fotografia emanująca leciutką melancholią, jak zwietrzały zapach zasuszonych kwiatów pośród kart starego albumu.

I nagle ten twardy grunt usuwa się spod nóg. Ochronny mur, jaki wzniosła, wali się i już wiadomo, naprędce i byle jak ulepiony nie wytrzymał ciśnienia jednego, jedyne słowa:

– Wyjeżdżam.

Oni się rozstają – odgaduje kelnerka. Czy to pożegnanie? Sami nie wiedzą.

– Na długo?

– Podpisałem kontrakt trzyletni.

Cios między oczy. Oślepia. Trzy lata. – Kiedy on powróci skąd? – Jej będzie odliczone... jeszcze nie starość, już po półmetku.

Rozpryskuje się księżyc w nurcie Rzeki, w kosmicznej katastrofie nad rynkiem dostojnego miasta ginie srebrny księżyc, gaśnie słońce w kieliszku tokaju, zapada ziemia pod stopami. Bogna staje się pojęciem, prostą równoległą, okrutnie sama przemierza nieskończoność.

– Dokąd... wyjeżdżasz? – trudne słowo wypełnia usta, kaleczy jak tłuczone szkło.

Przecież jednak będzie mogła z nim się zobaczyć. W końcu wysłuży sobie jakiś urlop, uwzględniając całą dyscyplinę nowej pracy. Więc nie jest zupełnie źle, spotka Adama nie jeden raz, zanim minie trzyletni uskok czasu, po którym odnajdzie się już w pobliżu swoich czterdziestu lat. I błysk nieśmiałej nadziei. Może, może właśnie usłyszała zapowiedź jakiegoś bycia razem.

– Kalifornia.

– Amerykański self-made-man. Wpływowy senior Phi Beta Kappa, łowca intelektu – słyszy własny głos jakby z oddalenia.

– Skąd wiesz o seniorze Phi Beta Kappa?

– Przecież zostaliśmy sobie przedstawieni na spędzie w Marriocie.

Głośno wymieniona nazwa przyprawia o lęk, w domu powieszzonego nie mówi się o sznurku, wraca wspomnienie koszmaru, właściwie trwającego do teraz.

– Kalifornia – powtarza Adam i tą nazwą ściera Marriotta.

Kalifornia. Czas i pieniądze. Nie będzie miała takich pieniędzy, aby wystarczyło na wszystko i na daleką podróż. A więc jednak trzy lata! Ponad tysiąc dni. Nie żyjemy wieki świetlne. Ileż się może zdarzyć przez tysiąc dni.

Może i lepiej – może wyleczy mnie czas i odległość, najbardziej tajemnicze i nieubłagane prawa – jedyne niezawodne – po co powiedział – nie mógł wyjechać bez pożegnania – nie znoszę pożegnań – nie wiedząc, miałabym przynajmniej złudzenie jego obecności w jednym mieście – pomału bym odwykła – przecież już tyle czasu udało się żyć bez niego i nie skąpiec.

– Nadojadło środowisko?

– Także. Ale przede wszystkim szansa wyjścia na forum międzynarodowe, no i pieniądze.

– Osiądziesz... tam?

– Nie. Powrócę.

Ilu tak mówiło – ilu było głęboko przekonanych – potem wciągał nowy kraj – warunki – dobrobyt – na stałe powracają nieliczni – najczęściej ci skrachowani – nie życzę ci źle – a więc pewno cię już nigdy nie zobaczę – nigdy – nigdy brzmi jak umrzeć – tylko się nie rozplakać – po co się ze mną spotkał – dlaczego zgodziłam się na to spotkanie – nie powinnam się po nim niczego spodziewać.

– Życzę powodzenia i... wyślij czasami kartkę.

– Jedź ze mną.

– Niedobry żart. I myśl: dokąd mnie odstawisz po tych trzech latach.

– Mówię poważnie. Kocham cię.

Adam nigdy nie miał uczuć na wierzchu, zawsze ukryte i nieobecne w słowach. Teraz wyrażone, nazwane, brzmią jak cudzoziemski język, który się wprawdzie rozumie, lecz jego głębszy sens wymaga translantacji, przez co dociera z opóźnieniem. Bogna bezwiednie wstrzymuje oddech, żeby nie spłoszyć bezcennej chwili, jak fajerwerk wybucha w niej doznanie oszałamiającego szczęścia.

Wszystko można ułożyć – wszystko da się pogodzić – nie jest takie niewykonalne – znajdę tam pracę – nauczę się angielskiego.

Dobre zdanie Sowy o jej miniaturach urasta do rangi sukcesu, już daje pewność powodzenia za oceanem.

– Możesz pracować u mnie – niedawno proponował Sowa. – Potrzebuję kogoś uczciwego w galerii, kiedy mnie nie ma. Poza tym będziesz sprawowała honory domu na promocjach i wieczorach i mogła do woli smarować swoje urocze drobiazgi. Są dobre, a obecność w galerii pomoże w rozgłosie i ugruntuje pozycję, zapewni nieustającą bezpłatną wystawę i reklamę.

Tylko to, co mógł czy chciał płacić Sowa, miało się nijak do potrzeb Bogny.

Dlaczego więc w Kalifornii nie miałyby spróbować sił w miniaturach?

Ulę umieści w szkole z internatem. Tylko skąd wziąć na wszystko pieniędzy i jeszcze na podróż i przeżycie w Kalifornii, zanim wysmakowane portrety na kości lub porcelanowym biskwicie podbiją kontynent, a przede wszystkim Piątą Avenue w Nowym Jorku.

Ulka.

Dziecinne ramiona. Drobna twarz na długiej szyi, jeszcze bardziej drobna i przezroczysta przez kontrast z włosami, rozpasaną grzywą żerującą jak jemioła na kruchym ciele, grzywą nijakiego koloru, jakby zabrakło pigmentu na jej ubarwienie.

Ulka.

Wielka czułość przerywa tamy i zmiata wszystkie niedawne miraży, we wzburzonych myślach przepływają już tylko oderwane elementy zdruzgotanych domków z kart, zamków na lodzie, gołębi na dachu i zaraz uderza nowa fala. Krótki, straszny bunt przeciw pętom, przeciw tej dziewczynie, molochowi pożerającemu życie i szczęście Bogny.

– Może nie powinniście nigdy się wiązać i mieć dziecka – szare, nakrapiane złotymi iskrami oczy córki patrzą na Bognę z samego wnętrza Bogny, jakby ta duża Ulka wciąż jeszcze dojrzewała w jej brzuchu.

Co ty wygadujesz, dziecko – odpowiada w myśli Bogna po raz nie wiadomo który na to pytanie-krzyk o miłość, uwagę, potwierdzenie potrzeby wywołania jej na świat, zadane

dawno temu. – Nie mów tak nigdy więcej! Kocham cię, bez ciebie nie wyobrażam sobie życia.

Bogna wraca do rzeczywistości. Znowu siedzi naprzeciw Adama i musi zrezygnować z jego propozycji.

– Nie mogę zostawić dziecka – wypchnięcie słów przez odporne wargi jest ciężkie jak utrata nadziei.

– Ja zostawiam dwoje.

Bognie nie chce się nawet zauważyć głośno odmienności sytuacji. Dzieci Adama są starsze od Ulki i pozostaną z matką.

– Ulka teraz najbardziej mnie potrzebuje, a to jest tysiąc dni. Tysiąc dni, Adam, nie mogę dziecka przegrać walkowerem.

– Oczywiście, jeśli tak czujesz – Adam wydaje się ciężko zawiedziony.

– Nie mogę, nie mogę... – powtarza Bogna. Srebrny księżyc tonie w srebrnej Rzece, Rzeka robi się czarna.

13.

– Aaam, likwidujemy stanowisko unit managera reklamiarzy – przy komunikowaniu bardzo ważnych decyzji, szef używa formy *pluralis majestatis*.

Jak wówczas, gdy Bogna zobaczyła go po raz pierwszy, Aaacz siedzi w wieloosobowej niecce wypełnionej poduchami obszytymi czarną tapiserią udającą skórę i dynda nogą.

Bogna czuje nagły ucisk w gardle, lecz udaje jej się zapanować nad wyrazem twarzy. Przycupnięta w pojedynczej niecce, mechanicznie odlicza odchylenia osobliwego wahadła w wymyślnym kamaszu – jakiejś oszałamiającej angielskiej, włoskiej albo francuskiej firmy – i wreszcie przenosi wzrok na wygolony podbródek szefa.

– ...poza tym zaplanowałem aaam... parę pomniejszych skrótów... – między wargami błyskają zupełnie nowe, olśniewające zęby, białe i równe, tylko z lekka wyeksponowanymi zakończeniami górnych trójek.

Rottweiler – nasuwa się Bognie skojarzenie. Przewisko niezauważenie wymknie się spod kontroli i będzie funkcjonować w całej firmie. Usłudźni aportują tożsamość autorki, jednak z tego powodu nic się nie wydarzy. Rottweiler to silne, piękne, groźne zwierzę. A

dupencja? Na razie ma u szefa kredyt. Wyznaczył dla niej miejsce w swoich planach.

– ...administracja zawsze ma tendencje rozrostu, trzeba ją przycinać...

Bogna przeżywa moment przerażenia, tym większego, że żadne znaki, najmniejsza plotka – zawsze jak dym snująca się zanim projekt, zwłaszcza personalny, zastąpi decyzja – nie poprzedziła dzisiejszego oświadczenia szefa. Jej miejsce w przedsiębiorstwie Francuza, tak również nazywano Hermes Zoo między sobą, dotychczas wydawało się stabilne.

Rottweiler zawiesza głos, jak gdyby wyczerpany ciężarem zawartym w wypowiedzianej myśli i w tę pauzę wkracza na swoich niebotycznych kończynach Głownóg, niezastąpiona asystentka szefa w zanikowym przyrodziewku. Wnosi kawę, wdzięk i odprężenie. Szef przestaje dyndać stopą, niezmiennie hipnotyzowany widokiem niewiarygodnie doskonałej pary nóg i nadbudowy, tego dnia osłoniętej szczątkiem szkockiego tartanu w granatowo-zieloną kratę.

Bogna jest wdzięczna losowi za pauzę powstałą przez wejście Sabi. Stara się zebrać w sobie, opanować, zanim usłyszy wyrok, widać rozłożony na raty. Mechanicznie obserwuje pełną gracji zonglerkę z filizankami i dzbankiem odprawianą przez bardzo piękną dziewczynę, która z takim samym urokiem panuje nad biurową techniką i swobodnie mówi, czyta oraz koresponduje w trzech językach.

– Wracając do naszej sprawy... – podejmuje Rottweiler, gdy tylko Głownóg wyfalaował za drzwi i na moment milknie schowany do połowy w ściennej szafie.

Z czeluści wydobywa się, trzymając w jednej ręce butelkę koniaku, w drugiej kieliszki.

Koniak jest francuski, dobrej marki, pękate czarki z kryształu ciętego w ornamenty, z serwisu na większe okazje. Wydarzeniom zwykleszym towarzyszy szkło bez wzorków, przechowywane pod pieczęcią Głownoga w sekretariacie, obok flaszek brandy.

Tylko jakąż to niezwykłą okazję stanowić może zwolnienie unit managera, mówiąc po ludzku, kierowniczkę zespołu tworzącego reklamy dla najróżniejszych podmiotów. Poza tym Rottweiler nie należy do altruistów, marnujących przedni trunek dla kogoś, kto już nie przedstawia dla firmy żadnej wartości.

Bogna nie ma złudzeń. Szefa Hermes Zoo zalicza do białoskarpetnych. Jego sposób na życie łudzaco przypomina motywacje osobników, którzy objawili się pod koniec lat osiemdziesiątych: szwarcowali bawełnę z Indii, elektronikę z Tajlandii, turecki denim z Ankary i wszystko co się dało z całego świata. Młodzi, operatywni, drapieźni, nie przebierający w środkach. Do džinsu nosili białe skarpetki i czarne, nierzadko lakierowane mokasyny ozdobione kokardkami z wąskich skrawków skóry, zakończonych chwościkami.

Z większymi pieniędzmi zmieniło się opakowanie. Rottweiler wygląda jak reklama

światowych firm: buty od Gucciego, krawat Yves St. Laurent, koszula Turnbull i Asser, od niedawna uzębienie: najwyższy kunszt stomatologii światowej, nie mniej kosztowne niż zegarek Jaeger LeCoultre na przegubie.

– Będziesz moim zastępcą – zawiadamia Bognę o mianowaniu na wyższe stanowisko i bada wrażenie na twarzy doświadczalnego obiektu. Wrażenie owszem jest, jednak reakcja niezadowolająca.

– Dziękuję za... lecz... – Bogna chce powiedzieć, że za mało zna się na zarządzaniu, ale w porę przychodzą na myśl rady Magdaleny: nigdy nie mów, że czegoś nie umiesz.

– Wybrałem ciebie, Bogna! – z naciskiem podkreśla szef, zawiedziony jej powściągliwością. – A w ogóle jestem Robert.

– Dziękuję – powtarza oszołomiona Bogna, już bez żadnych zastrzeżeń.

– Reklamiarze pozostaną w twojej gestii. Będzie ci także podlegał dział opakowań.

Dziedzina w znacznej mierze zależna od talentów artysty.

– Przede wszystkim od chemii.

– Od chemii zatrudniam technologa, w materii artystycznej on ma słuchać ciebie.

– Kiedy mam podjąć obowiązki?

– Zaraz.

– Muszę propozycję przemyśleć.

– Naturalnie. Jutro chcę usłyszeć tak lub nie – Rottweiler jest wyraźnie zawiedziony brakiem zachwyty i wyrazów wdzięczności.

Bogna rozumie. Trafiła wielką szansę, może jedyną. Odrzucona, nigdy nie powróci. I mimo krytycznego poglądu na głównego menago, jego propozycja bardzo podniosła jej samoocenę. Oszołomiła wysokość wynagrodzenia, perspektywa dodatkowych udogodnień przypisanych do odpowiedzialnej funkcji: markowy samochód, ryczałt na reprezentację, pielęgnacyjne seanse w instytucie zdrowia i urody, zwrot opłat za studia, zwrot kosztów czynszu za określony duży metraż mieszkalny, za markowe ubrania.

W jej nowym samopoczuciu ma także pewien udział satysfakcja na myśl o cierpieniach zawistników, którzy zależli jej za skórę, i obawa przed reakcją Rottweilera, jeśli propozycji nie przyjmie.

Odmowa w najlepszym wypadku cofnie ją na miejsce, z jakiego zaczynała, zanim mianował ją artdirektorem – zgodnie z obcojęzyczną nomenklaturą, w jakiej lubuje się ów samorodek biznesu, nie znający porządnie żadnego języka, nie wyłączając ojczystego – czyli anonima podporządkowanego tandemom, tworzącym obraz i słowo. Tandem ma do dyspozycji gromadę pomocników, a takich tandemów firma liczy kilkanaście.

I całkiem przyjemna jest Bognie myśl, jak tę węzę szerszeni teraz rozpali do białości kolejny awans plastyczki z bożej łaski. Tak ją pogardliwie nazywały, a nawet gorzej, celebrujące swoją wyjątkowość, talenty i dyplomy akademii inne pary reklamorobów, nie gorszych, ale i nie lepszych od niej.

– A więc do jutra – żegna ją Rottweiler.

Bogna już wie, następnego dnia potwierdzi swoją zgodę. Wprawdzie Rottweiler to pragmatyk działający wyłącznie w zgodzie z interesem, ale urażony odmową może jej poprzedniego miejsca, skąd zaczynała, w ogóle nie zaproponować, ponieważ ma w kim wybierać. Dużo jest plastików z dyplomami, bezrobotnych i gotowych przyjąć pracę w przedsiębiorstwie Francuza.

Gdyby tylko jeszcze mogła znać pobudki, kierujące białoskarpetnym, dlaczego tę funkcję ofiarował właśnie jej? W firmie jest wielu nie znających się na chemii i ze słabym pojęciem o technologii opakowań, więc dlaczego właśnie wybrał ją?

Wyszarpuje się z przepełnionego autobusu. Stop. Bazar. Szybkie zakupy. Torbom przybywa na wadze. Bogna, gdzieś na drugim planie świadomości, zaczyna obmyślać przeorganizowanie zajęć domowych, aby je pogodzić z dyktowaniem.

Przez drzwi mieszkania słychać telewizor.

Telewizor akceptowali wszyscy, ale ani mąż, ani Ulka nie chcieli towarzystwa gadającej skrzyni w swoich pokojach. W zakuchennym kącie Bogny nawet dałoby się go wcisnąć, tylko już nie można byłoby oglądać. Dostał więc półkę w przedpokoju na szynach zamontowanych w ścianie kapitalnej. Z betonu. Pozostałe działowe są z gipso-kartonu, niezdolne utrzymać taki ciężar. Nareszcie wynikła jakaś korzyść ze szczytowego położenia lokalu, dotychczas dostarczającego wyłącznie, zależnie od pory roku, dodatkowe zimno lub gorąco.

W przedpokoju nie jest za przestronnie i jeśli dwoje siedzi w odpowiedniej odległości od ekranu, tarasują kuchenne i łazienkowe wejścia. Dla trzeciej osoby właściwie miejsca nie ma i to brakujące miejsce przynależy Bognie.

Jeśli już bardzo ciekawa programu, może uchylić drzwi i przysiąść obok zlewozmywaka ulokowanego na skosie szafkowego ciągu. Ale rzadko wszyscy naraz chcieli oglądać telewizję. I tak mieli szczęście z tym przedpokojem. Nietypowy. I tylko dlatego udało się tu zainstalować pękata zawalidrogę.

Telewizor gada. Przed telewizorem siedzi mąż. W telewizorze żyją swoim życiem gadające głowy, często półgłówki.

– ... dobry – odmrukuje mąż na dzień dobry Bogny, odsuwa siedzisko, robi przejście

objuczonej Bognie, i powraca na fotel.

Bogna zauważyła ten fotel. Sprzęt z pokoju męża. Trzeba pewnego trudu, aby go stamtąd wydostać i przemieścić. Na zwyczajne oglądanie bierze się kuchenne zydle. Mają oparcia i miękkie poduszki uszyte przez Bognę. A zatem mąż siedzi przed telewizorem długo, może nawet od rana. Siedzi i przeżywa. Jeszcze przeżywa.

Odkąd stracił pracę, Bogna przeczytała sporo o psychologii i symptomach choroby bezrobocia. Wszystko się zgadza. Kolejne fazy następują po sobie, tylko Bogna nie potrafi w niczym pomóc, niczemu zaradzić mimo tej książkowej wiedzy. A nawet gdyby mogła, mąż nie przyjąłby od niej pomocy. Sytuacja jest patowa.

– Zjednoczenie padło – zawiadomił Bognę pierwszego dnia, kiedy pozostał w domu.

Z początku wcale się nie przejął. Dobry fachowiec, świetne opinie z przeszłości, między innymi kilka lat na zagranicznych kontraktach. Był pewien znalezienia zajęcia nawet atrakcyjniejszego niż dotychczasowe bez specjalnych zabiegów. Nie znalazł. Skończył czterdzieści sześć lat, pracodawcy woleli młodszych. Wreszcie podpisał umowę na dziesięć miesięcy do Niemiec.

Nadzorował budowę domów z gotowych elementów, do czego niekoniecznie potrzebny patent architekta. I znowu nic. Zbuntowany, wrócił tam na własną rękę, zaangażował bez zezwolenia. W konsekwencji odesłano go z powrotem i zakazano wjazdu na pięć lat. Odkąd przestał przysługiwać zasiłek, coraz częściej siadywał przed telewizorem, nie bardzo uważając na emitowane treści.

– Telefonowała sekretarka twojego szefa. Musiał wyjechać, masz do namysłu dwa dni – mówi w przestrzeń, nie odwracając głowy.

Mąż siedzi plecami do uchylonych kuchennych drzwi, za którymi Bogna obiera kartofle. Odkąd pracuje w pełnym wymiarze godzin, co często w praktyce oznacza poza wszelkim określonym czasem, obiady, czyli coś gorącego, jadają w porze kolacji.

– Nad czym kazał się namyślać ten nuworysz? – znowu w przestrzeń mówi mąż.

– Dlaczego nuworysz? – Bogna chce zyskać na czasie, szuka właściwej formy, żeby wiadomość o propozycji awansu nie stała się niedelikatnością wyrządzoną mężowi. Odkąd stracił pracę, stał się jeszcze bardziej drażliwy.

Chwilami Bogna nienawidzi tego mężczyzny, który nawykł traktować ją jak worek treningowy dla swoich nastrojów, i dziwi się, że wciąż jeszcze wraca do tego domu, sprząta, gotuje, a teraz utrzymuje rodzinę. No tak, ale to jest właśnie taka sytuacja, kiedy odejść nie można.

– Wiesz jak zaczynał? Woził z Hamburga banany i sprzedawał z ciężarówki.

– I co z tego? Wielu tak zaczynało.

– W rzeczywistości jego uliczny handel to legenda dla urzędu skarbowego. Pieniądze przyniósł transfer spirytusu. Syntetyczny produkt dający się wycisnąć z każdego świństwa, nawet ze starych kamaszy. Skutecznie konkuruje z rodzimym, wciąż jeszcze pędzonym ze szlachejnych surowców.

– Jakich szlachejnych?!

– Kartofle, ziarno, owoce w zestawieniu z destylatem z łysych opon na przykład, to przynasz, surowiec arcyszlachejny – fantazjuje mąż.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Pobiera lekcje brydża w naszym klubie. Tylko zachowaj wiadomość dla siebie. Nie należy do dobrych obyczajów opowiadanie, kogo się uczy. Ta nowa klasa jest wielce uczulona na dyskrecję, najlepiej niech wszyscy myślą, że umiejętności licytowania szlema bez atu dziedziczą po herbowych praszczurach. A ten nuworysz bardziej od innych.

– Okropnie mała jest Warszawa – stwierdza Bogna, myśląc że niewygodny temat roztopił się samoistnie.

– Więc na co dostałaś dwa dni do namysłu?

– Zaproponował mi wice w firmie.

– Tobie?! Wicedyrektora?! I tobie się wydaje, że dasz radę? Kobieto! To nie jest zasmarowywanie kartonów na kolorowo. Odmów, jeśli nie chcesz skończyć w kryminale.

– Dlaczego w kryminale?

– Zdajesz sobie sprawę z odpowiedzialności? Co wiesz o zarządzaniu, założę się, że masz słabe pojęcie o obsłudze faksu, zwyczajnego peceta, nie umiesz nawet prowadzić samochodu.

– Mam prawo jazdy.

– Ale nie potrafisz jeździć.

– Brakuje mi trochę wprawy.

– Leworęczność. Niedostatek orientacji i kiepska podzielność uwagi! Komplet. Znowu kryminał, niewykluczone kalectwo – ponuro wieszczy mąż.

Nie miała możliwości na dobre oswoić się z samochodem. Od pierwszego egzemplarza, myszatej skody, mąż wyliczył koszt czasu każdego z nich, z czego wynikało, że godzina męża jest wielokrotnie droższa niż taka sama godzina Bogny. Kto miał naprawdę ważne sprawy, kto więcej zarabiał, kto ciężko pracował? Oczywiście mąż.

Rachunek był prosty. Jeśli Bogna się spóźni albo zazna niewygodny przemieszczania transportem komunalnym, straci grosze, w analogicznej sytuacji mężowi przejdzie koło nosa

krocie, chociaż Bogiem a prawdą nikt tych mężowskich krocii nigdy nie oglądał.

– Przecież nic nie umiesz poza tym swoim pacykarstwem, ale i ono amatorszczyzna, gołym okiem widać.

Jednak z tej amatorszczyzny teraz utrzymuję rodzinę, na zupełnie przyzwoitym poziomie – pomyślało się Bognie.

– Nie możesz tych cholernych kotletów rozbijać ciszej! Bębniarki pękają. I mięso po takiej masakrze będzie jak stara zelówka – mąż przekrzykuje telewizor emitujący tło muzyczne reklamy.

– Nie mo-żesz-szsz – szeptem syczy Bogna i zastępczo morduje kurzy filet.

Gadające głowy na ekranie zastąpiła kobieta pisząca wciąż ten sam list. Adresatem jest proszek do prania.

Bogna z profesjonalnego nawyku po raz nie wiadomo który słucha reklamowych tekstów, pośród nich wyłania produkty przedsiębiorstwa Francuza i po raz nie wiadomo który stwierdza, że w jej zespole nie mogłoby powstać coś tak beznadziejnego, a przy okazji uczy się, jak unikać błędów.

Wraca Ulka ze swojej angielskiej szkoły. We wczesnie zapadające jesienne wieczory Bogna nie może pozbyć się niepokoju o córkę. Miasto zrobiło się takie niespokojne.

– Nie martw się – powiedziała jej kiedyś Ulka. – Chodzimy razem z Katarzyną.

– A cóż Katarzyna, karateka? – nie zrozumiała Bogna.

– W jej obstawie są i karatecy – Katarzyna niezmiennie, jak kometa warkocz, ciągnie za sobą chłopaków.

Bogna nie ma przekonania do Katarzyny. Właściwie nic jej nie może zarzucić. Oczywiście złego słowa nie mówi o tej jednej, jedynej przyjaciółce córki, chociaż Ulka i tak wyczuwa skrywaną rezerwę matki.

Ekran telewizora rozjaśnia słońce, morze w gamach turkusów omywa złoty piasek, chwieją się czuby zielonych palm, plażą biegnie pakowaniec z rozdętymi mięśniami, szczerzy olśniewającą szczękę wypełnioną zębami jak spod sztancy i nie bardzo wiadomo, co poleca uwadze tych po drugiej stronie szklanego mirażu, dentystyczną porcelanę, miejscowość wypoczynkową na południu, specyfik na przerost czy otęchnięcie monstrialnych bicepsów.

Bogna rzuca sznycle na rozgrzany olej i myślą wyprawia się do Kalifornii. Żłocisty piasek. Palmy. Jaką barwę ma Pacyfik o tej porze roku, szafirową, niebieską, zieloną? Od jak dawna nie miała wiadomości od Adama?

Zatoka jest zniszczona na wysokości San Francisco, w Los Angeles nie można wejść do wody, zauważył Adam w którymś ze swoich nie częstych listów. Ludzie bogaci mają

baseny i białe jachty wypływające na pełne morze, Adam...

Bogna odlewa kartofle i nakłada na talerze. Każdy sięga po swój i stawia gdzie popadło. Mąż na tacy opartej na kolanach, Bogna na szafce kuchennej, Ulka wprost na podłodze, gdzie siedzi po turecku. Ulka, zwierzę parterowe, wychowane na niskich ławach przystosowanych poziomem do foteli, nie odczuwa potrzeby zwyczajnego stołu.

Taka ława, seryjna kombina z regulowanym blatem, stoi w pokoju męża i tylko w niedzielę podnosi się go do tej drugiej, stołowej wysokości. Rytuał niewygodny, połączony z odsuwaniem i przestawianiem, zaściełaniem pod obrus kołderki odpornej na ciecze i gorąco, chroniącej fornir przed odparzeniem i plamami.

Zmywanie po jedzeniu należy do Ulki. Nareszcie Bogna może wyjść do Magdaleny. Chce usłyszeć opinię osoby życzliwej, chociaż już się zdecydowała, przyjmie nową pracę, przyjmie awans i paradoksalne, ale tę decyzję utwierdziły w niej zjadliwe uwagi męża.

– Udowodnił, że jestem zupełnie zero.

– Zawsze był taki, taki... małoduszny? – zastanawia się Magdalena. Nie darzą się sympatią z mężem Bogny, dlatego stara się wypowiadać o nim powściągliwie i możliwie najrzadziej.

– Nie wiem.

Bogna uświadamia sobie, że naprawdę nie wie. Dokładnie pamięta tylko przykrości, jakie jej wyrządził. Odkładały się, urosła z nich lita skała nie do skruszenia, nie do obejścia. Jeśli i on tak odczuwa, a dlaczego by nie, powinni się od siebie uwolnić.

– Uwiera go twój awans, zwłaszcza w sytuacji, kiedy on, fachowiec z praktyką, nie może znaleźć pracy. Reaguje nerwowo, ty jesteś najbezpieczniejszym i najbliższym obiektem do wyładowania frustracji.

– Nigdy nie był zawistny, to porządny człowiek.

– Oboje jesteście porządni, tylko wzajemnie nie do zniesienia.

– Jedno w jego opinii jest zgodne z moim odczuciem. Dlaczego właśnie ja? Nie mam odpowiednich kwalifikacji w dziedzinie zarządzania, dopiero się uczę.

– A kto z najbliższych podwładnych Rotweillera ma?

– Czy ja wiem, w chemii z pewnością perfekcyjny jest technolog.

– Ktoś musi znać się na produkcji opakowań i od tego jest właśnie technolog.

Bogna wraca późno.

O tej porze chrobot klucza i odgłos zamykanych drzwi wydaje się bardzo głośny. Rezonuje pod występem górnej kondygnacji, jakby wzdłuż drzwi i okien wychodzących na otwartą galerię wysuniętą przed lico budynku przetaczał się grzmot.

Lokale usytuowano szeregowo, dostępne są wprost z owych balkonów, ciągnących się przez całą długość bloku na czwartym poziomie. I wszyscy mieszkańcy cierpią niedogodności piętra i parteru. Najbardziej dokuczliwa jest łatwość przedostania się do dowolnie wybranego mieszkania. Każdy z pomostów zastępujących korytarze prowadzi na schody również ulokowane na zewnątrz.

Ludzie okratowali wszelkie otwory od piwnic po strychy, dom przypomina więzienie o obostrzonym rygorze, upiększone surfiniami w zielonych skrzynkach.

Bogna wchodzi do mieszkania, w pustej przestrzeni pobrzmiwa echo kroków. Znowu przeżywa chwilę konsternacji. Zabłądziła. Obce wnętrze. I wciąż jeszcze poczucie dystansu i moment zdziwienia: tu mieszkam?

Miała męża. Nie ma męża. Jest wolna. Wolna? Nagle wszystko potoczyło się szybko.

– Jesteś materialnie ustawiona, na znakomitej robocie w firmie z perspektywami. Zarabiasz świetnie. Nareszcie możemy zakończyć fikcję, która obrzydła nam równo! Tak samo tobie, jak i mnie. Remis! – niespodziewanie oświadczył mąż jakiegoś zwyczajnego wieczoru, wieczoru telewizyjnego dziennika i obiadu jedzonego w porze kolacji.

Milczała zaskoczona.

Od dawna chciała właśnie coś takiego powiedzieć i nigdy się nie zdobyła. Odejść, nie musieć kłamać, ukrywać, nie musieć udawać, że wszystko jest w porządku, chociaż mierzi fałszywy układ. Wędrówka dwóch katorżników złączonych jednymi dybami. I nagle więzy pękły, niewykonalne właśnie się dokonało, banalnie, bez dramatu.

– Należy porozmawiać z Ulką.

– Porozmawiam. Musi wybrać, z kim zamieszka. Tak czy inaczej na Ulkę będę płacił. Przede wszystkim za szkołę. Jeśli odejdzie z tobą, postaram się także łożyć przynajmniej jakąś część na utrzymanie. W każdym moim dochodzie Ulka będzie miała swój udział.

– Poczekajmy, aż znajdziesz pracę, albo... zaowocują karciane perspektywy.

– Już owocują. Doceniam intencje. Wsparcia nie potrzebuję. Nie grozi mi bieda.

– Zarabiam dość, wystarczy na nas obie.

– Jesteś pewna, że odejdzie z tobą? Poza wszystkim, ona jest także moim dzieckiem.

Oboje pragnęli złagodzić córce utratę wspólnego domu, zneutralizować napięcia wywołane rozpadem gniazda, które mimo wszystko w jej odczuciu było zawsze. Obojgu zależało, aby jak najmniej poszczerbić swój wizerunek w oczach dziecka. Starali się bardzo, zwłaszcza w sądzie, gdzie powściągliwi, kulturalni, eleganccy względem siebie, sprawili znakomite wrażenie i osiągnęli rezultat przeciwny od zamierzonego.

– Sąd nie widzi powodu do rozwiązania małżeństwa – orzekła sędzina na pierwszej rozprawie i dała im sześć miesięcy do namysłu.

– Powinniście zaprezentować się gorzej. Któreś musi się poświęcić. Albo niech ojciec wymyśli, powiedzmy, przyjaciółkę w ciąży, albo matka kochanka – powiedziała Ulka z tym swoim roztargnionym wyrazem twarzy, jakby przebywała zupełnie gdzie indziej.

Oboje rodzice zbyli dobrą radę milczeniem.

Nie czekali na werdykt, formalności mogły potrwać.

– Nie martw się, dostaniecie błogosławieństwo sądu prędzej niż się spodziewasz – pocieszyła matkę pod nieobecność ojca.

Bogna puściła mimo uszu zarówno treść, jak i szczególny ton Ulki. Była zajęta, układała się sama ze sobą. Właśnie szukała przymierza z własnym ego. Więzy opadły. Zamiast uczucia wolności doznała rozczarowania. Jak człowiek, który zrzucił ciężar i ujrzał nagle, że jego brzemię dźwigane z wielkim mozołem zawiera nikomu niepotrzebne rupiecie, a nie jak sądził, rzeczy bezcenne.

Pewno podobnie doświadczył i on – od dawna siebie nie potrzebowaliśmy, jedynie tak się wydawało – trzymały nawyki i wyobrażenia – oportunizm – strach przed zmianą – ale on pierwszy się zdecydował – on odszedł ode mnie – nigdy nie kochany – od dawna gorzej niż obojętny – jednak czuję się porzucona – wcale nie cieszy swoboda – nie umiem z niej korzystać – nie umiem odnaleźć szczęścia z marzeń o odzyskanej niezależności – szczęście to Adam – zamiast Adama są tylko karty pocztowe.

– Ale tura! – wyrwało się Ulce zapożyczenie z języka sąsiadów babki Marty, przy zderzeniu wyobrażenia z nowym mieszkaniem, pośród czterech pięter prezentujących inwencję rzemiosł metalowych w spawanych wzorach i kształtach.

– Myślałby kto, opuściłaś pałac – zachnęła się Bogna, bardziej mając na myśli siebie niż córkę. – Nie wydziwiaj, dom jak dom. Postaraj się oswoić tę przestrzeń.

Nie dom, zaledwie dach nad głową. Miejsce pobytu. Już bardziej jej domem był zakuchenny kąt w mieszkaniu męża. Kiedyś dawno, zanim zażęgła się między nimi niechęć i obcość, zanim Bogna uciekła do zakuchennego kąta, był domem.

– Jesteśmy u siebie, Ramzes.

Ulka otworzyła klapę koszyka, skąd wyskoczył wielce urażony czarny dachowiec. Miał białe skarpetki, białą kryzę na podgardlu i fascynująco piękne, zielone oczy. Piwniczny kot niezależny, protegowany Kociary.

– W twojej nowej dzielnicy, jak i w całym mieście pienia się gryzonie, a on jest bardzo łowny, to znaczy będzie bardzo łowny, jak urośnie. Ale już jest nadzwyczajnie mądry i nad wyraz porządny. Możesz zachować koszyk – wspaniałomyślnie dołożyła transporter do niezwykłego kota, który właściwie był zabiedzonym kocim dzieckiem, ale instynkt łowcy już manifestował w zabawie.

Zaskoczona Bogna, zupełnie nieprzygotowana na zasiedlenie kota, nie znalazła argumentu przeciw przyjęciu zwierzaka, dotychczas jedyny i niezawodny od lat: – mąż nie chce kota – przestał obowiązywać i w ową lukę po mężowskiej woli, w to pole niczyje, wkroczył kot podrzucony zręczną dłonią przyjaciółki piwnicznych pariasów.

– Przyniosę Ramzesowi mleka i coś do jedzenia – zadudniły stopy Ulki w pustym mieszkaniu.

Niechciany kot z postawionym na sztorc ogonem, prychając z obrzydzeniem, ruszył na inspekcję wydzielających woń świeżej farby pustych kątów. Zaczął oswajać ich nieznany dom.

– Mam wrażenie, że też się rozwiodłam – westchnęła Ulka.

Przysiadła na stercie kartonów, obserwowała, jak kociak delikatnie pije mleko.

– Tamto miejsce na ziemi było dla mnie od zawsze.

– Odczuwamy przywiązanie do czasu dzieciństwa, młodości. Moje zawsze należy do Sarniej.

– Kiedy zawiadomimy babkę?

– Poczekaj, musimy się najpierw urządzić.

Musiały. Oprócz osobistych rzeczy miały w majątku materac turystyczny Ulki i drugi, nowo nabyty.

Bogna nie wyobrażała sobie podziału gospodarstwa. Tobie regał. Mnie regał. Tobie kanapa. Mnie? Fotel losujemy albo przecinamy na pół? Wynoszenie, załadunek na jakiś transport. Samo myślenie o tych czynnościach, obnażających intymność bytowania i rozpad wspólnoty, wywoływało nieprzepartą niechęć. Nie. Za nic. Nie chciała narzucać swego postanowienia Ulce, ale Ulka także pragnęła uniknąć Wielkiej Wyprowadzki. Nieodparcie kojarzyła się z pogrzebem. Widomie przypięczętowywała bolącą rzeczywistość. Oddalenie od ojca. Inne warunki. Osobne życie. Na zawsze.

– Klucze zachowaj, możesz tu przychodzić kiedy chcesz, możesz ponownie zamieszkać na stałe. Teraz na kilka dni wyjeżdżam.

– Kiedy wrócisz?

– Z pewnością będziecie już z matką na nowym.

– Nie powinieneś pomóc?

– Ciężar wspólnej obecności nie rekompensowałby pożytku z mojego działania. Bardziej pomogę, gdy zniknę z oczu. Twoja matka woli załatwić sprawę sama. Proponowałem. Odmówiła. Nie nalegałem, fakt. I skończ wreszcie przesłuchanie! Oboje pracowaliśmy na taki finał, co najmniej w tej samej mierze.

– Wiem.

– Co wiesz?!

– Że oboje zarobiliście na to, co macie. Ale ja nie pracowałam na nasz rozwód – w tamtej chwili Ulka nie pamiętała poglądów głoszonych o związku swoich rodziców.

– Bardzo się staram złagodzić twoje położenie.

Na czas przenosin kobiet mąż Bogny zgłosił swój udział w zamiejscowym turnieju.

– Możesz zamieszkać u Magdaleny. Względnie spokojnie przeczekaś całe zamieszanie. To uprości... – Bogna także chciała oszczędzić córce emocji związanych z tą szczególną okolicznością.

– Nie zamieszanie, tylko rozstają się z ojcem. I odtąd będę najwyżej bardziej swojskim od innych gościem u niego. I nie przeczekam, i nie ustawiaj mnie jak mebel. Nie jestem szafą, którą można zabrać albo zostawić, przesunąć lub wyrzucić na śmietnik. I nie mam zamiaru niczego wam upraszczać, też muszę się uczyć żyć w nowym układzie.

– Uczmy się razem, bez kłótni.

Jakoś się jednak Bogna przeprowadziła na nowe z rozdartym wewnątrz podłotkiem, wyrośniętym i nad wiek dojrzałym, dotkliwie odczuwającym, jak serce nie współbrzmi z niedawnym przekonaniem, głoszonym z głębi niedoświadczenia.

– Osobliwość – zakwalifikowała Magdalena wygląd okratowanego budynku. – Ma jakąś zaletę?

– Ma. Dach nad głową i czynsz najniższy z możliwych.

– Pokój z kuchnią! Znowu będziesz mieszkać w kuchni?!

– Przywykłam. Ale to duża kuchnia, powierzchnia równa pokojowi. Tylko spójrz, jaki mój kąt jest przestronny.

– Późny Bierut.

– Co takiego?!

– Mówię, późny Bierut. Dawno temu mieliśmy takiego prezydenta. Za jego czasów obowiązywały w budownictwie parametry jeszcze przedwojenne i wtedy projektowano względnie normalne kuchnie. Następcy zarządzili lokowanie tych funkcji w szczerbie ściany. Kąt zakuchenny powinna dostać Ulka.

– I tak ciężko się adaptuje. Nie chcę, aby miała gorzej niż u ojca.

– Izba nie zastąpi jej ojca, lecz jeśli przywyknie, że jej się należy wszystko co najlepsze, wyhodujesz potwora.

Najlepiej wiedzą, jak wychowywać dzieci, ludzie nie mający dzieci – pomyślało się Bognie.

– W przedpokoju można zagospodarować wnękę, zmieści się płyta, nawet z piekarnikiem i zlewozmywakiem, da się powiesić półkę, wcisnąć kawałek szafki z blatem i masz dwa równorzędne pomieszczenia – projektuje Magdalena, notoryczny wnętrzarz-amator.

– To nie moje mieszkanie. Nie mogę w nim robić przewrotu i nie mam zamiaru inwestować ponad konieczność. A duża kuchnia to serce domu, należy w niej piec i gotować, zawsze na płycie powinien parować jakiś garnek albo chociaż czajnik...

– Zwłaszcza wupały!

– Bez kuchni nie ma prawdziwego domu.

– Właśnie. Przez kilkanaście lat widziałam, jak piekłaś i gotowałaś, prałaś i prasowałaś, jak kipiał imbryk i nie bardzo był to dom. Sama przyznasz.

– Wypadek przy pracy.

– Kobieta zawsze buduje gniazdo, nawet jeśli nie ma dla kogo. Instykt. Wiem coś o tym. Więc tym bardziej powinnaś mieć drugi pokój dla siebie, a nie żyć w oparach garów. Tutaj nawet gości zaprosić trudno. Przepraszam, śmierdzi, właśnie gotuję kalafiora.

– Nie zaproszę.

– Powinnaś mieć ludzi koło siebie.

– Do ludzi trzeba nastroju, minimum zainteresowania, czasu i pieniędzy. Nie mam na zbyciu żadnego z tych dóbr.

– Nie możesz żyć jak borsuk.

– Mogę. Muszę oszczędzać, muszę się uczyć, muszę zdobyć dach nad głową. Własny. Czego, nawet przy moim obecnym wynagrodzeniu, nie osiągnę z dnia na dzień. Tymczasem nie jestem pewna swojej nowej pozycji. Najpierw muszę odłożyć pieniądze na nieprzewidywany obrót zdarzeń i przetrwanie... Mam uczucie poruszania się w próżni...

– Twoja firma ma dobrą pozycję w rankingach. Bierz kredyt i kupuj mieszkanie.

Nowe. Z wyciągiem smrodów i kurzu. Ten towar nie będzie tańszy.

– Mam wrażenie, jakbym stąpała po kruchym lodzie.

– Wszyscy funkcjonujemy z jednoznacznym wyrokiem, wystarczy dostatecznie szybko wjechać na latarnię.

– Dajmy spokój sprawom ostatecznym. Ja nie czuję gruntu, rozumiesz? Lepiej nie umiem określić braku pewnego ciężaru, który utraciłam, nie wiem kiedy, może odkąd spotkałam Adama?

– Raczej odkąd go pożegnałaś. Od wczesnej młodości zawsze był przy tobie mężczyzna, ostatnio nawet dwóch. Był, nie był, tobie się wydawało, że był. A teraz go nie ma.

– Tak naprawdę, od dawna jestem sama.

– Więc trzeba fakt przyjąć do wiadomości i zaakceptować. Wtedy nie wytrąci z równowagi zmiana adresu.

– To nie wyłącznie zmiana adresu, także brak oswojonej przestrzeni zabudowanej przyzwyczajeniami i puste miejsce po człowieku.

– Po którym? Adamie czy mężu?

– Nie, na pewno nie po Witoldzie – tak ma na imię były mąż.

Jestem podwójna – dwulicowa nawet sama przed sobą – pewno nie zniósłabym na raz całej prawdy o sobie – kiedyś wystarczyłoby jedno słowo Adama i odeszłabym do dowolnego punktu na ziemi – otrząsnęła wszystko dotychczasowe jak pył – tylko jeden warunek – razem z Ulką.

– Adam? To kartka papieru z zagranicznym znaczkiem. Ikona. A ja się borykam sama i wokół mnie za dużo wolnego miejsca.

– Ich nigdy nie ma, kiedy są najbardziej potrzebni. Zawiadomiłaś go o nowej sytuacji?

– Nie. Pisuje na *poste restante*. W tym kontekście sam tylko zmieniony adres mógłby się wydać oczekiwaniem na deklarację. On musi sam zdecydować. Nie będzie żadnego gestu z mojej strony...

15.

Po seansie w kabinie odnowy biologicznej Bogna, oblepiona kompresem z ziołowej miazgi, zamotana w miękkie płótna, leży pogrążona w trwaniu zbliżonym do snu.

Fragmety myśli suną leniwie podobne kłaczkom cumulusów. Nieruchome ciało zdaje się zapadać w podłoże tak dopasowane, jakby było jego integralną częścią. Powoli traci ciężar napięcia i pośpiechu, spraw nie mieszczących się we wczoraj i zepchniętych w jutro, nieustannej pogoni za czasem.

– Topsy? Najnowsza technika. Nie niszczą paznokci, przeciwnie, wzmacniają. Specjalną masą uzupełnia się odrosty aż do kompletnej eliminacji nałożonych płytek. Więc co robimy?

– Rutynowa pielęgnacja, polerowanie, bez lakieru – Bogna ma dłonie wąskie, palce długie a jedyna koncesja na rzecz mody, dyktowana raczej przez klawiaturę komputera, to tępo ścięte czubki ładnie uformowanych paznokci.

Kosmetyczka zaczyna usuwać z jej ciała pielęgnacyjną papkę. Bogna otwiera oczy, patrzy na ściany koloru bardzo jasnego bzu, na fartuch kobiety tej samej barwy, na zręczne ręce masażystki usuwające znużenie. Cisza. Bezszelestna krzątanka specjalistek od urody, jednolita, delikatna barwa otoczenia, cicha relaksująca muzyka sprzyjają wszystkim profesjonalnym czynnościom, mającym dać także odetchnienie. Nic nie uwiera poza ceną.

Pojawia się wizażystka.

Bogna ostrożnie stosuje upiększające specyfiki, w jej odczuciu są rodzajem maski, do czego przywyka kobieta i otoczenie i z czego z upływem czasu trudno zrezygnować, maski kreowanej każdego rana, pochłaniającej inwencję oraz kwadranse. Bognie, notorycznie dosypiającej do ostatka, początek dnia ucieka najszybciej i pewnie dlatego nie przyzwyczaiła się do kunsztownego malowania twarzy.

– Dla bardzo zajętych pań polecamy makijaż trwały. Proszę nad tym pomyśleć. Nasza lingersystka specjalizowała się w Paryżu.

– Szminki niezmywalne?

– Technika zbliżona do tatuażu.

– Na całe życie?!

– Nie aż tak! Mody się zmieniają. Od trzech do pięciu lat.

Bogna przeciąga opuszkami palców po wciąż jeszcze gładkiej twarzy i jędrnej szyi.

Czy chce trwałej osłony, której nie można wieczorem usunąć, ani przez wiele wieczorów, czy pozostanie w zgodzie z prawdziwą twarzą? Twarzą, skąd ustąpił już wyraz pierwszej młodości, jedyny, niepowtarzalny wewnętrzny blask, zdobiący najpospolitsze rysy, nie do odtworzenia żadnym kunsztem, żadnym najświetniejszym specyfikiem. Może jeszcze do odzyskania w łagodnym świetle lampy przesączonym przez abażur z jedwabiu.

– Muszę się zastanowić.

Oprócz nieusuwalności przez dłuższy czas zabieg jest bardzo drogi, w zamian jednak zapewnia wciąż świeży wygląd, zwraca bezcenne pół godziny najtrudniejszej dla Bogny pory dnia, eliminuje wydatki na kosztowne, markowe kosmetyki, nie wymaga poprawek. Warto?

A jeśli po tym nadzwyczajnym malowaniu wyłoni się twarz okładkowego zdjęcia z czasopisma albo, co gorsze, oblicze manekina, standardowa buźka wystawowej kukły? Jednym słowem, tapeta – pomyślało się Bognie zapożyczeniem z języka Ulki.

– Taki makijaż wymaga ręki artysty.

– Nasza lingerystka jest artystką. Najpierw oczywiście przeprowadza symulację komputerową.

– Ewentualną decyzję muszę oswoić – żółwim obyczajem kryje się Bogna. Postanawia zbadać tę nową dla siebie dziedzinę i zanim zaufa, najpierw chce zobaczyć efekt finalny sztuki, nie tylko tej jednej lingerystki.

Na zakończenie seansu pojawia się fryzjer stylisty, nazywany tutaj hairdresser, ujmuje w dłonie snop włosów Bogny.

Pielęgnacyjne zabiegi w drogim salonie wymusza firma. Firma wymaga od pracowników prezencji. Odpowiedni zapis widnieje w kontrakcie i na ten cel firma przyznaje pewien dodatek do pensji. Obowiązek raczej miły, ale zabiera czas.

Bogną rządzi niepodzielnie mały, płaski drobiazg ze świecącymi wskazówkami, niemal ukryty pośród ogniw złotej bransoletki na przegubie dłoni.

Z salonu odnowy śpieszy na uczelnię. Samochód prowadzi pewnie, nawet w największym ruchu, chociaż niezbyt lubi. Jeśli tylko może, korzysta z miejskich środków komunikacji, jednak wieczorem woli auto. Bezpieczniej, kiedy po wykładach, późno, wraca przez nieprzyjazne miasto. Przede wszystkim jednak wciąż liczy się czas.

Niecierpliwi się pod światłami. Trwa ich zmowa na skrzyżowaniach. W samochodzie gorąco, szyby zamknięte na głucho. Bogna przestała je otwierać odkąd rozzuchwaleni bezkarnością obwiesie rabują na wydrę torebki kładzione przez kobiety obok siebie.

– Dobry manager tak organizuje swój dzień, aby wystarczyło czasu na pracę, czynny wypoczynek i przyjemności – wyjawiał tajemnicę sukcesu self-made-man na emeryturze, przybyły aż z Anglii, żeby się podzielić doświadczeniem z adeptami zgromadzonymi na warszawskiej uczelni Bogny.

– Dobry manager potrafi... i tak dalej – wygłosiła Dama Sukcesu, wytwornie sącząc szampana w towarzystwie innych Dam Sukcesu, którym starczyło czasu, żeby ową prawdę oznajmić z małego ekranu.

– Dobry manager potrafi... – dobił Bognę Walet Przedsiębiorczości pokazywany w

telewizji na bankiecie, wydanym dla takich zdolnych jak on z okazji przyznania najzdolniejszemu diamentowej ostrogi.

Bogna odstaje od wzorca. Nie nadaża. Zarywa noce, aby ugotować coś domowego. Czasami wyręczy ją Ulka, nie mając jednak nabożeństwa do zajęć kuchennych, przyrządza danie błyskawicę. Ale przeważnie jadają na mieście.

– Niech tylko zrobię dyplom, będą obiady z pięciu dań – niebezpiecznie luzując wodze fantazji, odgraża się Bogna.

– Adamaszkowy obrus, porcelana Rosenthal i srebrne sztucce, ewentualnie pozłacane, w żadnym razie te modne z kosmicznej stali...

– Jakiej?

– Kosmicznej! Pewno mocarstwom pozostały resztki z różnych rakiet. A ponieważ oszczędni i praktyczni, dlatego bogaci. Nie należy też zapominać o dekoracji stołu, w tym sezonie powinna być niska, na przykład stokrotki w koszyczkach ze srebrnego filigranu...

– Skąd do ciebie Rosenthal i srebra? – czepia się Bogna, nie chce słyszeć o żadnych nowościach nawet z kosmicznego złomu. Kierunek niebezpieczny. W tle wydatki.

– Rosenthal wystawia odrobinę luksusu... – Ulka zapożycza slogan z popularnej reklamy – każdy może popatrzeć, nic nie kosztuje, natomiast cena nawet mnie przyprawia o ból głowy, a ciebie...

– Ja jestem odporna. Nie interesują mnie skorupy dla ludzi bogatych. Wystarczy fajans z Włocławka.

– Na jakim świecie ty żyjesz? Fajans z Włocławka już dawno w grobie. Podobno teraz produkują tam porcelanę sanitarną.

– Dlaczego w grobie?!

– Robił za wizytówkę niesłusznego systemu.

– Co ma fajans do systemu?!

– Jest taki pra-pra dowcip! Facetowi wszystko kojarzyło się z dupą. Widocznie jakimś nowym ważniakom *ancient régime* utożsamiał się z włocławskim fajansem.

– Marny żart, Ula.

– Albo angielscy wytwórcy wytlukli konkurencję. Dosłownie. W każdym sklepie ze skorupami angielski malowany biskwit. Zresztą ładny.

– Świetnie! A teraz wróćmy do rzeczywistości.

– Jaka jest rzeczywistość, gołym okiem widać. A ty, już niczego nie oczekujesz dla siebie?

– Tylko ja pozostałam w twoim życiu i nikt więcej?

– O czym mówisz? – mimo pewności co do intencji Urszuli, zwleka z odpowiedzią. Nagle nie wie, jak ją sformułować. Onieśmiela to piętnastoletnie dziwadło, jej dziecko.

– Nie o czym, tylko o kim... O Adamie.

To imię w ustach córki przyprawia o wstrząs.

– Adam w żadnej mierze nie miał wpływu na naszą sytuację rodzinną – opanowuje się Bogna.

– Tak sądzisz?

– Jestem przekonana.

– Pozazdrościć samopoczucia.

– Nie zaniedbywałam obowiązków – niepewnie broni się Bogna.

– Właśnie, obowiązków, ale ciebie ubywało z każdym dniem.

– Bardzo subiektywna ocena.

– A teraz pełno go tutaj. On z nami mieszka. Serio.

– Od niego mam tylko bursztyny – bez sensu tłumaczy się Bogna, chociaż rozumie, rzecz nie w przedmiotach.

– Nie udawaj młotka, mówię o niematerialnym panoszeniu się tego faceta.

– Dziwaczysz!

– Tak ci się wydaje? Mogę z dokładnością co do dnia powiedzieć, kiedy masz od niego dobre słowo albo mniej dobre, albo wcale. Kiedy masz go dość i kiedy się o niego martwisz, i kiedy się cieszysz. Właściwie nigdy nie przestajesz o nim myśleć.

– Bardzo go nie lubisz?

– Średnio. Zresztą nie znam gościa. Z perspektywy, przeciętniak statystyczny. Nie mówię o wyglądzie, tylko... ani o intelekcie, tylko... układ nie partnerski. Poza tym...

– A kto tu niedawno wygłaszał *ex caethedra* o prawach do miłości bez zobowiązań?

– To nie ma nic do rzeczy, sprawa jest bez precedensu. Dotyczy mojej matki!

– No, nie udała się matka.

– Tego nie powiedziałam. Ale mnie wścieka, żeby jakiś frędzel, nie przerywaj!... frędzel nie dotyczy jego intelektu, doktoratów, przynależności do Mensy i w ogóle, tylko sposobu odnoszenia się do ciebie, więc żeby jakiś bakałarz... traktował moją matkę jak, jak... ciało dyżurne.

– Ulka!

– Co Ulka?! Tak to wygląda, wyjdź na chwilę ze swoich wyobrażeń i obejrzyj wasz układ! Miłość z doskoku... ukrywana jak przestępstwo i nie dająca się ukryć. I co on o tobie wie? I nie przeszkadza mu łóżko innego faceta?

– Od dawna nie było łóżka innego faceta, Ula. Od lat z twoim ojcem nie mieliśmy siebie...

– Wiem. Ale czy bakałarz wiedział?

– Przerażasz mnie. Przecież masz dopiero czternaście lat.

– Piętnaście skończę za dwa miesiące. Czym cię przerażam? Że wiem mniej więcej co, oprócz kimania, robi w łóżku dwoje odmiennej płci, a także niekoniecznie odmiennej?

– Poza tym... dawno przestaliśmy się widywać z Adamem.

– Wiem. Ostry atak zazdrości o ślicznego jak obrazek Sowę.

– Podśluchiwałaś telefony?!

– W tym przypadku wyjątkowo nie. Najpierw, gdy jeszcze mieszkaliśmy z ojcem, znalazłam w skrzynce anonim. Nadany do twojego męża. Bez danych o nadawcy. Nasz adres wypisano tuszem z pomocą szablonu. Kto w twoim otoczeniu posługuje się grafionem?

– Cały dział plastyczny.

– Wtedy jeszcze nie pracowałaś w przedsiębiorstwie Francuza.

– Otwierałaś cudze listy?! – ocknęła się Bogna.

– Mhy! Jeśli trzeba? Może miałam zostawić ojcu?

– Skąd wiedziałaś, że to anonim?

– Miałam pewne przesłanki i wygląd listu sugerował donos.

– O czym... kto pisał?

– Kiepsko u ciebie z logiką. Pisał anonim: naruszyłaś własność innej kobiety. Ta kobieta wykopała topór. Będzie dochodzić swoich praw, będzie cię niszczyć, boś złe ziele, *alias* zakała, i takie tam o twoim rozwiązłym życiu, odkąd z pierwszym maluchem postawiłaś w piaskownicy pierwszą babkę z piasku.

– W Sarniej mojego dzieciństwa nie znaleźliśmy piaskownicy, mieliśmy lasy, łąki i Jezioro... Czy było o moim pozowaniu w Akademii?

– Próbujesz zidentyfikować autora? Jego żona. Ona, poślubiając faceta, zawarła umowę ubezpieczeniową i nie dopuszcza możliwości bankructwa tej instytucji.

– Nie fantazjuj.

– Ja ci tylko mówię, jak niektóre osoby pojmują małżeństwo.

– Wszystko wywnioskowałaś z jednego anonimu?

– Nie. Telefonowała. Najpierw było parę głuchych, a gdy się odezwała, przedstawiłam się za teściową. Przyjeżdżną.

– Przecież babka ze strony twojego ojca nie żyje!

– Nie udawaj głupiego zajączka. Żona bakałarza o tym nie wie.

– Boże! Ulka, jak mogłaś.

– Mogłam. I żyję! Inaczej byłaby kaszana.

– Nie nadążam?

– No, obciach total! Czyli kicha!

– Mów zrozumiale.

– Znów uciekasz w poprawną polszczyznę! Byłoby lepiej, żeby ona dopadła ojca? A ty musiałaś się wpasować w taki beznadziejny układ. Nie mogłaś poszukać sobie faceta z odzysku?

– Z odzysku?

– Nie rób baranich oczu. Tak się mówi o rozwiedzionych, porzuconych, w ogóle wcześniej używanych.

– Co za język, skąd do ciebie?

– A ty w młodości mówiłaś literacką polszczyznę?

– Młodości! Uważasz mnie za starą?

– Ściemniasz. Przepraszam, odbiegasz od tematu, strusiu!

– Nie szukałam sobie mężczyzny, Ula. To się wydarzyło.

Bogna jest poruszona. Jak bardzo nie zna swojego dziecka. Ta Ulka! Po powrocie ze szkoły często poleguje, jak gdyby kręgosłup nie miał siły dźwigać wiotkiego ciała, najchętniej z książką, czasami zwyczajnie, gapiąc się w sufit tym swoim czasami dziwnym, niewidzącym wzrokiem. I znowu z za swojej ochronnej szyby zaobserwowała więcej niż Bogna mogłaby sobie życzyć.

– Wróćmy do dzisiaj – Bogna pragnie zamknąć drażliwy temat.

– Leć już na swoje studia, bo się spóźnisz – Ulka zwalnia matkę i jak zwykle robi kolejną zupę pomidorową z przecieru.

Przez cztery wieczory w tygodniu Bogna uczy się zarządzania i poznaje z niezbyt olśniewającymi rezultatami najbardziej wrogi jej ład. Finanse. Dokumenty kasowe.

– Nigdy tego nie opanuję – upada na duchu przy kolejnym prawidło władającym złowrogą krainą.

Załamania Bogny są ciężkie, kompletne, trwają krótko, lecz kiedy trwają, jest przeświadczona, że wpadła w wilczy dół ostatecznie i już nigdy stamtąd nie wyjdzie.

– Musisz, jeśli chcesz się utrzymać na powierzchni – surowo upomina Magdalena.

– No to będę pod powierzchnią – odszczekuje kłębek nieszczęścia zwinięty w fotelu. Przyszła po pociechę i żeby się wreszcie ktoś nad nią użalił, a nie oschłym słowem wywoływał w skołatanej głowie obraz Nura wyławiającego w przydworcowym śmietniku

bułkę z wędliną przyprawioną rtęcią z rozbitej świetlówki.

– Nie możesz reagować na każdą przeciwność jak mimoza. Mimozy były jeszcze na czasie jakieś, drobiazg, pięćdziesiąt lat temu i też, podejrzewam, raczej powiedzmy, w *Bluszczu*, to takie niegdyś pismo dla prawdziwych dam.

– Już jak ty dodasz otuchy, tylko się powiesić.

– Przecież nie sposobisz się na buchaltera.

– Niech mnie Bóg broni.

– Jak na twoje kłopoty reaguje profesor nie mianowany z ilorazem IQ?

– Ja o dniu powszednim ani nie piszę, ani nie rozmawiam. I co to za rozmowa przez ocean.

– Pewnie, iloraz nie obejmuje takich przyziemi, jak powszednie bytowanie.

– ...

– On cię jeszcze obchodzi?

– Obchodzi.

– Poczucie ostatniej szansy?

– Bardzo możliwe.

– Przecież to miraż. Tego mężczyzny od dawna przy tobie nie ma, ani fizycznie, ani...

– A wiesz, to samo mówi mi Ulka.

Magdalena czuje się trochę dotknięta, ale temat na jakiś czas przestaje istnieć.

Nieprawda. Ulka, poza tamtą jedyną rozmową, szanuje prywatność matki.

Teraz pracuje nad swoim angielskim akcentem. Na wiosnę jej klasa wyjeżdża na trzy miesiące do Anglii. Szkoła w Anglii – lustrzane odbicie warszawskiej – tam wszystkie przedmioty wykładane są w języku polskim – wymienia się z uczelnią polską. Roszada, polscy uczniowie zamieszkują przy wyspiarskich, angielscy przy nadwiślańskich rodzinach.

16.

Przeciągły zgiełk, daleki, obojętny i namolny. Nie daje się zignorować. Uporczywymi seriami atakuje słuch i pierwsza myśl: obudzi Ulkę.

Za przegrodą zestawioną z półek i szafek śpi córka. Ta świadomość kładzie kres alarmowi. Bogna jeszcze w półśnie, sięga po słuchawkę aparatu wiszącego u wezgłowia tapczanu, na meblościance dzielącej pokój na dwa aneksy.

– Robert! – oznajmia się Rottweiler. Stary, swojsko tykający zegar, wskazuje trzecią nad ranem. Bogna położyła się o dwunastej.

– Słucham...? – myśl o niewłaściwości pory zapaliła się i zgasła. Zamiast głośnej uwagi pojawia się dyspozycyjność, zapisana między innymi w kontrakcie zawartym z przedsiębiorstwem Hermes Zoo.

– Przepraszam za dyskomfort, ale nagle przypomniał sobie o mnie Francuz. Lecę do Lyonu, z wysiadkami Niemcy i Austria w drodze powrotnej. Zabieram głównego księgowego. Zostajesz sama na gospodarstwie. Zaraz jedź do firmy.

– Co mam robić?

– Na Warszawie Towarowej tylko patrzeć przesyłek. Należy je bez zwłoki odebrać. Do twojej dyspozycji w biurze jest już Sabi. Możesz na niej polegać. Sama rozumiesz, muszę się przygotować, aha! Szambelan i Beema także do twojego rozporządzenia.

– Zaraz tam będę – zasnana Bogna słabo kojarzy, co ma Szambelan do Lyonu.

– Dziękuję i jeszcze raz przepraszam za niedogodność – wyłącza się Rottweiler.

Od pewnego czasu język szefa wzbogacił się o różne uprzejme zwroty. Podobno – głosi obiegowa opinia – wciąż pobiera lekcje obycia, konwersacji, mowy ciała u najlepszego fachowca, szkolącego w tej sztuce osobistości z pierwszych stron gazet.

U najlepszego czy nie, w jego zachowaniu dały się zauważyć widoczne zmiany. W obecności innych osób przestał dłużyć w uszach i oglądać, co wydlubał, głośno wysysać zęby, czyścić paznokcie, zamiast pochrząkiwać, używa chustek do nosa najwykwintniejszych firm, podczas jedzenia nie rozmawia z pełnymi ustami, a rozmawiając, nie bodzie już widelcem przestrzeni nad talerzem, nie rozkłada łokci na stole. Jeszcze tylko nie wyzbył się dyndania nogą założoną na drugą, co zawsze towarzyszy najwyższemu wysileniu umysłu, dlatego nie jest pewne, czy uda się zatrzymać owo wahadło bez uszczerbku dla zdolności intelektualnych.

Bogna zmartwychwstaje, stawia czajnik na płytę i wchodzi pod lodowaty prysznic. Pierwsze spojrzenie w lustro. Makijaż permanentny ma się dobrze. Zgarnia i upina w węzeł piękne włosy, zdejmuje z wieszaka jeden z kilku posiadanych kostiumów – umundurowanie współcześnie pracujących kobiet. Owszem, aprobeje tę osobę, której wizerunek powtarza zwierciadło. W kuchni na kredensowej szafce paruje nietknięta filiżanka. Bogna zawraca od drzwi i sprawdza zawory gazu.

Narasta codzienne napięcie.

Często, zwłaszcza gdy jest bardzo zmęczona, odnosi wrażenie uskoku czasu nie do odrobienia. Z tamtego brzegu przeprawia się na chybota tratwie. Jakie ma szanse?

Komputer, poczta elektroniczna, telefaks, Internet, nawet aparat komórkowy – nie były urządzeniami zastanymi. Uczyla się ich, mając już utrwalone pewne nawyki w stosowaniu pomocy mniej złożonych, służących, zdawało się, wystarczająco odkąd sięgała pamięcią. Tym bardziej, że jej żywiołem był arkusz brystolu lub płótno naciągnięte na blejtram.

Od niedawna tę nową jakość musiała oswajać w pośpiechu, nie przyznając się, że najnowsza technika przyprawia o tremę, budzi niepewność.

– Nie jesteś gorsza tylko dlatego, że nie umiałaś obchodzić się, powiedzmy z pecetem od urodzenia. Najświeższą generacją potrafi posługiwać się każdy, jednym palcem, może być u nogi. Narzędzie. Ważne, kto i jak go używa – koła Magdalena cierpiącą ambicję Bogny, podtrzymywała jej nadwątloną wiarę we własne siły.

Teraz w Hermes Zoo prawie całe niezbędne do jej nowej funkcji przygotowanie zdobywa z marszu. Potrafi jednak ukryć – tak jej się przynajmniej wydaje – prawdziwy stan rzeczy i sprawia wrażenie osoby kompetentnej w zakresie jej podległym, a także w sprawach spychanych na nią przez Rottweilera. Pozornie opanowana, rzeczowa, wewnątrz nic się nie zmieniła. Każdego rana wchodzi w skórę innej osoby i ją samą zdumiewają cechy, jakich istnienia u siebie do niedawna nawet nie podejrzewała. Lecz te metamorfozy kosztują. Po wielogodzinnym napięciu, około północy, pada na tapczan, gdzie osaczają sprawy firmy, córki, własnej nauki i najgorsza z nich: kruchość wynajętego dachu nad głową. Dotychczas gorszy czy lepszy, ten dach wydawał się pewny. Teraz nie. Już nawet nie stara się racjonalnie tych doznań tłumaczyć. Są. Stale obecne. Ćmią jak bolący ząb.

– Tylko tak dalej, a za kilka miesięcy masz awans pewny niczym brylanty w szwajcarskim skarbcu – często cieszył się na dzień dobry Rottweiler, obarczając Bognę dodatkowymi zajęciami.

– Zostanę mianowana podwójną wice?

– Lepiej! Trzydzieści procent wyższe wynagrodzenie i świadczenia ponad standardowe: zwiększony dodatek mieszkaniowy, znaczny wzrost czynszu za lokal do dziewięćdziesięciu pięciu metrów w dobrej dzielnicy, plus służbowy opel omega zamiast dotychczasowej renówki... Firma potrafi docenić oddanego pracownika.

– Dziękuję ale nie, panie dyrektorze. Z takiej klasy samochodów eksmitują najchętniej kobiety, zwłaszcza pod sygnalizacją świetlną, pracownicy klubów towarzyskich, kiedyś nazywani bandytami.

– Dostaniesz kławkę.

–?

– No, gnata, spluwę, giwerę, czyli broń krótką.

– Dziękuję panie dyrektorze, ale nie odczuwam potrzeby posiadania ani opla, ani klamki.

– Zamiast pistoletu może być coś babskiego, ale wice w opalu należy do wizerunku firmy, więc nie widzę tu miejsca na chęć, nie chęć – podkreśla ostatnie słowa, wyraźnie urażony.

Nominacja na wice, awans poniekąd pod przymusem – jej poprzedni etat został zlikwidowany – okazała się mianowaniem na zastępczynię, odpowiedzialną za gospodarkę materiałową dla wytwórni opakowań i węży szerszeni czyli tandemów graficzno-sloganowo-filmowych. Praktycznie za owe dwa działy plus zlecenia przychodzące do głowy Rottweilerowi. Praca odpowiada tytułowi, uposażenie nie, po kilku miesiącach Rottweiler zapowiedział dodatki i gadżety.

– Masz w garści tych nadętych artychów, twoja rzecz ich dopilnować. I możesz dać im popalić! Żaden ci nie podskoczy.

– Tak, panie dyrektorze.

– No i mamy Sabi! Sabi jest niezawodna jak Jaeger LeCoultre – podciąga mankiet, żeby Bogna wreszcie zauważyła, jaki majątek nosi na przegubie. – Zawsze możesz liczyć na Sabi!

– Tak, panie dyrektorze.

– Robert, zwyczajnie Robert! Jak długo mam ci przypominać?!

Według dokumentów ma na imię Zenon, ale owo miano uznał widać za zbyt zgrzebne, nie pasujące do jego pozycji i aspiracji. Nawet z imienia swojej asystentki obciął końcową sylabę, ponieważ Sabina wydawała się niemodnym i zbyt długim imieniem.

– Tak, panie dyrektorze, nie, panie dyrektorze! Przestań z tą polską parafianszczyzną. W Ameryce wszyscy są, aaa... na ty. Prawdziwa demokracja.

Nie lubię być na ty tylko dlatego, że przypadkiem oboje chodzimy na zadnich łapach – pomyślało się Bognie. I zaraz refleksja: ten człowiek, kimkolwiek jest, dał jej pracę, awansował, płaci bardzo dobrze i obiecuje więcej.

– Firma stanowi wspólną, wielką rodzinę, a jeśli nawet nie aż tak, to niewątpliwie dobro dużej grupy ludzi. Więc jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – przy okazji zaklinał rzeczywistość.

Bogna ową lojalną rodzinę postrzega jako kłębowisko sprzecznych interesów, zawiści, bezpardonowej walki o awans, znaczenie, pieniądze, służbowy samochód jeszcze lepszej marki. Już zdążyła doświadczyć jadu niespełnionych nadziei i bezinteresownej zawiści – jak z klasycznego dowcipu: szewc z Torunia zazdrości kanonikowi z Krakowa sakry biskupiej –

zwłaszcza młodych wilczków, świetnie wykształconych, operatywnych, żadnych znaczenia i pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy...

– ... jej wysokość Dupencja... Coś ty?! Sabi młodsza i zawsze w pobliżu... Sabi nie musi... aby utrzymać się na fali...

– Nekrofil, wysoka protekcja, bliska familia, albo Melrosy... – zawyrokował specjalista od przewidywania koniunktury.

– ...wątpię, Melrosy to tyle co kumoterstwo po dawnemu. Teraz grupy towarzyskie wspierają swoich, ale w wielkich korporacjach, a ona przyszła z ogłoszenia... miała numer osiemdziesiąty któryś na jedno, jedyne pacykarskie miejsce, gdzie najpierw zaczęła się na zlecenia... Nie było chętnych z Melrosów, skoro firma złożyła ofertę za pośrednictwem gazeciarni...

– Przyjęli ją bez prezentacji...

– Prezentacja pacykarza to rysunki, obrazki, grafika i takie tam... Mówię o starcie na wice, głąbie!

– Nie słyszałam ani o jej prezentacji, ani o przygotowaniu na piśmie.

– Jak cię podniosą do Ich standardu, to usłyszysz, głąbie!

Bogna ukrywa trudności, intensywną naukę i nie życzy sobie nic wiedzieć o opiniach za jej plecami, a optymistyczne pohukiwania Rottweilera bierze za nic nie znaczące gadanie faceta, który także jest specjalistą od niczego.

– Mam nosa do ludzi – na zakończenie porannej rozmowy przez Internet chwali siebie szef i Bogna ma go z głowy, przeważnie do kolejnego, nagłego i niespodziewanego wezwania przez sieć wewnętrzną, bywa że do zbiórki większego lub mniejszego gremium. A teraz już zaczął sterować nią telefonicznie i o pierwszej w nocy odsyła do Sabi.

Z początku Bognę dziwiło, dlaczego taka omnipotencja zadawała się pracą asystentki-sekretarki do wszystkiego. Przestała się dziwić, kiedy zobaczyła listę płac. Zarobki poszczególnych osób stanowiły sekret.

Po awansie Bogna, jako osoba ze ścisłego kierownictwa, dostała prawa wglądu w ów najtajniejszy z tajnych dokument. I zobaczyła. Głównóg otrzymywał dwa razy tyle, co Bogna, świeżo mianowana wice na okresie próbnym.

– Dzień dobry, Bogna – wita ją Sabi. Przyjaźnie uśmiechnięta, przytomna, świeża, elegancka, dyskretnie pachnąca, jakby dopiero wyjęta z wytwornego opakowania, na przykład firmy Chanel, Dior, Calvin Klein albo innej światowej znakomitości.

Głównóg uśmiecha się do Bogny jeszcze ładniej, z włoskiego ekspresu tłoczy napar, podsuwa filiżankę, zapach kawy wypełnia pomieszczenie. Dzwoni telefon.

– Zgłasza obecność na dworcu Warszawa Towarowa zarządcą materiałowy podwykonawców – informuje Sabi.

– W zasadzie tylko dostawy Francuza są przewidywalne – zauważa Bogna.

– Dokładnie.

Bognę razi to określenie w kontekście, w jakim się rozpleniło, gryzące się z duchem języka, ale pewno duch języka przegra z super-przebojową populacją, łapiącą i rozsiewającą wirusy kolejnej nowomowy, kolejnego pokolenia.

– Nasi niemieccy i austriaccy maklerzy skupują surowce na aukcjach. To znacznie taniej, ale też powoduje brak cykliczności i uregulowanego kalendarza dostaw. Zwyczajnie, coś za coś! Dlatego firma musi mieć zapasy, podwykonawcy muszą mieć zapasy, najważniejsza jest ciągłość produkcji... Dzisiaj zbiegły się jednocześnie trzy transporty, każdy z innego źródła...

Bogna o zwyczajach i związanych z nimi ograniczeniach wie wszystko od Rottweilera i głównego księgowego, którzy wprowadzali ją w obowiązki, ale nie przerywa Sabi. W tonie dziewczyny nie ma mentorstwa, nie drażni, nie uraża bardzo świeżych umiejętności i pełnomocnictw Bogny.

– Poprzedni ładunek z Lyonu... – Bogna nie kończy zdania, łapie się na tym, że wciąż usiłuje poprawić własny wizerunek osoby kompetentnej.

– Niemieckie i austriackie dostawy zaopatrują wyłącznie kooperantów – mówi Sabi.

Bogna ukrywa poczucie mniejszej wartości, treść i podziw dla tego omnibusa. Dziewczyna nieprzeciętnie atrakcyjna, świetnie przygotowana do zawodu, porusza się wśród spraw firmy, jakby je znała od zawsze. Młodsza od Bogny o całą epokę. Siedem lat. Skończyła z wyróżnieniem odpowiednią szkołę, zaliczyła praktykę zagraniczną, praca przybocznej w firmie Hermes Zoo jest tylko przystankiem do jakichś jej samodzielnych celów.

– Sabi ma olbrzymie aspiracje. Boję się, żeby jej nie podkupiła konkurencja – martwił się niedawno Rottweiler przy okazji podpisywania kolejnej gratyfikacji dla Sabi.

Znów odzywa się telefon.

– Musimy jechać – permanentny uśmiech nie opuszcza twarzy Sabi, teraz powiększa się na całą szerokość modelowej szczęki. Bognie przychodzi na myśl fragment wywiadu z jakąś okładkową twarzą, która po dniu pracy długo nie może odkleić radosnego grymasu, ponieważ bolą ją zuchwy.

Kobiety chwytają okrycia, poprzedza je wygalonowany osiłek przezywany Szambelanem, czy to przez nadmiar złotego szychu na uniformie, czy z powodu umiejętności

udrażniania wszelkich zatkanych rur, wciąż ten sam, odkąd Bogna po raz pierwszy przyszła do Centrali jako numer osiemdziesiąty szósty poszukujący zatrudnienia.

Portier-ochroniarz-hydraulik i szofer w jednej osobie z ukłonem otwiera frontowe wejście i drzwiczki beemwu Rottweilera, sam siada za kierownicę. Samochód śmiga ulicami nadranego miasta. Liczy się czas.

Z chwilą przybycia transportu na stację zaczyna bić taryfa opłaty postojowej. Przy tak dużych składach towarowych każda minuta nadpostojowego kosztuje firmę tysiące złotych.

W izbie celnej czekają dokumenty. Dostawa: dwadzieścia dwa wagony kontenerowe z Niemiec, dwadzieścia z Austrii, dziewięć z Francji, zawartość: granulat Stella i pulpa poliestrowa Syntex, przekazówka celna, transport Nr... przez Zebrzydowice, transport Nr... przez Zgorzelec, SAD – O 113 – tylko przewóz, odprawione z Warszawy Towarowej.

Stacje docelowe to kilkanaście miejscowości wzdłuż trasy ku wschodniej granicy. Stamtąd kooperanci przedsiębiorstwa spółki Hermes Zoo zabierają przeznaczony dla nich surowiec własną trakcją.

Bogna sprawdza dokumentację SAD O 113, pełnomocnictwo, listy przewozowe: adresat-nadawca, ilość wagonów kontenerowych, ilość pojemników w kontenerach: brak. Materiał sypki oraz pulpa, numery wagonów, waga, rodzaj towaru, świadectwo pochodzenia, faktury i dowód wydania przesyłki. Wszystko się zgadza.

Prawo podpisu zastrzeżonego na kolei i w izbie celnej ma oprócz Rottweilera i głównego księgowego tylko Bogna. Nikomu innemu przewoźnik nie wystawi dokumentów transportowych.

– Miło poznać panią wice – tokuje materiałowiec podwykonawców, facet o gabarytach trzydrzwiowej szafy, mimo mżawki i pośpiechu dwornie podtrzymuje pod łokieć kobitkę, żeby broń Boże nie utknęła na rampie przeładunkowej, któredy skracają sobie drogę do peronów.

– I wzajemnie. Mam nadzieję na dobrą współpracę. Proszę mi mówić Bogna.

– Rysiek! – przednim łapskiem godnym niedźwiedzia chwycił dłoń Bogny i cmoknął rękawiczkę opinającą nadgarstek.

Na torach manewrowych połączone składy z Dusseldorfu i Lintzu sprzęgnięto z innym elektrowozem.

– Langzug. Będzie się włókl jak karawan. Najgorzej za Sokółką, stamtąd już tylko jeden tor i wszystkie dostawy, poza wojskowymi, i tak swoje odstoją na mijankach, żeby nie wiem, jak nowoczesna była lokomotywa.

Bogna interesująco milczy.

– Ja wyleguję się w toyocie zacumowanej na platformie, dlatego żeby odprawiano nas możliwie szybko. Nic nie zastąpi żywego człowieka. Wywieszki z adresami na wagonach nie przemówią do ręki. A zawiadowca ma zawsze wybór, czy najpierw puścić akurat nasz towarowy czy inny – tokuje Rysio.

Niech dupencja nie myśli, że on jest byle kto i nie wiadomo po co wałkoni się na lorze, narażając na kontuzję swoją największą miłość, Toyotę Land Cruiser.

– Poproszę kopie cła i reszty. Odeślę zaraz po rozdzieleniu towaru.

– Nie wystarczy adres za siatką? Tak ocechowane przesyłki przemierzają świat pod opieką kolei.

– O świat nie będę się spierał, ale u nas, jak już mówiłem, najdokładniejsza nawet wywieszka za siatką nie ma rąk. A jeśli na transporcie jest ktoś z rękoma to kolejarze nie tylko mogą dać pierwszeństwo przejazdu, ale i przyssać się o niekonieczny dokument. Mnie nie wolno zadzierać z przewoźnikiem, a fundusz reprezentacyjny, czyli podręczny, ma swoje dno.

– ...

– ...przy manewrowaniu na rozrządach bywa, zgubi się wagon, szukaj później, człowieku, po całej trasie. Mój znajomek nie pojechał z przesyłką i pół składu zbierał po różnych zapasowych torach, bo zanim Pekape doczepi taki wyobcowany wagon do innego transportu i dostarczy adresatowi, sporo czasu minie... Później dopieprzą rachunek za nadpostojowe, a z koleją jeszcze nikt nie wygrał. Przynajmniej ja takiego nie widziałem.

Materiałowiec zamyka w portfelu certyfikat na swój tranzyt, żegna Bognę i wspina się na lorę do samochodu uwięzionego w urządzeniu przypominającym połączenie dźwigu z windą.

Bogna z nieodłączną Sabi śpieszy na podjazd. Szambelan rusza. Zaraz odzywa się komórka Bogny.

Dyspozytor Warszawy Towarowej zawiadamia: dziewięć kontenerów kieruje na bocznicę wytwórni Hermes Zoo w Izabelinie. Wciąż liczy się czas odmierzany nad osiowym.

Z górki rozrządowej automatyczna zwrotnica kieruje transport na odgałęzienie toru należącego do firmy Hermes Zoo. Suną ustawione na platformach srebrzyste sześciany o pojemności wagonów towarowych.

Bogna wstępuje na pomost rozładunkowy składnicy.

Wraz z zanikającym spadkiem wzniesienia pociąg coraz bardziej zwalnia, tragarze wskakują na stopnie breków, czekając aż się zatrzyma.

Przycichają zgrzyty łączy, łomot zderzaków i tarcie kół o szyny. Skład toczy się coraz

wolniej, zastopowany przez pneumatyczne hamulce. Z piskiem nieruchomieje za bramą zakładu, wzdłuż rampy przeładunkowej magazynów.

Pojawia się kawaler dwojga doktoratów, technolog. Wita Bognę bardzo oficjalnie. Rzeczowy. Poprawny. Gładki jak szkło i ani jednego słowa ponad konieczność.

– Proszę – podaje Bognie dziewięć metryk przewozowych, wyjętych zza siatkowego zabezpieczenia na każdym kontenerze, z adresem francuskiego nadawcy i stacji docelowej.

Bognie jest przykro. Dotychczas gość był normalny, czyżby aż tak źle zniósł jej awans?

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Tym razem Martę i zaprzyjaźnionego z nią leśnika przywiezie zięć Karoliny. W zimową drogę młodzi nie chcieli, aby jechali matka lub ojciec, mimo że zima łagodna i bez śniegu.

– Bogna, mam zaprosić Witolda, w końcu to ojciec Ulki i w pewnym sensie jednak należy do rodziny, jak się na propozycję zapatrujesz?

– Ciocia zdecyduje, mnie obecność Witolda nie przeszkadza – kłamie Bogna. Wołałaby go nie spotkać, nigdy i nigdzie.

Były mąż Bogny grzecznie odmawia. Żałuje, ale wyjeżdża na zimowe wakacje w Alpy, gdzie także rozegra jakieś ważne międzynarodowe turnieje.

Po wigilijnej kolacji, nacieszeniu się prezentami, i beładnej rozmowie o wszystkim na raz, Karolina uprowadza siostrę do swojego pokoju, w jej mateczniku kominek jest elektryczny.

– Wygląda jak prawdziwy i grzeje nie gorzej – chwali Karolina.

Marta nie ma zwyczaju rozwiewać złudzeń innych. Wie najlepiej, jak płoną prawdziwe polana, zwłaszcza dębina, chociaż w wiejskim modrzewiowym domu mającym znacznie więcej lat od Karoliny, gorzej ją nie w kominku, a w palenisku pod płytą kuchennego pieca z okapem.

– ...Witold nadal płaci za angielską szkołę Ulki? – chce wiedzieć Karolina.

– Płaci.

– Ma z czego. Nieraz mówiłam. On z takich, co zawsze spadają na cztery łapy. Wyobraź sobie, nie tylko żyje z brydża, ale żyje jak panisko. Nigdy nie miał tyle pieniędzy.

– Brydż to gra raczej nie hazardowa.

– Każda gra może być hazardowa, zależy od umownej stawki. Ale on dorabia się na brydżu, ucząc tych głąbów z coraz bardziej zgrzebnego establishmentu... Nie dzwonki,

czerwień, żołądź, wino, tylko karo, kiery, trefl, pik i nie kozer, tylko atu...

– Szkoda, miał talent.

– A teraz ma pieniądze! Chichot lasu. Złapał wiatr w żagle, lecz nie to daje mu chleb, czego się uczył na architekturze, tylko karciane wałkonienie w akademiku. To jest dopiero przewrotność tego tam na górze.

– Tego tam na górze zostaw w spokoju. A Witold, dobrze że ma przynajmniej jakieś zajęcie.

– Zajęcie?! On zgarnia pieniądze jak jednoręki bandyta. Jego godzina lekcyjna, czterdzieści pięć minut, można powiedzieć bez przesady na wagę złota... Rozgląda się za willą w ogrodzie, gdy kupi, może mieszkanie przepisze na Ulkę?

– Skąd to wszystko wiesz, Karolino?

– Moja córka i zięć nadal dbają o uzębienie, już się pogubiłam, której całkiem nowej elity. Zmiana gabinetów i majątków oraz różnych szmalodajnych stanowisk na ich pracę nie ma wpływu, ponieważ łatwiej o świeżego polityka niż dobrego dentystę. Słyszysz się więc to i owo, kiedy pacjenci, raczej pacjentki, zwłaszcza żony, nowe żony, były żony, dziwożony mogą już pokłapać niezatkaną gębą. A twój były zięć nadal u nas dba o uśmiech, ale on jest zawodowo dyskretny i nie wymienił z nazwiska, kogo uczy. Zrozumiałe. To jego chleb, gruba pajda, dobrze omaszczona. Ale o wyjeździe Ulki do Angoli na wiosnę wiem od niego – w podtekście nutka goryczy. Ani Marta, ani Bogna nie poinformowały o fakcie Karoliny.

– Polskojęzyczna szkoła z Anglii wymienia się z anglojęzyczną szkołą z Warszawy, na trzy miesiące. Tyle wiem – tłumaczy się Marta.

– Ciekawe, czy jest w tamtej szkole polskiej chociaż jeden rdzenny Angol? W każdym razie większość to z pewnością skundleni Polacy. Któreś pokolenie po sojusznikach wojennych, kładących głowy za wyspiarzy, którzy najpierw nie dali się zabić na wojnie, a następnie wyrzucić, kiedy Angole zaraz po wojnie pozbywali się, na olaboga!, już niepotrzebnych im kandydatów na bohaterskich nieboszczyków.

17.

– Ulce coś dolega? – dowiadyuje się Karolina.

Ulka wstaje późno. Śpiewa hymn do słońca. Gimnastykuje się. Pływa w Jeziorze. Zakłada powłóczęstą szatę z indyjskiej bawełny. Zapala świeczkę ustawioną w miseczce z

wodą, przybraną wiankiem z polnych kwiatków. Wpatrzona w płomień kiwa się, siedząc na piętach. Klepie mantry. Gasi świeczkę.

– Co za nowy bzik? – chce wiedzieć Karolina.

– Medytacje, doskonalenie duszy w harmonii z ciałem i coś tam jeszcze – wzdycha Marta.

Na śniadanie Ulka dziobie ziarna skiełkowanej pszenicy, popija chudym mlekiem, odmawia mięsa, ryb, jajek, wszystkiego, co żywe.

– Kłos, źdźbło trawy, kartofel, żyją. Wykazały to doświadczenia, więc gdyby człowiek był konsekwentny... – Karolina zajada jajecznicę usmażoną na oliwie z pierwszego tłoczenia, zagryza bułką ze smarowidłem bez cholesterolu, o cholesterolu w jajkach nie życzy sobie wiedzieć.

– A co z pićem? – interesuje sąsiada Marty, emerytowanego leśnika zaproszonego na śniadanie.

– Znakomite rogaliki – chwali Karolina, przemilczając prowokację starszego pana. Nalewkom Marty nie potrafi oprzeć się ani leśniczy, ani Karolina, ani nikt inny z całą rodziną włącznie.

Rogaliki także przygotowała Marta. W miejscowym sklepie kipi od zagranicznych opakowań, ale pieczywo nie zawsze jest, nie zawsze dobre i nie zawsze świeże. W tej dziedzinie od czasów niepamiętnych nic się nie zmieniło.

– Daj dziecku spokój, Karolino!

Babka boi się, żeby Ulka pod wpływem opinii głoszonych przez Straszłą Ciotkę, nie wyrzekła się jedzenia w ogóle. Słyszała o przypadkach śmierci z głodowego wycieńczenia wśród młodych dziewczyn. Nie narzuca Ulce swojego zdania, ale przyrządza dania jarskie tak smakowite, że nie sposób im się oprzeć, przemycając, zwłaszcza w farszach, wyklęte mięso.

– Odchudzasz się? – upewniła się Karolina.

– Z czego ma się odchudzać?! – denerwuje się Marta.

– W rzeczy samej, koścista jak szara czapla – orzeka Babon.

Ulka, rozmyślając, zapomina o właściwej linii pleców. Wówczas, zwłaszcza gdy stoi przygarbiona, bez ruchu na tych swoich długich kończynach, w pewien sposób upodobnia się do szczudłaka.

– Uła, wyprostuj się – przypomina sobie Marta o korekcie postawy wnuczki.

Ulka siada i przybiera pozę egipskiego skryby właściwie dla świętego spokoju, ponieważ od dawna postawiła na intelekt, stawiając zarazem krzyżyk na urodzie. Beznadziejna. I nic się nie poprawia z wiekiem, jak pocieszała babka. Porównanie z czapłą

nie jest jeszcze najgorsze, zwłaszcza zestawienie popielatych włosów Ulki z maścią brodzca. A jednak przykro.

– Nie martw się, chude podlotki przeważnie wyrastają na bardzo foremne dziewczyny – brzmi ostateczny werdykt Strasznej Ciotki. Niech teraz Ulka nawet nie próbuje wyrosnąć na dziewczynę nieforemną.

Wściekła Ulka natęży siłę woli i wysłała Babona natychmiast tam, skąd przybył. Zaraz jednak cofa rozkaz, usadza z powrotem nad talerzem z jajecznicą. Potrzebuje Babona tutaj. I prawdopodobnie tylko dzięki temu ciotka Karolina nie odlatuje na starym odkurzaczu babki.

– Najlepsze, kiedy gorące – Marta zdejmuje z patelni skwierczące naleśniki ze skórką zapieczoną na złocisty kolor.

Ulka, bez wyrzutów sumienia z powodu żywych jajek w potrawie, pożera wypełnione serem delikatne ciasto. Nigdy też nie przesłuchuje babki, czym nadziewa przeróżne pierogi. Nie jest samobójcą, nie ma zamiaru zagłodzić się, ale przyjemnie być w centrum uwagi, doświadczyć, jak się o nią troszczą, martwią, odgadują życzenia.

Leśniczy dziękuje za śniadanie. Z amatorską kamerą idzie podpatrywać bobrowe żeremie. Jego albumy ze zdjęciami zwierząt i krótkie filmy przyrodnicze mają swoją markę.

Starsze panie zasiadają na ganku, do kawy. Ulka leży w długim, wąskim alkierzu, przesiedlana tam na czas pobytu Babona.

– Córka z zięciem w Tajlandii... na Riwierze... w Egipcie... na Karaibach... we Włoszech... – powtarza Karolina wiadomość-kalkę, każdego roku zmieniają się tylko nazwy. – Mąż dusza człowiek ale za dużo serca na dłoni, ludzie wykorzystują, wałkonią się. Ma też swoje lata, tak że cała produkcja na moich barkach.

Ludzie – to dwie osoby płatne od sztuki wytworzonego towaru i wcale nie trzeba ich pilnować.

Karolina, zamotana w olśniewający szlafrok z chińskiego atlasu w złotoczarne smoki, sięga do kieszeni po komórkę. Przyjechała przed wieczorem, rano zdążyła wypakować walizy, już jej brak wytwórni.

Stary telefon Marty z okrągłą tarczą, bydlę kapryśne, nie zawsze bywa w nastroju i Babon nie może zrozumieć, jak w ogóle można żyć z tak archaicznym urządzeniem, nie pamiętając, że nie dalej, jak za poprzedniej bytności nie miała jeszcze aparatu bezprzewodowego i zdarzało się, że bezskutecznie tłoczyła dyspozycje w niemą i głuchą słuchawkę.

– Ciągną światłowody. Najpóźniej jesienią będą tu mieli najnowocześniejszą telefonię – w otwartym oknie pojawia się głowa Ulki.

– A ty co, podsłuchujesz? – Babon wydaje się niezadowolony z wiadomości objawionej przez Ulkę.

– Nie. Tylko ciocia bardzo głośno mówi.

Minął blisko wiek, zanim wynalazek Bella pokonał drogę do Sarniej. Swego czasu owo rzadkie jak sobol urządzenie otrzymał leśniczy, sołtys i Marta, odkąd została opiekunką społeczną na coraz bardziej starzejącej się wsi.

Światłowody zniosły ograniczenia techniczne. Zmieniły niewiele. Reglamentację zastąpiła cena.

– Do jesieni kawał czasu, ale teraz jakim sposobem wezwiesz pogotowie, jeśli ktoś ciężko zachoruje? – nie daje za wygraną Karolina, chociaż ma przecież tę swoją najnowocześniejszą komórkę najświetniejszej marki. Ale, okazuje się, najświetniejsza komórka Karoliny jest głucha jak pień. Speszona wyciąga instrukcję, wyłuskuje mapę, z której wynika, że na tym terenie jeszcze nie ma zasięgu dla jej doskonałego urządzenia. Starsza pani nie ma pojęcia, co zacz, ów zasięg.

– Obyś nie wymówiła w złą godzinę – upomina Marta, zażegnując uwagę siostry o pogotowiu.

– Aleś schłopiała! Przesądna, jak jej dawni protegowani! – gorszy się Karolina, zagadując nieudany występ z najnowszą techniką.

Pod koniec lat czterdziestych, na początku pracy w gminnym ośrodku weterynaryjnym, Marta przygarnęła znachora od zwierząt i znachorkę od ludzi, ubrała w niebieskie kitle, oboje obsadziła na jedynym etacie posługacza, każde z połową wynagrodzenia.

Wtedy pensje były symboliczne zarówno jej, lekarki weterynarii, jak i posługacza w dwóch osobach. Zwyczajowe datki, gościńce, jak je tu nazywano, od właścicieli pacjentów, sprawiedliwie dzieliła na troje, traktowała pomocniczą hybrydę z szacunkiem, nie lekceważyła ich doświadczenia w zielarstwie. W ten sposób zamiast pary wrogów zyskała przyjaciół i ujęła sobie społeczność.

– Jakiś zawistnik doniósł gdzie trzeba i omal nie wyrzucili mnie za chronienie reliktyw kapitalistycznej ciemnoty – dopełniła obrazu Marta i obie starsze panie wielce rozbawiły wspomnienia.

Bardzo możliwe, że śmiały się w złą godzinę.

Jeszcze tego samego dnia Karolina pognęła swoim audi na sygnale do miasta, zawiozła na pogotowie dziewczynę opitą zsiadłym mlekiem, z nogą w wiadrze pełnym zsiadłego mleka. Według recepty ciemnych reliktyw, pierwszy ratunek przeciw jadowi żmij.

Jeśli aparat telefoniczny Marty nie odzyska szybko właściwości przybliżania podwarszawskiej wytwórni do Puszczy, Karolina nie wytrzyma zwyczajowych czterech tygodni spędzanych, jak co roku, w ostoi młodszej siostry.

– Potęgą mojej nadświadomości i głęboką mądrością mojego wyższego JA rozkazuję natychmiast zreperować linię – koncentruje się Ulka, leżąc na tapczanie w pozie umrzyka. Wprawdzie formuła jest adaptowana z techniki metafizycznego leczenia, ale co szkodzi spróbować. Pragnienie zatrzymania nieznośnej ciotki jest tak silne, że powinno wystarczyć do złączenia zerwanego przewodu.

Babon jest okropny, niezwykły i interesujący. W rozmowie z babką popełniał niedyskrecje, które, zalegając w pamięci Ulki, podsycaly ciekawość. Aby złożyć z nich spójną całość wciąż brakowało wielu elementów. Właściwie nie były to niedyskrecje, a odniesienia do znanych siostron faktów z czasów wczesnej młodości, tylko żadnej z nich nie przyszło na myśl, że Ulka notorycznie podsłuchuje i zupełnie nie odczuwa z tego powodu niepokoju sumienia.

– Chcę wszystko wiedzieć o swoich korzeniach – nie dawała spokoju babce, próbując wyciągać ją na bardziej szczegółowe zwierzenia.

– Wiesz wszystko.

– Pochodzisz z Warszawy, nie stąd.

– Przeżyłam tu ponad pół wieku, od pół wieku jestem stąd.

Odwoływanie się do pięćdziesięciu lat życia w Sarniej sprawia wrażenie grodzi zatraskiwanej przed dociekliwością Ulki. Odkąd jednak Ulka usłyszała Karolinę kwestionującą prawo do pamięci czy może autentyczność jednego ze sportretowanych – powiedziała Marcie: mało ci jeszcze poplątania w życiu – Ulka nie spocznie, dopóki sekretu nie rozwikła.

Co tak bardzo zaciążyło na życiu babki, skoro jeszcze teraz wypomina jej to starsza siostra, i któremu z przodków odmawia kawałka ściany w jej domu? Dlaczego?

– Idziemy obejrzeć modrzewie – zagłąda do Ulki Marta.

Ulka leży nieruchomo w pozie umrzyka. Płowy drzemie obok, unosi jedną powiekę, babka przyciska palec do ust i wycofuje się bez szmeru. Niech dziecko odpocznie. Odpoczynek sprzyja nabieraniu ciała, nie przybywa go od nie wyłożenia z jeziora albo uganiania się z Płowym po lesie. Powinna z wakacji wrócić mniej kanciasta.

Ulka już zakończyła eksperyment z przystosowaniem metody metafizycznego leczenia do naprawy łączy telefonicznych, ale nie chce towarzyszyć starszym paniom.

– Co jej jest? – niezmiennie interesuje ciotkę Karolinę.

– Przepoczwara się – Marta próbuje zlikwidować temat w zarodku, ale to nie jest sposób na Karolinę.

Ulka odczekuje chwilę i zamyka za sobą drzwi pokoju. Płowy czuje się oszukany, drepcze za progiem, skrobie, popiskuje cienko. Ulka przemieszcza się przez okno izby przodków, oddanej teraz Babonowi. Stąd nie mogą jej zobaczyć. Zbiega ze skarpy, znika wśród podszytu.

Według zaobserwowanej średniej wieloletniej zachowań ciotki Karolina powinna zatrzymać się i poświęcić tren warzywnikowi. Przez ten czas Ulka zdąży zająć pozycję w pobliżu modrzewi. Modrzewie, jako część składowa obszerniejszego bzika babki dotyczącego korzeni, nastroją Babona krytycznie.

– Czy tak trudno ogrodzić parę zagonów? – przystaje Karolina nad grządkami z przetrzebioną sałatą, sfatygowaną kapustą i innymi warzywami.

– Nie chcę żadnych płotów.

– Po co w takim razie w ogóle sadzisz jarzyny?

– Dla siebie i kłapouchów, lubię, gdy przychodzą. My należymy do lasu, one należą do lasu. Las daje i las bierze.

Siedlisko jest właściwie leśną polaną, buja kolorami w odcieniach karminu, fioletu, cynobru. Dziki powój oplata kępy dzikiej róży, rozsyłającej młode pędy we wszystkie strony, wyspy dzikich goździków, przypominające kopce śniegu, chłodzą gorącą paletę, ich silny zapach wisi nad łąką, podobnie jak nieustanne buczenie miodorobów, zbierających bogactwo kwitnienia.

– Pański gest! Stół dla szaraków. Przyjdą, objedzą rozsady, nagubią bobków i pokicają z powrotem.

Karolina nie jest nieczuła na piękno, ale na pierwszym miejscu stawia wymierne korzyści. Siostra ma skromne środki, z tego kawałka ziemi mogłaby mieć jakieś pieniądze dzięki jego niezwyklej urodzie lub starannej uprawie, chociaż grunta tu poza wszelką klasą.

– Jakaś ty niepodobna do mnie – Karolina brodzi w gąszczu traw.

Byłoby dość okropnie, gdyby babka przypominała Babona – otrząsa się Ula po drugiej stronie państwowego parkanu, na stanowisku krwawo wydrążonym wśród kłujących skłębionych jeżyn.

– Natomiast Ulka robi się podobna do Bogny – stwierdza Karolina.

Ulka nadstawia słuchy. Lubi, gdy się o niej mówi i nie ma nic przeciwko porównaniu z matką. Matka jest bardzo atrakcyjna, ale ton Karoliny sugeruje inne podobieństwo, naganne.

– Bognie przy doniczkach było nudno, okropnie, beznadziejnie, nieintelektualnie i

nieartystycznie. Wylądowała na dekorowaniu wystaw, też mi awans.

– Teraz Bogna kończy studia zarządzania i ma bardzo dobrą pracę – przypomina Marta.

– Słyszałam. Lepiej późno niż wcale – kwituje Karolina i nie pozwala odebrać sobie tematu. – Ulka jeszcze lepsza! Na przedwiośniu mieliśmy duże zamówienie, proponowałam, żeby sobie dorobiła po szkole. Nie chciała. Ulki nawet nie interesowało, jaką mam dla niej robotę, bo akurat musiała iść sortować społecznie szmaty dla bezdomnych. Hrabina filantropka.

– Bardzo dobrze. Nie jest sobkiem.

– Filantropia, poza poprawianiem samopoczucia filantropom, niczego nie załatwia. Znieczula godność własną filantropobiorców, wspomaga utrzymywanie się stanu biedy, niechęci do pracy. Zasada. Nic darmo! Każdy ma zarobić na sobie, słabsi w miarę sił i zdolności, asekurowani przez społeczeństwo. Przez społeczeństwo, ustawowo! A nie kiedy przypomni sobie o ubogich politykier zabiegający o mandat poselski, bogacz dbający o popularność, która przyniesie mu następne korzyści, kobiety jednego i drugiego z nudów.

– Masz rację, Karolino, tylko jak się to ma do Ulki?

– Bierze od rodziców, bierze od ciebie.

– Nic ode mnie nie bierze!

– A utrzymanie przez kilka tygodni?

– Ty, Karolino, liczysz kęsy swoim dzieciom?

Ulka kipi na stanowisku krwawo wyciętym w rozkrzewionych jeżynach za państwowym płotem. Odkąd sięga pamięcią, obmyślają z matką taką rekompensatę, żeby babka chciała ją przyjąć i żeby nie sprawiała wrażenia zapłaty. Przeważnie są to książki, które babka kocha. Uzbierała się już z nich spora biblioteka.

– Nikomu z was się nie przelewa – pojednawczo wtrąca Karolina. – A Ula, zamiast ulżyć rodzinie zarabiając, idzie się dobroczynnie.

– Dajmy jej spokój. Przepoczwarza się.

– W zeszłym roku mówiłaś to samo. Nie za długo tego przepoczwarzania? Siedzi na piętach. Kiwa się. Leży. Kapie. Leży. Pływa. Gapi w sufit. Nie gapi. Ugania z kundlem po lesie. Udaje nieboszczyka. Ale zawsze sprawia wrażenie, jakby tkwiła za przegrodą, daleko od rzeczywistości.

Marta nic nie mówi. Wszystko to wie od Bogny. Też była zaniepokojona zachowaniem córki. Zawlokła Ulkę do psychiatry. Ten odesłał do psychologa, chociaż Marta odradzała i wyszło na jej. Psycholog potwierdził diagnozę babki, tylko bardzo fachowo.

– Ciężko dojrzeła. Trudno jej samej ze sobą, tym bardziej, że zamknięta i nieśmiała. Ale to myślące stworzenie. Ma bardzo wysoki iloraz inteligencji – pochwaliła się Marta nie bez satysfakcji.

– To dlaczego zachowuje się głupio?

– Widziałaś, jak się wylęga ważka? Pęka taki dość wstrętny worek i z wielkim mozołem coś równie obrzydliwego zaczyna z niego wylać. Białe, mętno-przezroczyste. Bezkształtne. Nie wiadomo gdzie ma przód, gdzie tył i czy w ogóle coś takiego ma. Następnie przypomina strzęp brudnej, mokrej ligniny. Pomięte toto, ledwo zipie. Śmiertelnie się upracowało, odpoczywa. Prostuje. Wysycha. Powoli nabiera kształtu, rozwija skrzydła, na końcu powleka się walorem i ulatuje. Ta moja była barwy malachitu. Piękna.

Ulka nie ulatuje.

Dalej siedzi w swoim kokonie i nie grzeszy urodą. Nawet włosy, chociaż gęste jak u Bogny, dopiero niedawno zdecydowały się na platynowy blond. Przy gotyckiej twarzy Urszuli sprawiają wrażenie nadmiaru. Wbrew pozorom jednak Ulka zza swojej szyby widzi, co się wokół niej dzieje.

– Mężczyźni was się nie trzymają. Po co nazywać drzewa imionami efemerycznych mężów – powtarza swoje Karolina.

– Żeby się trzymały – burczy Marta.

– Kto, mężczyźni?!

– Drzewa.

– Zbywasz mnie nonsensami. Niech i tak będzie. Ale gdybyś chociaż raz mnie posłuchała, nie musiałabyś wymyślać sobie korzeni i izolować trzy pokolenia od prawdziwych.

– Gdybym ciebie raz posłuchała, w ogóle nie byłoby pokoleń. Tylko teraz mam wątpliwości, czy należało ukrywać... konsekwencja strachu, nieludzkich warunków i totalnej nienawiści...

– Miałam ci nie mówić, jednak powiem. Niedawno przejeżdżałam w pobliżu i trochę nadłożyłam drogi przez Koronowo. Folwark leży odłogiem, podobno ktoś stamtąd pytał, o...wiesz... no, wiesz kogo.

Koronowo! – Ulka w jeżynowym mateczniku za państwowym płotem, wstrzymuje oddech z wrażenia.

Po raz pierwszy uświadamia sobie, że nigdy dotychczas nie słyszała i nigdy jej nie przyszło na myśl pytać babkę Martę o nazwę miejscowości. Od zawsze był to mityczny już, żyjący tylko we wspomnieniu, majątek na jakichś antypodach i ów adres zupełnie Ulce

wystarczał. Teraz nagle się urealnił. Ma imię własne i współczesność. Dołącza ów najważniejszy szczegół do swojej skąpej wiedzy.

– ...ktoś stamtąd rozpytywał w Koronowie o...wiesz kogo!

Kto i z jakiego stamtąd przybyły, pytał o wiesz kogo?

Wiesz kogo – może odnosić się do za młodego dziadka, po którym pozostało tylko imię i portret na ścianie. Powiększenie z małej fotografii z dokładnie zatartym rewersem po radykalnie usuniętym napisie, może dedykacji?

Z podobnym zdumieniem dopiero teraz uświadamia sobie, że nigdy nie słyszała nazwiska Henryka. Babka Marta nazywa się jak para z portretów wodzących oczyma – to Marty i Karoliny rodzice. Identycznie brzmi na akcie ślubu panieńskie nazwisko Ewy, jedynej córki prababki Marty – czyli jej, Ulki, babki, o której bez zastanowienia nawet nie umie tak myśleć.

Pierwszy odruch, poszperać w pudle przypominającym zamczysty kufer, nigdy nie zamknięty w niezamykanej szafie.

Nie! Nie jest już małą Ulką. Skoro babka Marta nie wyjawiała nazwiska mężczyzny swego życia, jej wolę należy uszanować. Przyzwoity człowiek nie wdiera się podstępem w prywatność innych. Nawet bezceremonialna ciotka Karolina nigdy nie naruszyła tabu młodszej siostry.

– ...konsekwencje strachu, nieludzkich warunków i totalnej nienawiści... – powtarza sobie Ulka słowa babki Marty, których następstwem była wypowiedź Karoliny: – Ktoś stamtąd... pytał, o wiesz kogo.

I Ulka nie dotrzymuje danego sobie słowa, popełnia przestępstwo niedyskrecji, chociaż czuje się jak ostatnia świnia. Lecz nie znajduje niczego, co mogłoby przybliżyć, czy rzucić choć promień światła na tożsamość Henryka.

18.

Spóźniona Bogna mija krużganek, wchodzi do westybulu pod kopułą z kasetonowym podniebieniem. Naprzeciw, w ślad za wyfraczonym wodzirejem z barwną rozetą na piersi powiewającą pękiem kolorowych wstęg, korowód par sunie po lustrzanej posadzce, przewija między trzema wejściami rozwartych, dwuskrzydłowych drzwi sali balowej, i z podestu ścieka po marmurowych schodach na flizy wielkiej sieni.

Orszak tanecznych par starających się utrzymać rytm dostojnego tańca zatacza krąg i wstępuje teraz po dwudziestu stopniach dzielących od biało złotych wrót, przez które wywiódł ich „szczurołap” ze stroikiem na atłasowej klapie, zamiast czarodziejskiego fletu w dłoniach.

– Uprzejmie dziękuję – zwraca Bognie zaproszenie lokaj w srebrzystej peruce z harcapem, srebrną nicią haftowanym surducie, koronkowym żabocie, atłasowych obcisłych pludrach sięgających za kolana, białych pończochach i czarnych, lakierowanych czółenkach z rypsowymi kokardami. Dalej – w przeszkloną galerię – holuje Bognę drugi lokaj, podobny jak kropla wody do tego pierwszego, i wiedzie ku szatni, tam następny trojaczek przyjmuje od niej okrycie i...

– Zaproszenie – informuje drugi z harcapem, a trzeci z harcapem wydaje Bognie srebrny numererek.

Bogna nie rozumie, do czego potrzebna szatniarzowi informacja o zaproszeniu, ale nie zadaje pytań.

Pod ścianami o barwie lodów śmietankowych, w półokrągłych, łukowato sklepionych niszach tkwią marmurowe popiersia na żłobkowanych postumentach, obok opięte adamaszkiem nowiutkie ludwiki na wygiętych nóżkach wydają się zbyt kruche dla młodych osiłeków, którzy je obsiedli. Wchodzą lub wychodzą, nabici w sobie, ubrani w czarne kombinezony z białymi napisami na plecach: *security*, z kieszeni na piersiach wystają im aparaty komórkowe, na biodrach dyndają kabury.

Buduar, prysznic, wypoczynek i toalety dla dam – drugi w atłasowych pludrach wskazuje drzwi dwuskrzydłowe i wyłączone jak wszystkie.

Wewnątrz współczesne fotele, kanapy, jedna ściana ze zwierciadła, pod nią wzdłuż, nisko zawieszony, mahoniowy blat.

– Zupełnie rozsądne pomieszczenie – chwali Bogna do swego odbicia. Kładzie torebkę na konsoli, poprawia włosy nie wymagające poprawienia, muska pudrem czubek nosa. Ocenia wygląd. Jakoś niezręcznie było wystawać przed domowym lustrem w obecności nie odstępującej jej Ulki.

– Kup sobie coś modnego – wielkodusznie poradziła córka, gdy Bogna wspomniała o szykującej się gali.

– Ula, rzeczy naprawdę dobre są bardzo, ale to bardzo drogie, na uszycie nowej obwoluty brak mi czasu i chęci. A tę szmatkę miałam na sobie jeden raz – wspomnienie tamtego wieczoru wraca dojmującą tęsknotą za Adamem, smakiem upokorzenia wciąż świeżym i dotkliwym, jeśli tylko tknie myślą dawno miniony wieczór. W jakim charakterze

tam idziesz? – dowiadywała się wtedy Ula. – Jako ktoś, czy piękny bibelot?

Dzieci bywają okrutne, ale w pytaniu tkwiło ziarno prawdy.

Teraz sytuacja była klarowna. Tylko teraz Wielki Wieczór nie przyśpiesza bicia serca, i w gruncie rzeczy nie było dla Bogny zbyt ważne, w co się ubierze, byle zbytnio nie odstawać od ogólnych trendów.

– Wiesz, w lumpeksach można trafić na coś ekstra sławnych markowych firm.

– Nie mam przekonania do tych sklepów.

– Nie powinnaś wyglądać jak uboga krewna.

– To sukienka autorska. Jeden, jedyny egzemplarz i zupełnie nie obnieszony.

– Obnieszony. Po Marriotcie.

– Masz dobrą pamięć.

– Bardzo dobrą. Kup sobie coś super. Stać cię na nową rzecz. Jesteś tego warta – Ulka łudząco naśladuje głos z telewizyjnej reklamy.

– Nie kupię. Oszczędzamy na mieszkanie.

– Ile już uzbierałaś?

– Równowartość sześćdziesięciu metrów w starym budownictwie z perspektywą gruntownego remontu, oczywiście w nienajlepszej dzielnicy.

– Uwzględniając inflację, wydatki nieprzewidziane... potrwa z pięćdziesiąt lat.

Bogna opuszcza pokój wypoczynkowy dla pań i wpada wprost w ramiona Sowy.

– Bogna!

– Sowa, jak się cieszę! – Bognie widok starego przyjaciela rzeczywiście poprawia samopoczucie. Jedyne znajome i życzliwe człowiek w tym obcym tłumie. Nie spodziewała się aż takiego spędu. Sądziła, że to może nieco tylko bardziej wystawne spotkanie pracowników poza firmą, poza godzinami pracy, w innej aranżacji, spotkanie integrujące, prowadzone i celebrowane przez Rottweilera.

– Jesteś sama?! Ależ to zboczenie, dziewczyno! A ten... ten kurdupel z Instytutu, jak mu tam...

– Sowa, on wcale nie jest kurdupel.

– A co, pardon, kto?

– Zwyczajnie! Jest więcej niż średniego wzrostu.

– No więc, niekurdupel więcej niż średniego wzrostu, przemiął?

– Nie przemiął.

– Twarda zawodniczka. Więc dlaczego, Penelopo, nie ma go przy tobie?

– Już sam sobie odpowiedział. Penelopa czeka. A on jest za granicą.

- Robi szmal?
- Coś w tym sensie.
- Z poręki prezesa Phi Beta Kappa?
- O kim mówisz?
- No o tym: nie huknąłem koniowi spod procy!
- Vip z polskim rodowodem – Bogna przypomina sobie Amerykanina, który popisywał się, jak sądził, rdzennymi przysłowiami starego kraju.
- Nawet nie dałaś znaku życia. Sowa dobry, kiedy potrzebny.
- Miałam ciężkie zgryzy.
- Na zgryzy jestem niezastąpiony.
- Przy tym dziecko. Szkoła. Praca. Wiesz, jak jest.
- Nie wiem.
- Sowa, masz rację. Nie powinnam zaniedbywać przyjaciół. Ale Kocham cię, Sowa, i wiesz, że na mnie także możesz liczyć w każdej sytuacji.
- Już nieco lepiej. Przyjmuję ekspiację i... Mogłabyś zajrzeć, galeria okrzepła i nawet się rozwija. Wciąż potrzebuję kogoś odróżniającego olej od gwaszu, porcelanę od fajansu i tak dalej. Tylko nie stać mnie jeszcze na płacę, powiedzmy w wysokości apanaży rajcy miasta stołecznego.
- Stoją pod arkadą portyku, przestrzeń wciąż wypełnia polonez Ogińskiego potęgowany przez wzmacniacze, korowód ponownie sływa po stopniach na posadzkę wielkiej sieni przez jedno z trzech otwartych na oścież wrót sali z orkiestrą.
- Ciekawe, który już raz facet z pęczkiem wstążek na obojczyku włóczy ludzi po schodach w tę i z powrotem? Gdy tu przyszedłem, oni wtańczyli się pod górę.
- Dobrze im to robi. Na co dzień przeważnie używają kończyn do przenoszenia dupy z jednego siedzenia na inne.
- Wiesz co to za spęd?
- Sowa wie wszystko! A ciebie jak zwabiono?
- Pracuję u Rottweilera... Przewisko głównego menago.
- Nieźle. Pasuje do niego. A zatem sprzedajemy czas, intelekt i talenty temu samemu krwio pijcy. Szukałem ciebie po całym mieście, gdy trafiłem tę gigantyczną fuchę.
- Dziwne! W centrali mogliśmy się zderzyć na korytarzu, w windzie albo na półpiętrze.
- Nie bywam w mateczniku. Nie życzył sobie. Sprawy załatwiamy u mnie, w galerii. Zresztą rzadko. Dostałem szerokie pełnomocnictwa.

– W biurze snuła się skąpa wiadomość: Rottweiler buduje pałac i tyle. Nic nie wiedzano o lokalizacji. On o inwestycji nie mówił. Natomiast co miesiąc urzęda – uważaj – na koszt firmy kolacje przy świecach. Za każdym razem w innym lokalu. Według niego: zabieg integrujący środowisko. Firma powinna być jak rodzina. Dzisiaj podstawiono autokar pod biuro i rodzinę dowieziono. Nie zdążyłam, właściwie nie chciało mi się integrować już w autobusie, więc pozwoliłam sobie na szaleństwo, taksówkę.

– Nie masz samochodu?

– Mam służbowy. Ale szukanie parkingu, benzyna... kieliszek czegoś...

– Tu parking przypomina lotnisko dla raket międzygwiazdnych. Są także boksy i hektary przeciwpoślizgowego gresu w podziemiach, są także trzeźwi szoferzy, którzy o każdej porze odwiozą sztywnych gości, oczywiście za opłatą.

– Nic o tym pałacu nie wiem. A w ogóle jest porażająco nowy.

– Obecność obowiązkowa?

– No, raczej się nie odmawia. Gorsze rzeczy ludzie znoszą, żeby mieć pracę, nie żadna krzywda.

– I jesteś tu dzisiaj z powodu firmowej kolacji?

– Dwa w jednym, czyli także z okazji inauguracji nowej siedziby szefa. Tak napisano na zaproszeniu. I mam wrażenie rzeczywistości pozornej, jakbym brała udział w wielkim, amatorskim przedstawieniu, które nie miało ani jednej próby... Jeszcze nikogo ze współpracowników nie widziałam, sami nieznajomi.

– Płaciłaś za szatnię?

– Nie. Co to ma do rzeczy i odkąd za szatnię biorą na przyjęciu, do tego z góry?

– Tu biorą. I nikt nie wejdzie na krzywy ryj. Dochód z szatni przeznaczono na biednych, cel ma usprawiedliwiać płacenie z góry, tak stoi złotą kapitałą na moim zaproszeniu.

– Nie rozumiem.

– Mamy ten sam numer stołu – Sowa porównuje kartę wstępu Bogny ze swoją – popatrz! Menago zaplanował mnie przy waszym zakładowo-rodzinnym stole, taki jestem bliski jego sercu. Podejrzewam, że ci sami swoi dostaną gorszy obrok.

– Przecież on także będzie siedział z nami.

– Sam dokarmi się w kuchni.

– Nie rozpaczaj, jeśli po imprezie będziesz głodny, masz u mnie kolację – obiecuje Bogna.

– O ile mi wiadomo, przeważają zaproszenia płatne z wyjaśnieniem: na cel

dobroczynny. Wyjątek stanowią elity polityczne.

– Zrozumiałe. Przecież to najuboższa warstwa społeczeństwa.

– Stać ich jedynie na zaszczytanie. Bułą burzuje! Od kilku miesięcy namolnie obębniano nadzwyczajny obiekt, podsycano snobizmy. Ośrodek na miarę roku, wieku, tysiąclecia wciskały kit przekaziory, tylko główny menago pozostawał skromnie w cieniu, ukryty za kolejną spółką Zoo-log. Wreszcie zapowiedź wielkiego finału. Na otwarciu będą wszyscy, którzy się liczą! A najlepiej liczy beneficjent tego mega-gigant-kiczu.

Bognę ogarnia strach. Paradoks, strach o Rottweilera. Jeśli przeinwestował, jeśli owa kalka małego Las Vegas w staropolsko-magnackim sztafażu nie przyniesie spodziewanych dochodów, przedsiębiorstwo Francuza może nie przetrzymać owych szyków. W najlepszym razie grozi restrukturyzacja. Co przede wszystkim oznacza redukcje. A ona nie należy do najmłodszych, brakuje jej także trochę czasu do dyplomu uczelni o wprawdzie dobrej, lecz nie najlepszej lokacie pośród rodzimych szkół wyższych, co bardzo wiele znaczy na rynku zatrudnienia. No i na tym rynku coraz ciasniej. Z kolei świadomość zależności od bezwzględnie nuworysza ponad wszystko ceniącego mieć, wzmaga poczucie psychicznego dyskomfortu.

– ...obiekt już włączono w międzynarodowy system hotelowo-wypoczynkowy. Można rezerwować miejsca z każdego końca świata, oszałamiająca reklama, akcje giełdowe... Dzisiaj przybywają tu elity, w większości bardzo młody pieniądź, w pewnych przypadkach tak świeży, że parzy. Od jutra musi zarabiać.

– Odrestaurowany zabytek? – maskuje Bogna chwilową nieuwagę.

– Przetrwały zmurszałe fundamenty. Spece odtworzyli całość z reprodukcji, ilustracji, sztychów i jakichś szczątkowych planów odnalezionych w archiwach... Podobnie wskrzeszono po wojnie warszawską Starówkę, później Zamek Królewski...

– Zmartwychwstanie po polsku.

– ...ta budowla, podobnie jak tamte, wpisane na listę światowego dziedzictwa, ma szansę na identyczną ocenę.

– Więc gdzie tu kicz?

– W środku. Sama zobaczysz: sala gdańska, wenecka, pompejańska, rosyjska, wigwam Siuksów, piramida Inków, izba Piasta Kołodzieja i tak dalej. Jeszcze nie wszystko wykończone.

– Wesole miasteczko?

– Kombinat gastronomiczno-hotelowo-rozrywkowo-dyskotekowo-internetowo-konferencyjno-szkoleniowo-naradowy, z terenami do wytwornych sportów i gier: golf, tenis,

polo, baseny, sauny, stajnie, konie, maneż, fechtunek i co tylko na świecie wymyślono dla nierobów i pracocholików, zebrań, zgromadzeń, kursów. Urządzanie wesel, styp i imienin szefów, przyjęć komunijnych, zaręczynowych i rozwodowych. Nie wykluczam, że zainstaluje tu panienki...

– Przesadzasz.

– Jestem wściekły. Odtwarzałem wnętrza według dokumentacji, a jeśli nie istniał już żaden przekaz, bodaj sztych, rysunek czy jakaś inna wzmianka, aranżowałem w stylu epoki, dobierając meble, obrazy, rzeźby, drobiazgi. Kompletowałem bucowi porcelanę, fajanse i kryształ, każde szkło, dywan, każdy detal, popiersia i portrety przodków, oczywiście kontuszowych.

– Norma. Wiem coś o tym. Sami szlacheccy, ba! Magnaccy potomkowie w tym kraju, pańszczyźniani chłopci i mieszczenie wymarli bezpotomnie.

– Haruję dla chama jak babiloński niewolnik i popatrz, co robi ten szambogryz! Przesyła płatne zaproszenie i każe pobierać za szatnię z góry! – nie może darować Sowa.

– Pewno uważa, że dał ci dużo zarobić.

– Nic straconego, ja sobie tę płatną szatnię odbiję z nawiązką!

– Uważaj! On umie liczyć.

– Z pewnością. Chce mieć więcej, więcej i więcej, i jeszcze mercedesa.

Ostatnie pary polonezowego korowodu przekraczają otwarte na oścież dwuskrzydłowe białe i wyłoczone wrota. Szyk pęka, rozsypuje się na wszystkie strony w kierunku stolików ustawionych pod ścianami biało-złotostrukowej komnaty, która mimo tylu gości nie sprawia wrażenia przepełnionej.

Przyścienne kinkiety nad stolikami i niskie świece na blatach w kryształowych lichtarzach, umieszczonych na podstawkach wypełnionych wodą, kładą srebrzyste refleksy na adamaszek białych obrusów, cienką porcelanę, serwetki złożone w wachlarze.

– Kompromis ze strażą pożarną, bezpieczniejsze od kandelabrow z epoki – tłumaczy Sowa wyłom w stylu oświetlenia.

Przygasają trzy żyrandole zwisające ze stiukowych rozet na suficie, z poczwórnych kręgów świecówek palą się największe, ich blask rozszczepia światło we wszystkich kryształowych wisiorach ciętych w pryzmaty.

Orkiestra, zajmująca podwyższenie przy ścianie przeciwległej do biało-złotych drzwi, gra „Lekką Kawalerię”.

– Tu mogą śmiało lądować helikoptery – ocenia Bogna rozmiary sali. – Pewno niedługo będę musiała szukać nowego zajęcia.

– Dlaczego?

– Rottweiler zbankrutuje.

– Nie martw się. Młody pieniądz kocha pałace, nigdy ich nie miał i niewiele albo wcale oglądał od środka. A tu i nowocześnie, i z patyną – do wyboru, a przede wszystkim bogato i pałacowo. Do tego wygody. Wszystko nadziane elektroniką, od strychów po fundamenty. Nie masz pojęcia, jakie jest zapotrzebowanie na pałace, portrety przodków – kopiści nie nadążają z zamówieniami – starą, oczywiście rodzinną zastawę, srebra po pradziadach, meble po herbowych praszczurach...

– Proszę – stojący przy drzwiach jeden z trzech w perukach z harcapami i w niegdysiejszych frakach, nieruchomy jak statua, nagle ożywa, z ukłonem odbiera zaproszenia, wiedzie ich do owalnego stołu w kącie sali w pobliżu jednego z wejść.

Tu przyduje Rottweiler w wieńcu pracowników Hermes Zoo.

– Przepraszamy za spóźnienie – mówi Sowa. – Nie mogliśmy przebić się przez polonezowy korowód.

– Wy się znacie? – upewnia się Rottweiler.

– Od dziecka – oznajmia Sowa, zanim Bogna zdążyła otworzyć usta.

Rottweiler jest rozczarowany. Chciał się pochwalić przed Bogną zażyłością ze znanym marchandem, artystą z patentem Akademii, ekscentrykiem, wyrafinowanym znawcą sztuk pięknych. Tymczasem jego as atutowy przychodzi spóźniony, pod rękę z niedostudowaną plastyczką, którą miały rzucić na kolana koneksje dyrektora generalnego Hermes Zoo, i psuje mu cały występ.

Rottweiler na swój sposób lubi artystę i zupełnie nie rozumie, z jakiego powodu. Artysta jest droższy od najdroższego specja z innych – jego zdaniem – znacznie poważniejszych i pożyteczniejszych dziedzin – Artysta ssie kasę jak śródziemnomorska gąbka wodę, nie wyjmie rąk z kieszeni za mniej niż kilka tysięcy, aby na przykład, sięgnąć po lupę i obejrzeć za przeproszeniem, paznokcie albo ucho, albo nagniotek postaci wymalowanej na jakimś starociu. Taką operację nazywa atrybutowaniem, żeby brzmiało uczenie i było trudniej zgadnąć, o co właściwie chodzi, zamiast po ludzku powiedzieć, że w ów prosty sposób odróżnia prawdziwe od podrabianego.

– Przykro mi, miejsca przy stole macie oddzielne. Należało uprzedzić.

– Nic się nie stało. Jesteśmy z Bogną jak stare małżeństwo. Nie musimy zawsze siedzieć razem – zapewnia Sowa, nie dając Bognie dojść do głosu.

– Proszę! Rozgoście się. Nareszcie są wszyscy! – Rottweiler z naciskiem wymawia ostatnie słowo. Jeszcze niedawno za spóźnienie obsobaczyłyby każdego jak burą sukę, ale nie

po to ciężką kasę ładuje w specjalistę od bon tonu i image'u za naukę wdzięku, mowy ciała, dobrych manier, powściągliwości i panowania nad reakcjami, żeby teraz wyjść na buca niekontrolowanego.

Wszyscy! Zaczynając od szefa po najmniejszy plankton, wciąż w stanie gotowości, żeby nie przeoczyć swoich pięciu minut. Mówią im: – szansę mają najlepsi. Przyjmują do wiadomości. Wiedzą swoje: oprócz perfekcji zawodowej, decyduje spryt i bezwzględność. Oczywiście nie zaszkodzi łut szczęścia.

Czują się ważni. Dowartościowany jest nawet ostatni ciura, skoro zaproszono go do tego stołu na tej uroczystości. Wiadomo, reklama tworzy markę produktu, pracuje na jej rangę, a oni tworzą reklamę, *ergo*, dzięki ich kreacji powstaje nowa wartość.

Ewa, public-relations, towarzyszy ruchliwym wyrobnikom mediów, prezentując profesjonalizm, kształty modelki i minimalną sukienkę. Markowy łaśzek ledwo zakrywa stringi, jednocześnie eksponując kończyny o kształcie jak z najlepszych reklam szczątkowych majtek, przyrządów do depilacji, rajstop lub obuwia.

– Takich nóg to nie ma fatamorgana – komplementuje hipnotycznie zapatrzony poseł, znany z niezłomnych, katońskich tyrad o wartościach akademik, specjalista od życia płciowego pijawek śliniący się na widok – apage!... – kobiecego uda. Nie może oderwać wzroku od punktu, w którym rąbek kusej szatki dziewczyny prawie już-już odsłania, lecz jednak nie pokazuje tego, co fascynuje postać.

– Mówią o nim: nawiedzony.

– Nawiedzony?

– Między spowiednikiem a agencją towarzyską nawiedza sejm – objaśnia *besserwisser* znieściana jego nietaktem Dameę, która swego czasu, wożąc się odrzutowcem na koszt podatników, niosła krucjatę parlamentarną nawet do emiratów arabskich, gdzie nie uświadczysz ani jednego parlamentarzysty, ponieważ nie utrzymują tak kosztownego gremium. Z niewyjaśnionych powodów nie zaszczyciła Alaski ani Kamczatki. Niektórzy mają jej za złe pominięcie Eskimosów, ludów Bantu i nomadów Sahary. Ale zawsze, bez względu na klimat, trwała zapięta pod szyję i w spódnicy nie prowokującej wyobraźni mężczyzn.

Na sali pojawia się długopis, podobno płci żeńskiej, o głosie przepitego tenora, postrach politycznych niezgułów, przezywany Brzytwą. Nieco spóźniona aranżowała wielkie wejście, które jednak niezbyt się udało. Bezkompromisowa wobec wszystkich opcji poza własną, z marszu osacza Bardzo Bogatego Vipa z przeszłością. Jego mankament to wczesna młodość w służbie *ancient régime'u*.

– Mówią o panu... – Brzytwa we właściwym jej plotkarsko-prokuratorskim stylu, w formie pytania sugeruje brudne początki jego potężnej fortuny.

– Mówią o pani, że jest chirurgicznie przerobionym zapaśnikiem wagi ciężkiej, ale ja w to nie wierzę – paruje B.B. Vip z niejasnymi początkami kapitału, a po wymianie tych dworności uśmiechnięty, lekceważąc wszelką poprawność, mija Brzytwę jakby była pustym miejscem na posadzce z iluś tam gatunków drewna i dołącza do grupki, której przewodzi Autorytet.

Brzytwa na chwilę traci rozpęd.

Impertynencja B.B. Vipa w zależności od przekonań budzi zachwyt, niesmak, zgrozę, zazdrość. No, ten może sobie pozwolić na zlekceważenie najbardziej nawet jadowitego długopisu. Nie zabiega ani o mandat w jakichkolwiek władzach, ani o ministerialny fotel. Gdyby chciał, stać go nawet na kupno środków przekazu, dla jakich pracuje niezależna Brzytwa.

– Prawdziwa niepodległość – wzdycha polityczny embrion.

– Prawdziwa niepodległość nie istnieje – poucza apolityczny sceptyk, który znalazł się wśród zaproszonych nie wiadomo dlaczego.

Anonim nostalgicznie popatruje za postawną kobietą, która na drugim krańcu sali wznieca popłoch facetów, mających ambicje rządzić średniej wielkości państwem w środku Europy.

Anonim, jak wielu innych, kocha Brzytwę, i nienawidzi Brzytwy; jej napastliwe albo pudrowane odpytywania – w zależności od statusu ofiary – przysparzają rozgłosu, zdarza się, że wydobywają z magmy, kreują, utrwalają w pamięci społeczeństwa twarz i nazwisko, w taki czy inny sposób przydają rozgłosu wywiadywanemu.

Brzytwa, marszowym krokiem starego wiarusa, w opiętych spodniach z połyskliwej tkaniny, podkreślających długie nogi, nadciąga ku grupce do niedawna czynnych, aktualnie byłych politycznych osobistości.

– ... żył tylko dla siebie, umarł dla dobra Państwa, powiedział Maurepas o Fleury, z zawodu kardynale, swego czasu pierwszym ministrze Ludwika XV... – poraża erudycją Światowiec na widok klanu byłych.

– Przecież ten nasz, tutejszy, nie umarł! Wysiedział do ostatniej chwili kadencji, dopóki się nie skończyła...

– Raczej wykończyła! – z naciskiem na drugie słowo uściśla Ktoś.

– Oczywiście jest pewna różnica. Fizycznie facet żyje, politycznie martwy jak śnięty szprot.

– Hm, nowa jakość, nieboszczyk polityczny? – Anonim nostalgicznie spogląda za Brzytwą, boi się jej aroganckiej dezynwoltury i ponad wszystko pragnie wywiadu.

– Masochiści – diagnozuje Besserwisser.

– Kaczęta! – przystaje przy nich Wszystkowiedzący. Ona z zawodu jest specjalistką od rozróżniania płci ledwo wyklutych kaczych piskląt.

– Raczej wilczki z nieposkromionym apetytem – wzdycha wymownie Autorytet.

Kanapowiec – zapoznany, ukradkiem obserwuje Brzytwę i jak alkoholik wódki pragnie, żeby go zauważyła, ale ona przechodzi obok, jakby był tylko jeszcze jednym fotelem na wygiętych nóżkach i zatrzymuje się przy grupce młodych bez przeszłości, z przywilejem późnego urodzenia – jak powiedział kiedyś niemiecki polityk o swojej generacji.

Podano przystawki.

Ober stawia przed każdym miseczkę: połowa owocu awokado, w wydrążeniu po gniazdku kleks majonezu z krewetką. Na wszystkich stolach zaproszeniem płatnym i bezpłatnym serwują kawior, kraby, langusty i całą gamę owoców morza.

– Za pomyślność pracowników firmy, naszą wspólną rodzinę! – Rottweiler w jednym ręku trzyma kieliszek z polską wódką, która zrobiła światową karierę, odkąd Francuzi wykreowali butelkę i nabili w nią nie tylko okowitę, ale i polskich producentów.

– Plagiat. Żywcem zerznęte z Japończyków – Nowa, jeszcze nie znająca obyczajów przedsiębiorstwa – na integrującym przyjęciu jest po raz pierwszy – szemrze do swego sąsiada z lewej, ale opowieść dociera także do Bogny.

– Plagiat? – podchwytuje aspajer.

– Moja ciocia pracowała przez dziesięć lat u Japończyków... parkiety pastowane i froterowane, żadnych lakierów... – w tle brzmi głos Rottweilera.

– Niezła orkiestra – chwali Bardzo Ważny, spoza firmowej wspólnoty. Naciągnął z kieliszkiem szampana w ręku podawanym płatnym i gratisowym zaproszeniom.

– Niezła?! To są... pierwsze pulpity filharmonii! – nadyma się Rottweiler.

...dużą kasę brała ciocia, ale bez ubezpieczenia, taki warunek postawiły żółtki... terpentynowa zaprawa do parkietu... U Japończyków serwowano podobne kolacje, nie aż tak wystawne... pawiment z dwunastu gatunków drewna... z Tokio czasami przyjeżdżał ważny... dąb – brzost – jesion – dawał większe prezenty... mahoń – cis – heban...ciocia była jedną z trzech sekretarek na dalekopisach... na tej promocji dawali kosmetyki Heleny Rubinstein...nastała poczta elektroniczna – Internet – intranet... najważniejsze, nie kto zajmie więcej rynku, tylko kto więcej opanuje na stałe... wyrzucili bez wypowiedzenia dalekopisy i sekretarki, skończyła się firmowa rodzina, została czarna dziura zamiast dziesięciu lat wysługi

do emerytury... a drugi filar... prehistoria na samym początku transformacji systemu... wtedy jeszcze nie było filarów... brzoza karelska, jawor... nie ufam ludziom wciskającym kit o zakładowych rodzinach...

Bogna czarno widzi przyszłość Nowej, raczej prędzej niż później znajdzie się ogar, który zaaportuje opinię Rottweilerowi.

– ...przebrzmiałe żyć dla firmy, zabijać się dla firmy... W Ameryce zupełnie nowy trend: uczłowieczyć pracę. Praca nie może pożerać człowieka i odrzucać wyeksploatowany strzęp... Jest w tym humanistyczna racja...

– Też mi nowość! U nas już to przerabiano za czasów mojego ojca. Okazuje się, że byliśmy awangardą: czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy... znane hasło z socrealu...

– I zbankrutowałam...

– Zanim ten wtórny trend dotrze do nas, za takie gadanie zdążysz być ze trzy razy bezrobotny albo i posiwiejesz bez zajęcia, więc siedź cicho i nie rób za prymusa.

– ...Focus 1.8 dużo miejsca w środku... honda V-tec sto sześćdziesiąt koni... Astra... merc łatwy do prowadzenia, styl... Beema marzenie... mnie to już nie kręci... dynamiczny... Opel Omega... – nieustająca giełda rodzajów, zalet, sylwetki, wykończenia, rozstawu kół aut z całego świata.

– A pani jaki typ preferuje? – dwornie zaprasza do konwersacji account manager z branży samochodowej, który, oderwawszy się przed chwilą od stołu langust, zdążył pogratulować Rottweilerowi świetnej inwestycji, onże, dostawca pojazdów dla różnych potrzeb Pałacu i firmy.

– *Sedia gestatoria* – bez namysłu odpowiada Bogna, śmiertelnie znudzona motoryzacyjną epidemią, trawiącą zgromadzonych.

–?!... hm... tak... no, tak... – przystopował gość, gorączkowo szukając w pamięci serii, producenta, kształtu. Nic! Zna wszystkich i wie wszystko, wszystko i jeszcze więcej, o wszystkich liczących się markach i ich wytwórcach.

– Tego modelu niestety już nie produkują – Bogna skraca dyskomfort account menagera. – Wyszedł z użycia po pontyfikacie Pawła VI.

– Papamobile! – odgaduje bardzo z siebie rad licencjat zaocznej szkoły biznesu, z grupy młodych, zdolnych chartów Hermes Zoo.

– Lektyka. Nosiło ją dwunastu tragarzy z gwardii papieskiej.

– Dobry żart – oddech z ulgą account manager, ale ów dowcip wcale go nie bawi. Odczuwa przykrość i niechęć do tej, tej... erudytki.

Rottweiler puchnie z dumy. Proszę, jaki ma intelektualny personel.

Sedia gestatoria wydostaje się na sale i zaczyna żyć własnym życiem. Różne osobistości identyfikują sobie dupencję, która zapędziła w kozi róg bardzo ważnego menadżera z perspektywami na generalnego dyrektora. Różne Ważne Osobistości czują złośliwą uciechę z zakłopotania Ważnego z Widokami, na jeszcze Ważniejszego z Widnokręgiem, ale zapamiętują tej jakiejś plastyczce bez dyplomu, aktualnie studentce zaocznej uczelni zarządzania – usłudni już zdążyli puścić w obieg ściśle tajne *civi* obiektu zainteresowania – więc zapamiętują Bognie i niekoniecznie zaliczają erudycję na jej dobro.

Bogna wie, popełniła błąd.

Podano kurze skrzydełka w sosie miodowym i grzanki. Kredencarz serwuje wino.

– Châteauneuf du Pape, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty! – rozpromieniony Rottweiler zawiadamia specjalnym tonem, zarezerwowanym na najświetniejsze okazje.

To już prawie nie snobizm, pragnie jedynie pewności, że pracownicy wiedzą, czego za chwilę będą mieli po kropli w kieliszkach. Nie wierzy, aby jego przeważnie młody personel znał się na dobrych trunkach. Sam też się nie zna. Ale on ma kredencarza, jednego z najlepszych w mieście.

Natomiast większość jego drużyny, ci *aspajerzy*, wprawdzie posiadają już dobra świadczące o sukcesie: ubiory, perfumy i zegarki najmodniejszych firm, są klientami renomowanych wizażystów i salonów fryzjerskich, *hairdresserów*, jak ich nazywają, bo to im brzmi wytworniej, na urlopy jeżdżą za granicę i uważają się za establishment, ale przeważnie dopiero gromadzą oszczędności na własny kąt albo spłacają kredyty. I już nie starcza na markowe trunki za własne środki.

Pierwsze pulpity filharmonii grają „Pieśń Solveigi”.

– Grieg do kotleta – ostentacyjnie cierpi Sowa.

– Z ciebie też nielichy snob – uśmiecha się Bogna.

– Dlaczego też?! Ja jestem snob odrębny i niepowtarzalny.

Po Griegu zmiana nastroju. Zaczyna się *potpourri* z operetek.

– Bravo! Nareszcie odpowiedni podkład muzyczny do... – Sowa gestem zagarnia przestrzeń.

Rottweiler zdaje się nie odbierać ironii, promieniuje znakomitym samopoczuciem.

– Chodźmy zwiedzić bar – Sowa uprowadza Bognę. – I nie oglądaj się, *grand menago* patrzy za nami.

– Nie pomiataj tak moim Szefem, Sowa. To nie jest osoba wielkoduszna.

- Ja tu występuję na prawach błazna. Stańczyk dla nuworyszki.
- Czy aby mu trochę nie zazdrościsz?
- Bardzo możliwe...

Przy koniakach, bardzo Ważne, Mniej Ważne i Uważające się Za Ważne osobistości, w tym posłowie i senatorzy z różnych ugrupowań, politycy aktualni, *in spe*, oczekujący, gabinety cieni nawet najbledszych, przychodzą powinszować Rottweilerowi rozmachu, odwagi ekonomicznej, takiejż wyobraźni, nowych miejsc pracy, nadzwyczajnej inauguracji nadzwyczajnego pomysłu, wspaniałego wykonania niezwykłego kompleksu, odtworzenia zabytku.

Błyskają flesze, szumią kamery, dziennikazerką oblega osoby z pierwszych stron gazet.

19.

- Skandal... zmowa... spisek!...

Biurko, czarny blat wsparty na dwóch czarnych prostokątach, przestronne jak stół bilardowy, zalega sterta gazetowych wycinków. Na wszystkich Rottweiler, przeważnie w kolorze, zdarza się: czarno-biały. Z kieliszkiem w ręku, bez kieliszka, ściskający dłonie, otoczony lub na tle gości, prawie zawsze na pierwszym planie, ze znanym posłem, równie znanym politykiem, w grupie mniej lub bardziej, albo wcale nieznanymi twarzami: przemysłu, handlu, pieniądza (zwłaszcza bardzo nowego), prezesa tej, tamtej, jeszcze innej rady nadzorczej. Tu się trąca kieliszkiem z bankierem, tam przepija do ministra, ówdzie do partyjnego barona, do szarej eminencji takiego, śmiałego, owakiego ugrupowania, politycznej kanapy, recamiery, fotela, taboretu.

I tylko ta jedna, jedyna fotografia Bardzo Ważnej Osobistości, Super-Naj-Wielkiego Vipa, na której Rottweilerowi najbardziej zależało – wyłącznie ze względu na nią, jak mu się teraz wydaje, zorganizował owo kosztowne otwarcie pałacu – nie udało się. Owszem, obaj są na zdjęciu, ale postać Super-Naj-Wielkiego Vipa oko kamery uchwyciło z zupełnie niewłaściwej strony. Nierozpoznawalnej.

- Unikalne i spartaczone – załkał Rottweiler, oglądając owe Bardzo Ważne Super-Naj-Wielkie Tyły.
- Dokładnie – zgadza się public relations, Ewa, i wygląda jakby właśnie zeszła na

swoich reklamowych nogach z *cover*. Tak w sub narzeczu firmy Hermes Zoo zalanej niekoniecznie dobrze opanowaną angielszczyzną, określa się okładkowe zdjęcia w kolorowych pismach.

– Dokładnie, dokładnie... – przedrzeźnia szef Hermes Zoo.

Ewa prezentuje doskonale samopoczucie, chociaż odpowiada za wizerunek inauguracji pałacu.

– Po to ich poilem Remy Martin?! Żeby filmowali jego dupę? – biada nad kadrem uwidoczniającym obleczoną w czerń smokingu odwrotną stronę Super-Naj-Wielkiego Vipa.

Z przeciwka nad jego ramieniem wygląda część twarzy i grdyka z połową halsztuka szefa Hermes Zoo.

– Bez przesady, Rémy Martin dostali po sto gram – małodusznie wypomina Ewa.

– Kto?

– Dziennikażerka.

– I tego nie warci! To cenzura, zmowa!

– Jeszcze krótki z ciebie biz-smecz, żeby się opłaciło spiskować.

– Ewa, dla kogo pracujesz, dla gazeciarni?!

– Pytanie retoryczne. Ale lubię tę zblazowaną sfore! Najmniejszy procent dupków gałanckich, czyli średnia kretyniana jest w ich środowisku niższa od przeciętnej.

– Mnie nie obchodzą twoje opinie, tylko skąd takie... takie niewybredne chamstwo!

– Wybredne chamstwo nie istnieje – poucza Ewa.

– Mów na temat!

– Owszem, gazeciarnia potrafi być złośliwa, ale nie sędzę, żeby ich interesowały wyłącznie plecy Super-Naj-Wielkiego Vipa, na którym ci najbardziej zależy... Może nefotogeniczny, może przeszkodziła obstawa albo zwyczajnie, Vip nie życzył sobie z tobą zdjęcia. W dzienniku pokazali go od frontu, w całości i w zbliżeniu z różnymi profesorami... No, nie wiem, jaki mechanizm zadziałał.

– A wiesz, od czego jesteś i za co ci płacę?

– Za to! – dziewczyna potrząsa plikiem wycinków prasowych. – I jeszcze trzy minuty w głównym wydaniu, pięć w trzecim, powtórnie w pierwszym cztery minuty i po sześć minut w komercyjnych... – wylicza stacje telewizyjne i radiowe oraz dziewięćdziesiąt publikacji i wzmianek w pismach codziennych i ilustrowanych magazynach.

– Śmiecie – Rottweiler ostentacyjnie odsuwa wycinki. Jest niepokieszony, z ledwością powściąga złość.

– Facet wyraźnie nie chciał, a jeśli sam nie chciał, to na takiego nie ma siły. Żurnaliści

też nie samobójcy – dobija go Ewa.

– Jest wolność prasy.

– A jakże, jest. Tylko cenzurę podmieniły interesy koncernów.

– On nie mógł nie chcieć. Niemożliwe! – Rottweilerowi nie starcza wyobraźni na fakt, że ktoś może nie życzyć sobie wspólnej z nim fotografii.

– Robert! Przestań cierpieć, otwarcie pałacu raczej życzliwie i głośno odnotowały media, więc zajmij się ważniejszymi sprawami, jeśli nie chcesz wkurzyć Tatusia...

– Nie zasłaniaj się Tatusiem! Jeśli nadal będziesz paprała imaż firmy, wyrzucę! I żaden ojciec chrzestny ci nie pomoże!

– Przekazuję sugestię. Wyłącznie.

Ewa ma pozycję. Jest wykształcona, dobra profesjonalnie, poza tym asekurowana przez udziałowca, radcę prawnego i męża zaufania Hermes Zoo, przezywanego Tatusiem. Facet jest dwa razy starszy od dziewczyny, podobno oko i ucho Francuza, więc pohukiwania Rottweilera nie robią na Ewie szczególnego wrażenia.

– I jeszcze jedno, żeby było jasne! Niczego nie spałam, tylko ty nie chcesz przyjąć do wiadomości, że Super-Naj-Wielki Vip nie życzył sobie fotografii z tobą. Nie chciał, rozumiesz? Nie chciał! Twój pestiż, twoje pieniądze, twoja osoba i zwłaszcza firma są jeszcze zbyt świeże, za bardzo pachną... No właśnie, czym, jak myślisz?

– Spadaj!

– Panuj nad emocjami. Przy takich manierach nawet goryl Vipa będzie cię unikał – i, już z ręką na klamce uchylonych drzwi, dodaje – Tatuś pojechał do Zebrzydowic.

Wychodząc, mija się z Bogną.

– Czekam na ciebie.

– Właśnie jestem. Niezły plon! – chwali Bogna stos wycinków zalegających biurko.

– Szambo! – Rottweiler jednym ruchem zgarnia ów plon na podłogę. – Chcę z tobą porozmawiać – zawiadamia głosem uroczystym, zarezerwowanym na niezwykle okazje.

– Słucham?

– To nie jest odpowiednie miejsce na... Mam coś ekstra do powiedzenia, ściślej do zaproponowania... Właściwie propozycja...

Bogna zauważyła szczególnie ton niezwyklej u Rottweilera niepewności, zakłopotania, rezerwy?

– Chodźmy stąd, zresztą i tak już pora na lunch a ja muszę z tobą rozmówić się swobodnie, bez tych tutaj... – nieokreślony gest ręką... – Uuuch! Jak mnie wkurzyła ta wypukła flądra.

– Ewa?! Przesadzasz. Ona jest w porządku. Do tego bardzo efektowna dziewczyna.

– Uuu! Krówsko! Morena denna! Nie potrafi załatwić byle... publicity!

Na podjeździe czeka szary mercedes, szofer w szarej liberii i czapce ze srebrnym galonem otwiera przed nimi drzwiczki samochodu. Bogna rejestruje, że szef dorobił się już osobistego kierowcy oprócz Szambelana.

– Pałac – dysponuje Rottweiler.

– Nie lepiej gdzieś bliżej? Za rogiem jest zupełnie przyzwoity barek.

– Nie lepiej.

Wóz sunie bezszelestnie. Milczenie, Bogna czuje się nieswojo.

– A o tym barku Bogna, zapomnij! – przerywa ciszę Rottweiler – Od pracowników wymagam stylu i klasy! Warunek sinekwanon, więc żądam zachowania odpowiedniego poziomu również od wice mojej firmy, zwłaszcza wice nie powinna się wyłamywać, tylko przestrzegać, jak i inni, a właściwie jeszcze bardziej, paragrafów kontraktu. Zatem, tylko pierwszorzędne lokale, ubrania, gadzety i w ogóle. Zresztą wiesz dobrze, wszystko masz wyszczególnione w umowie identycznie jak i reszta personelu. I tylko ty olewasz warunki!

– Co masz do mojego ubrania?

– Nic. Jest super! Ale nie mówię o ubraniu tylko o całokształcie. W naszym *dress code* nie ma miejsca dla podrzędnej knajpy, istnej pozostałości *ancient régime'u*. Skończ z tym punktem zbiorowego żywienia. Wice firmy nie może dawać złego przykładu. Obowiązuje cię określony standard i nie masz prawa go lekceważyć, a twoja jadłodajnia nie jest *cool*.

– Jest czysta, gotuje smacznie i niedrogo.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz! Należymy do elity. Taka przynależność zobowiązuje.

– Ja należę do bohemy, a bohema nigdy nie liczy się z opinią żadnej elity, nawet własnej.

– Żądam dotrzymania warunków umowy.

– Załatwione. Możesz zawracać. Czy wieziesz mnie do pałacu, żeby to jeszcze raz powtórzyć?

– Wyglądam na głupka?!

Majordomus w stanisławowskim kostiumie wita Rottweilera u wrót krużganków, wiedzie do saloniku. Ogień na kominku, wysmukłe woskowe świece, jedyny w pomieszczeniu stół nakryty białym adamaszkiem, przygotowany na dwie osoby. Ze srebrnego wiaderka wystaje główka butelki. Przy nakryciach kieliszki na cienkich wysokich nóżkach nazywane kłosami. Kieliszki do szampana.

– Możesz odejść – Rottweiler gestem filmowych amantów z wyższych sfer odprawia

majordoma i sam otwiera butelkę. – Szampan marki Moët et Chandonne, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty – informuje bardzo z siebie rad, jakby osobiście jemu zawdzięczało owo wino swój wiek i renomę.

– Z jakiego powodu bankietujemy? – Bogna upija łyk i odsuwa kieliszek.

– Śmiało, do dna. To jeden z najprzedniejszych na świecie bąbelkowców.

– Czekaj mnie pilna robota.

– Od zaraz może nie czekać.

– Nie rozumiem – mówi spokojnie Bogna, chociaż tamto zabrzmiało niepokojąco, dotychczas nie słyszała o wyrzuceniu z pracy przy markowym szampanie.

– Proponuję... – zawsze pewny siebie Rottweiler stracił rozpęd. Zamilkł, wychylił kieliszek. Napelnił. Napój przelał się przez wrąb, spłynął pienistą strużką na nieskazitelny obrus. – Kurde! – strzelił palcami.

Bezszelestnie zmateriałizował się majordomus. Zmienił serwetę, ustawił nowe nakrycia i znikł jak się pojawił.

– Przepraszam za zamieszanie... O miłości mówić nie umiem. Podobasz mi się. Potrzebuję takiej kobiety jak ty! Reasumując, chcę się z tobą ożenić – kończy kwestię już pewny siebie, tonem jakby mianował Bognę na etat żony.

Zaskoczona Bogna powściąga panikę.

– Chciałem ci złożyć propozycję tutaj, wtedy na inauguracji, bardziej uroczyście i w ogóle... Ale sama widziałaś, jaki mieliśmy młyn. Nie było okazji ani nastroju... No i przyprowadziłaś się z artystą.

– ... ja... ja nie nadaję się do małżeństwa – jąka zaskoczona Bogna, po odzyskaniu mowy.

– Nie bój się, żadnych garów, żadnej kuchni. Umieję docenić kobitkę na poziomie, z klasą...

– Mam dorastającą córkę.

– Bez przesady. Podfruwajka. Ale to żadna przeszkoda. Będziesz ją mogła posłać do każdej szkoły na świecie, do najlepszej z najlepszych. Stać mnie! Na każdy ekskluzywny koleż.

– Obok siebie masz młodsze i ładniejsze.

– Jak bym chciał młodszą i ładniejszą, poszedłbym obejrzeć casting u znajomych reżyserów albo złożył ofertę w biurze matrymonialnym. Ale JA wybrałem ciebie!

– Dlaczego mnie? – chwila słabości, krótka jak mgnienie, długa jak wieczność: własne mieszkanie, wiano, tak się owo świadczenie dawno, dawno temu nazywało. Na wykształcenie

Ulki łoży ojciec Ulki i nigdy by się nie zgodził i miałby rację, aby opłacał je mężczyzna Bogny... Ale pewna suma na własnym koncie i oczywiście nadal praca. Ten mężczyzna potrafi zapewnić bezpieczeństwo socjalne, ten mężczyzna to nadęty, zarozumiały cham, ten mężczyzna doszedł do fortuny własną pracą, ten mężczyzna nie jest wiarygodny... Nad czym ja się zastanawiam?! Nad ceną?! To przecież niemożliwe znosić tego troglodytę opakowanego w garnitur od Kenzo, jego pychę, prostactwo, nuworyszostwo i... co zrobić z nocami?

– Jesteś... jesteś elegancka, znasz się na sztuce, na modzie, na tych tam... manierach. Jesteś *cool* pod każdym względem... *Sedia gestatoria!* Erudytko.

– Nie mam dyplomu i pochodzę ze wsi – odstrasza Bogna.

– A ja z osady na linii do Wołomina. I co z tego? Mam napisane na czole? I czym osada gorsza od Warszawy? Nie mam dyplomów i nie zamierzam mieć. Mam olej w głowie, i teraz jestem stąd! Biznesmen. Mam firmę, prawdziwy pałac, dużą kasę i wciąż będę miał więcej.

– Nie nadaję się do pałacu.

– Ja też nie. I nie mam zamiaru tu mieszkać. Też coś! Wyglądam na jełopa, aparata, kasztana, modela? Mieszkać?! W życiu! To rozrywka dla znudzonych bogactwem aferzystów, łapówkarzy, milionerów i snobów, taka sama jak inne. Zespół hotelowo-rekreacyjno-sportowo-konferencyjno-rozrywkowy. Pięć w jednym, można powiedzieć. Czysta lokata.

– Już raz to zrobiłam... Wysłałam za mąż za cenę spokojnego życia, którego nie miałam... Jestem po bardzo nieudanym małżeństwie.

– Także jestem po przejściach. Ale z tobą chciałbym być parą... Moja żona zajęłaby się reprezentacją, oczywiście układ partnerski, przed ślubem notarialnie poświadczony rozdział majątkowy, każdy ma tyle, ile wniesie i ile później wypracuje.

– Robert, doceniam twoją propozycję, ale...

– Ani słowa więcej. Pozwól, bez pośpiechu, oswoj się z ofertą, skalkuluj. Rozważ za i przeciw. Ja poczekam. Umiem czekać. I nie będę miał pretensji, jeśli powiesz: – nie! I nic się z tego powodu nie zmieni w naszym układzie zawodowym.

Po dwóch tygodniach Rottweiler wstępuje do Bogny z jakąś teczką w rękę, teczką-pretexstem, wnosi dyskretną woń bardzo dobrej wody toaletowej, prezentuje kosztowny garnitur marki Brioni – oczywiście nie brązowy, brąz w tym środowisku jest na indeksie dobrego smaku aż do odwołania – koszulę Abercrombie, krawat w cenie powyżej średniej emerytury i ręcznie szyte pantofle Prady. Na przegubie Jaeger LeCoultre z białego złota, z

brylantami zamiast cyfr – płaski jak malowane zegary Salvatora Dali.

Zasiada w fotelu i dynda nogą założoną na drugą nogę, prezentując jedwabne skarpetki od Caruttiego, jeszcze jednej firmy naj... i powtarza matrymonialną ofertę, nie nadużywając słów.

– Namyśliłaś się?

– Doceniam twoją propozycję, Robert. I bardzo mi przykro, ale nie zmieniałam zdania.

Jak i poprzednio nie wyznawał jej uczuć, nie demonstrował zauroczenia. Wyglądało jakby to był jeszcze jeden kontrakt handlowy.

– Dlaczego? Co mi brakuje?! W czym jestem gorszy od tego... powiedzmy akademika, co pojechał dorobić się w Stanach? Owszem, on ma tytuł, ale ja mam kasę, jakiej ten gośćco razem ze swoimi tytułami nie zarobi nawet za sto lat!

Bogna milczy. Oczywiście wiedzy o akademiku Rottweiler nie wyczytał ze służbowego civi. A więc szperał w jej przeszłości, gromadził plotki.

Zachować spokój – nakazuje sobie Bogna – nie wolno powiedzieć głośno, co o Rottweilerze myśli – żadnych ekstrawagancji – musi znieść niewybredne metody tego chama. Niewola! Ale ta niewola ma walor własnego dachu nad głową w niedalekiej przyszłości.

– Nie jesteś ani gorszy, ani lepszy, ale ja nie wybieram się za mąż za żadnego z was – mówi opanowana Bogna i tylko ona wie, ile ją to opanowanie kosztuje.

Czeka na zakończenie. Wyrzuci ją ze skutkiem natychmiastowym czy później. Do zwolnienia z pracy potrzebny jest inny pretekst niż niespełnione oczekiwanie matrymonialne. Bogna w kontrakcie ma zawarowaną dwunastomiesięczną odprawę. Rottweiler umie liczyć. Ona sama nie odejdzie. Musi oszczędzić na własne mieszkanie. I żadnych kredytów. Bogna ma zakodowaną niechęć do uzależnienia od pożyczek. Teraz jednak traci grunt. Wprawdzie w banku saldo dodatnie ale daleko jeszcze do wystarczającej sumy.

– ... Wiem... jestem trochę nieokrzesany, znam swoje braki. Nie chciałem cię urazić... Widzisz, zanim postawię człowieka na poważnym stanowisku, muszę o nim wiedzieć dużo więcej niż zawiera jego civi. A tak w ogóle bardzo cię cenię, Bogna. I... uznajmy sprawę za niebyłą, zachowajmy dyskrecję i... pozostajmy przyjaciółmi.

– Oczywiście – Bogna mimo ulgi odczuwa dyskomfort. Nieprzewidziane awanse australopiteka i przykrość wyrządzoną przez jego wywiadowczą pasję musi wrzucić w kosza.

Wieczorem posłaniec z kwaciarni przynosi Bognie pięćdziesiąt herbacianych róż na metrowych łądogach i bilecik: Od szefa dla Wice.

– Uau, Matka! Na kim znowu wywarłaś aż takie wrażenie?!

– Czy nieartykułowane okrzyki także są wprawkami z angielskiego?

- Nie są, więc kto znowu padł ci do stóp?
- Nikt. Łapówka od klienta firmy – improwizuje Bogna. Przezornie zniszczyła wizytówkę z podpisem: szczerze oddany i z autografem Rottweilera.

20.

Bogna wchodzi do gabinetu i nieruchomieje. Przy jej narożnym biurku z nadstawką rozsiadł się Rottweiler i dynda nogą założoną na drugą. Widać nawyk jest silniejszy od talentów i mocy oddziaływania rozreklamowanego specja od imażu. Ale to także znak, że generalny dyrektor jest czymś bardzo zaabsorbowany lub obmyśla najnowsze przedsięwzięcie. Tylko dlaczego właśnie tutaj?

– Spóźniłam się? – na ściennym czasomierzu duża wskazówka nie dosięgnęła jeszcze dwunastej, mała dotyka dziewiątej, Hermes Zoo zaczyna swój dzień.

O ten zegar stoczyła małą wojnę. Nie chciała elektronicznego ze skaczącymi cyframi punktującymi jej życie. Ten z tarczą odejmował je godniej.

– Nie jesteś byle gemajnem i nie musisz się denerwować o jakieś minuty. W końcu od czego są telefony i inne środki łączności? Ale dobrze że jesteś, mamy pewną delikatną sprawę.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Siadaj – ustępuje miejsca przed komputerem – zajrzyj w dane ostatniej dostawy.

Bogna spełnia polecenie. Wybiera hasło dostępu do informacji. Ekran wyświetla SAD-0113, nadawca Hermes Zoo Lyon, adresat Hermes Zoo Warszawa Towarowa, wytwórnia Izabelin, dziewięć wagonów kontenerowych, ilość pojemników w kontenerach – brak... przesyłka numer... – waga – rodzaj towaru: pulpa poliestrowa Syntex... artykuł sypki: granulata Stella... Więc jeszcze raz powtarza hasło dostępu, ale po transportach z Dusseldorfu i Lintzu nie ma śladu.

Bogna czuje wzrok Rottweilera na swoich bezradnych dłoniach i zimny pot na plecach.

Uczucie technicznego zapóźnienia ęmi pod skórą mimo przystosowania do obowiązków i najnowocześniejszych biurowych urządzeń. Są wprowadzane przez Bognę oswojone, jednak wciąż jeszcze trochę obce, nie zastane przez nią jak pomoce prostsze, znane

od zawsze. Tych nie zastanych, uczyła się od abece pod presją utknięcia na zawsze w przeszłości, która jeszcze nie tak dawno była jej dniem dzisiejszym. Teraz podejrzewa, że incydent ze znikającymi dostawami to sprawdzian jej kwalifikacji wymyślony przez Rottweilera. I dopiero po chwili uświadamia sobie, że przed chwilą on mówił o dostawie, nie o dostawach.

– Albo komputer jest zamknięty dodatkowym hasłem dostępu, którego nie znam, albo uszkodzony!

– Komputery marki Hewlett-Packard-Canpaq z oprogramowaniem Gatesa są niezawodne – nadyma się Rottweiler.

Bogna zaczyna pojmować w czym sedno. I rozpaczliwie pragnie się mylić.

– Uśpiłem maklerów w Lintzu i Dusseldorfu.

– Co znaczy ten... neologizm?

– Transporty z Lintzu i Dusseldorfu musieliśmy przesunąć w czasie. Ich jeszcze u nas nie ma.

– Zniszczyłeś dokumentację?!

– Retusz. Zamiana pliku. Po wyjeździe kontrolera z Lyonu powróci na właściwe miejsce.

Bogna milczy, nie wie jak zareagować. O kontrolerze z Lyonu słyszy po raz pierwszy. Dotarło do niej to: musieliśmy. Nie ma wątpliwości Rottweiler nie mówi o sobie *pluralis majestatis*, tylko podkreśla współnictwo z Bogną.

– ...niespodziewanie, zresztą to ich metoda działania, zwałił się nam na kark audytor Francuza i legł na aktach. Norma. Tacy wysłannicy nigdy nie uprzedzają. No więc jest i przeżuwa papiery, taśmy, twarde dyski. Wszystkożerny. Kret od weryfikacji dokumentów.

– Nie rozumiem – broni się Bogna. Nie chce przyjąć do wiadomości nagle ujawnionego współnictwa w bardzo niejasnej sprawie.

– Proste jak obręcz! Opóźnimy zgłoszenie transakcji z Dusseldorfem i Lintzem. Tylko tyle. W stosownym czasie wróci na właściwe miejsce.

– Nie istniejące surowce nie zbilansują się z produktem finalnym – mówi Bogna i łapie się na tym, że wystraszona w odruchu samoobrony próbuje pomagać w matactwie. A więc tak się grzęźnie – uświadamia sobie z przerażeniem.

– Na rozliczenie podwykonawców mamy sześć miesięcy, wtedy wszystko zagra jak Sarasati na bębnie.

Bogna tłumi panikę. Strach sięgnął mi do pięt – pośród natłoku myśli, przewija się gdzieś przeczytane zdanie.

– Zabieg prosty, a przysporzy korzyści nie tylko firmie, także szerzej pojętej gospodarce – damy zatrudnienie w rejonach strukturalnego bezrobocia – i niczego nie odbiera urzędowi skarbowemu, nie zagraża też dobru Francuza. Nie mogę nic urwać, nawet gdybym chciał. Podwykonawcy mają w gminach numery ewidencyjne, Nip, konto bankowe... Powtarzam, manewr chwilowy, jedynie na okres pobytu w naszej agencji kontrolera z Lyonu.

– Z jakiego powodu ukryłeś przed Francuzem właśnie te dwie dostawy?

– Ponieważ olałem pewną regułę... Po prostu nie mogłem się zastosować do zbyt sztywnego wymogu. Kalka z Francji nie przystaje do naszych realiów, naszej kulawej, chaotycznej, wciąż fatalnie zorganizowanej, zbiurokratyzowanej gospodarki, korupcjogennych albo durnych przepisów, pazernych polityków, nigdy nie nażartych pierdzistołków wszelkiego autoramentu, począwszy od najwyższych po oddźwiernego.

Bogna jeszcze się broni przed pewnością, że tym bełkotem ulepionym z gazetowych sloganów, Rottweiler maskuje coś groźnego i z siebie tylko wiadomych powodów, z pewnością niepoczciwych, stara się odwlec obnażenie jakiegoś niewyobrażalnego przeważa, w którym od dawna zaplanował jej obecność.

– ... funkcjonujemy w diametralnie odmiennych warunkach, gdybym się trzymał ściśle litery kontraktu dawno ogłosiłbym bankructwo. Różnica jest drobna: Francuz siedzi w Lyonie, w firmie z tradycją od kilku pokoleń, ja bez antenatów w branży oraz bez ich kapitału robię na niestabilnym rynku i oprócz kreta Francuza mam na karku audytorów swojskiego chowu, gotowych z człowieka ściągnąć ostatnie gacie albo zapędzić do kryminału. Obłaskawienie takiego trwa długo, a współpraca krótko, ponieważ często ich tasują. Do tego są bardzo kosztowni, zatem stają się opłacalni dla firm dopiero przy obrocie sumami przynajmniej z potrójnym szlaczkiem zer.

Bogna odczuwa wciąż wzrastający ciężar swoich podpisów na dokumentach, zwłaszcza tych, nomen omen, z numerem SAD-0113.

– Gospodarka w ogóle to imperium, ma własnych szpiegów, informatorów, przecieki, oceny wydolności, prognozy rozwoju albo obsuwy. Towar. Nieustający, podskórny ranking określa wartość. Nasza agenda podlega takim samym prawidłom, próbom infiltracji, rozszyfrowania tajemnicy sukcesu, ściągnięcia w dół...

Bognie coraz bardziej nieswojo. Milczy. Nie chce nawet zauważyć głośno, że te wiadomości posiadała w pierwszym semestrze swojej szkoły, ale gdzieś na marginesie świadomości, mimo woli, powstaje rodzaj podziwu dla faceta, który w niespełna dziesięć lat podniósł się z łóżeczka rozstawianego na Placu Defilad i przesiadł za biurko generalnego

dyrektora firmy, której akcje są notowane na giełdzie, dorobił się możliwych znajomych, partnerów handlowych o ugruntowanej opinii, nawet przyjaciół wśród klasy politycznej.

– Deklasy – deprecjonują rangę złośliwcy, zawistni i inne śledzienniki. Tak przynajmniej twierdzi Deklasa.

Tylko jakie interesy łączą szefa agencji francuskiej spółki reklamowej z pewnymi posłami i wysoko postawionymi ludźmi w administracji państwa i tak zwanych służb?

Interesują ich pudełka albo tubki lub flakony takie, siakie, owakie – do balsamów, mleczek oraz różnych innych pielęgnacyjnych kitów i hitów kosmetycznych – wytwarzane z pulpy Syntex albo granulatu Stella, surowców skupowanych od maklerów z różnych stron świata?

To pytanie Bogna zadaje sobie po raz pierwszy, dotychczas wszystko wydawało się zwyczajne i oczywiste.

– ... zwłoka w poinformowaniu, raczej zawiadomieniu Lyonu o korzystnym nabyciu surowców, to odstępstwo, powiedziałbym, rutynowe. W handlu jak na wojnie, zwycięzców się nie sędzi, zwycięzców się nagradza! I jeszcze raz podkreślam, nikt na tym nie straci, przeciwnie, wszyscy zainteresowani zyskają, a te transporty umieścimy w następnym raporcie – zapewnia Rottweiler.

– Nie nadążam... Dlaczego musisz, powiedzmy, ukryć faktyczny stan rzeczy, ściśle: zakup surowców w określonym czasie od konkretnych firm, przed audytorem Francuza?

– Ponieważ Francuz kategorycznie i na piśmie – w kontrakcie widnieje jednoznaczna klauzula – zakazuje dyrektorowi Hermes Zoo w Warszawie, czyli mnie, układów z pośrednikami – w tym przypadku dotyczy to domów maklerskich z Dusseldorfu i Lintzu – dopóki dokładnego oszacowania ich aktywów i wiarygodności, oczywiście autorstwa wywiadowni o uznanej renomie, nie przedstawię do akceptu centrali w Lyonie.

Kontraktu na piśmie pomiędzy Francuzem a Rottweilerem, Bogna nigdy nie widziała. Coraz wyraźniej odczuwa niebezpieczeństwo. Usiłuje dociec, gdzie ukrywa się najgroźniejsze w potoku branżowego żargonu Rottweilera.

– ...zasięgnięcie informacji o kontrahencie należy powierzyć wyspecjalizowanej instytucji i żądać odpowiedzi na pytanie o: wypłacalność, kredyt bankowy, ogólną kondycję przedsiębiorstwa, jego wartość i pasywa, no i o tak zwany pierwiastek ludzki. Owszem, zleciłem wywiad, ale nie mogłem pozwolić, aby tak korzystny zakup przeszedł nam koło nosa, przez jeden, jedyny sztywny punkt w umowie z konserwatywnym żabojadem. On obraca miliardami i może czekać długo na opinie o ewentualnych dostawcach. Ja nie! Reasumując, nie mam jeszcze ustaleń o tych maklerach, natomiast otrzymałem towar super,

po bardzo korzystnej cenie i na świetnych warunkach spłaty.

– Sądzę, że Francuz ma możliwości zbadania kondycji każdego przedsiębiorstwa?

– Oczywiście. Stać go na usługi najbardziej precyzyjnych kartotek, dysponujących porównywalnym z rentgenowskim obrazem stanem interesującej go firmy. Dotyczy to potentatów przy wielkich transakcjach. W takich przypadkach materiały dostarcza skoordynowany układ Kazbis. Za przynależność do Kazbis płaci się stały abonament, co nie zwalnia od oddzielnej taryfy, należnej za każde zlecenie.

– A jeśli Francuz mimo wszystko będzie miał wątpliwości i postanowi sprawdzić tych... twoich maklerów, mimo oceny wybranej przez ciebie wywiadowni?

– Na tym poziomie pewnych rzeczy się nie robi. I to jest właśnie taka rzecz. Ostentacyjny brak zaufania byłby jednoznaczny z moją dymisją i olbrzymią odprawą, niewykluczone byłyby też roszczenia sądowe za podważenie reputacji obrażonej wywiadowni. Poza tym firmy, z jakimi my handlujemy, nie figurują w katalogu Kazbis. Dla nich są to płatki, nie warte zachodu. Oczywiście w razie konieczności także i my, teoretycznie, możemy mieć dostęp do Kazbis. Wolno nam przedstawić wniosek. Ostatnie słowo należy do Francuza. Ale to raczej ciekawostka... zoologiczna. Francuz ma węża w kieszeni i nie zleci wywiadowni Kazbisa transakcji poniżej wielu zer po przecinku.

O Francuzie, jego bogactwie, skapstwie, humorach, dziwactwach opowiadano sobie w Hermes Zoo różne rzeczy. Nikt nie widział szefa nad szefami, Bognie przez ponad rok pracy w Hermes Zoo, w tym kilka miesięcy wicedyrektorowania, także nie zdarzyła się okazja ujrzenia Nababa. Kontakt z nim miał tylko Rottweiler i główny księgowy. Nie jest jednak wiadome, czy i ich Francuz zaszczycił chociaż raz osobiście, a nie wyłącznie przez pełnomocników.

Teraz Bogna wątpi, czy ów Francuz w ogóle istnieje w takiej postaci, w jakiej go przedstawiano. Bardzo możliwe, jest to wielka figura, dekoracja, z za której działa podobny Rottweiler, tylko zagraniczny.

Sabi zawiadamia przez intranet, że na Bognę czeka interesant, który zapowiedział się kartą wizytową jeszcze poprzedniego dnia.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – żegna ją Rottweiler, promieniując doskonałym nastrojem.

Bogna schodzi na parter do salonu recepcyjnego.

Pod ekspresem do kawy czeka młody mężczyzna w powłóczystej jesionce do kostek. Widzi Bognę pierwszy raz w życiu i bierze za hostessę.

Mercz – ocenia Bogna. Handlowiec. Ze trzy tysiące pensji brutto, służbowy wóz,

prawdopodobnie jakaś premia od większych transakcji i pragnienie awansu. Jeszcze lepsza jesionka, jeszcze lepsza teczka, jeszcze lepszy samochód, najlepiej z szoferem.

Hermes Zoo nie ma hostess, w razie potrzeby wynajmuje je i płaci od godziny. Bogny jednak nie można pomylić z młodą dziewczyną. Uroda Bogny jest urodą dojrzałej kobiety. Pomijając wszystko inne, ona także, jak i pozostali pracownicy, nosi przypiętą do gorsu wizytówkę ze swoim nazwiskiem i funkcją. Bogna wie, to świadome *faux pas*, komplement opakowany w zamierzoną niezręczność.

– Proszę do mnie.

Rzeczywistość jest taka, jaką widzą ją ludzie – przychodzi na myśl pierwsze przykazanie socjologii, przyswojone wśród wielu innych z dziedziny Adama z powodu Adama.

Z powodu, ponieważ nigdy nie porwała jej owa dyscyplina nauki, tylko bardzo chciała poznać, czym żyje najbliższy mężczyzna. Niezupełnie zdając sobie sprawę, szukała tam wyjaśnienia swojej upartej, trudnej miłości, ale nie znalazła. Wyniosła jednak z tych peregrynacji pewien kapitał intelektualny, który procentuje.

Jak ją, Bognę, postrzega młody Mercz?

Jako zadbaną urzędniczkę w nieśmiertelnej garsonce, niewiele różniącą się od tej najpierwszej, zaprojektowanej przez Coco Chanel, w urzędowym mundurze pracujących kobiet, w dobranych kolorach pantoflach. W żadnym razie nie jako młodą dziewczynę, tylko zastępczynię generalnego dyrektora, którą trzeba przychylnie usposobić. I, mimo niezbyt czystych intencji młodego mężczyzny, schlebia jej komplement, ponieważ zawiera pewną prawdę. Bogna wciąż jest bardzo atrakcyjną kobietą.

– ... ceny promocyjne, dostawy loco skład...

Mercz jest przystojny, szykowny, udekorowany drogą aktówką z koźlącej skóry zamykaną na szyfrowy zamek, przedmiot, który stanowi nieoficjalny, zwodniczy wyznacznik rangi posiadacza owego akcesorium, podobnie jak ubranie w angielskim stylu z wigoniowego szewiotu, buty od Gucciego, krawat od Yves St. Laurenta, na przegubie platynowy Piaget.

– Czym większe zamówienie, tym większy rabat oczywiście – zapewnia, otwierając swoją świetną teczkę.

Bogna przeczuwa pośrednika szczególnego rodzaju. Nastawiony na szybki zysk, proponuje wszystko wszystkim, często uczestniczy w sprzedaży dóbr nieznanego pochodzenia, podejrzanego gatunku.

– Najwyższy standard – Mercz wyciąga próbki.

– Jeśli dojdzie do ustaleń, surowiec zbada laboratorium.

– Jak pani to sobie wyobraża?

– Zwyczajnie. Pobranie materiału z całej dostawy.

Bogna już zdobyła pewną wiedzę o gatunkach i właściwościach surowców, z jakich powstają eleganckie, wysmakowane opakowania w Izabelinie pod czujnym okiem fachowca z dwoma doktoratami i amerykańską praktyką. Izabelin ma zastrzeżoną wyłączność na przesyłki z Lyonu. Kontrakt zabrania korzystania z usług innych dostawców. Podwykonawcy nie wybredzają, ale Bogna od nikogo nie wzięłaby towaru bez sprawdzenia jakości.

Nie?

I nagle przypomnienie: przedrana godzina. Telefon od Rottweilera gdzieś z trasy na lotnisko... aromat kawy... deszcz spływający po szybach, za którymi jeszcze nie wyklął się dzień...

– Nasi austriacy i niemieccy maklerzy skupują surowce na aukcjach... Brak cykliczności i uregulowanego kalendarza przesyłek...

... dwadzieścia dwa wagony kontenerowe z Niemiec, dwadzieścia z Austrii... transport numer... przez Zebrzydowice, transport numer... przez Zgorzelec SAD: tylko przewóz, przekazówka celna Warszawa Towarowa.

I dotkliwa świadomość: nigdy nie zlecono, a ona nie zażądała badania próbek z transportów kierowanych do podwykonawców... Za jakość dostawy surowców na rampę wytwórni w Izabelinie odpowiadał technolog-chemik.

21.

Siewki starsze od Ulki podszyte berberysem, czarnym bzem, cukrową różą i zdziczałymi jak one niewiadomej nazwy krzewami, kryją porośle mchem nagrobki starych drzew, zmurszałe pnie, w które zapada stopa, burząc światy utajone w próchnie.

Pośród tego rozgardiaszu trwa gdzieniegdzie dąb o spękanej korze, gładkoscóry grab, cienista lipa, rówieśni tamtych poległych, teraz już tylko karpy, trawione rozkładem, wciąż jeszcze żywiące młode pędy.

Kłębowisko roślin walczących o życie rzędzie, ścieżka wspina się i zanika na wierzchołku łagodnego wzniesienia, u zarysu fundamentów. Ani kawałka ciosu czy cegły nie wystaje nad ziemią, szczyrzą się jedynie odkryte piwniczne komory, bujające trawami, zamieszkałe przez spłoszone teraz jaszczurki.

Nieudana wyprawa w czas przeszły?

Od przystanku autobusowego Ulka ruszyła na przełaj przez ugory po dworskich sadach i warzywnikach, przez zdziczały park. Dalej napotkała rozległy majdan z czworobokiem zabudowań bez wrót, z resztkami nagich krokwi, sterczących jak żebra przedpotopowych gadów, i ruin nowszych, po państwowym gospodarstwie rolnym, w różnych stadiach rozpadu.

Na otoczonej tym rumowiskiem wolnej przestrzeni po zaprzestanych i przeszłych gumnach stary mężczyzna pasie krowę. Jeden koniec sznura oplata rogi zwierzęcia, drugi wyschnięte, żylaste przedramię człowieka i nie bardzo wiadomo, kto kim powoduje.

Ulka pyta o drogę do Koronowa.

– ... zmarnowali, wszystko zmarnowali – stary zatacza ręką krąg – a teraz wyprzedają za bezcen i kamień na kamieniu nie zostanie... Stodoła po spółdzielni produkcyjnej, chlewnia po opasach indywidualnych, kurniki po brolierach, bierzcie sprawy w swoje ręce... Koszar po owcach złodziejskiej spółki, roszarnia po monokulturach lnu, konopi, olejarnia po rzepaku, odłogi po wszystkim... I tak ćwiczyła na naszych grzbietach najprzód ludowa z nazwy władza, swoje nieuctwo, nieumiejętność włodarzenia i własną chciwość, a nowa, co miała być lepsza od bywszej, dożywociem w biedzie nas i nasze pokolenia pokarała i teraz namyśla się: oddać pociotkom dawnego półpanka, sprzedać czy w inakszy sposób zdołować, bo ludzi pegeerowskich już zdołowała... A do Koronowa w tamtą stronę... Zawrócić musi przez debrę po dworskim parku, minie ślady masztami po stajniach i boksach dla cugantów.

Ulka znowu przemyka ledwo przetartą ścieżką wśród kolczastych zarośli, wspina się na wzniesienie z jamami po piwnicach, skąd aleja porośniętych mchem spróchniałych karp po niegdysiejszych drzewach wyprowadza ją na lokalny trakt.

Trochę wzruszona, przejęta smutkiem otoczenia i bardzo rozczarowana, przystaje u zarania młodości prababki Marty. Zamarła przestrzeń broni do niej dostępu. Ulka schodzi przeciwnym skłonem pochyłości, szlakiem znaczonego z obu stron szerniałymi pniami.

Grabowa aleja – odgaduje drogę z oszczędnych wspomnień babki. I ta kaleka droga wyprowadza ją na trakt.

Maszerującą skrajem dziewczynę mija podfatygowany traktor, ciągnie dwukółkę z nadwoziem obudowanym ściankami z metalowych prętów, zwalnia, wydalając kłęby czarnego dymu, zawodząc i brzęcząc.

– Do Koronowa? – Ulka nie jest pewna, czy akurat w Koronowie-wsi znajdzie ślad Marty, skoro Koronowo-dwór przestało istnieć. Ponieważ jednak zdarzyła się podwoda,

postanowiła skorzystać. Nie ma sensu wracać do szosy przez chaszcze i odłogi, którą przyszła.

– Na wnuki czy na dziady?

Ulka uśmiecha się niepewnie. Nie rozumie tego, jak sądzi, dowcipu.

– Proszę do nas – żona w sukience z wzorzystego szyfonu na połyskliwym podbiciu dobranym barwą do tła zwiewnej tkaniny, w lakierkach i przezroczystych czarnych pończochach przesuwa ażurowe drzwiczki i Ulka wskakuje do środka.

– Pewno panna nawet nie widziała takiego merca, co? Na co dzień służy do transportu zwierząt, w niedzielę jako pojazd reprezentacyjny. Rodzinę na sumę wożę – niby żartem, jednak z nutą goryczy mówi mężczyzna wychylony znad kierownicy.

– Widziałam jeszcze starsze. Ważne, że się toczy. I bardzo dziękuję za pomoc.

– Po drodze. Z kościoła wracamy.

Młoda kobieta przesuwa się ku starszej w białej bluzce i granatowej spódnicy, na wolne miejsce zaprasza Ulkę.

– A czyjaś ty, nie poznaję, tyle teraz koronowskich po świecie? – przypatruje się Ulce starsza.

– Nie mam tutaj rodziny. Chciałam obejrzeć dwór.

– Et, po zabudowaniach już tylko zwietrzałe fundamenty – z westchnieniem mówi synowa.

– Dlaczego aż takie zniszczenie? – nie może pogodzić się Ulka.

– W wojnę dwór Niemcy spalili jak przed Ruskimi odstępowali. Co jaka cegła zdarna została, ludzie na piece rozebrali, bo wieś od ostrzału też pożar strawił. Ocalały, mocno poharatane, dworskie gumna. Później pegeer połatał... i jakoś żyli.

– Najpierw była spółdzielnia produkcyjna. Ja tamtego czasu nie pamiętam, ale starsi mają go w kościach – wtrąca synowa.

– Kołchoz. Wszystkie lenie i kombinatory z okolicy się zbiegli. Co poniektórzy swoje morgi na rodzinę przepisali i tam wstąpili z jednym krowim ogonem, zeszkapiałym koniem albo i bez niczego... Władza w nich jak w durszlak dotacje pchała. Ale to była otchłań bez dna. Przebalowali wszystko. I z pokazu wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną wyszły same straty, no to przerobili ich na państwowe gospodarstwo i znowu jakoś było. Jakoś! – mówi starsza.

– Państwowego nasze pegeerusy tak samo nie szanowały i dalej każdy, co tylko mógł, do siebie ciągnął, bo państwowe jakby trochę niczyje.

– Pegeer się skończył i zostało całkiem niczyje.

– A teraz już się sukcesorzy z zagranicy ruszyli. Przyjechali, popatrzeli, popatrzeli i odjechali – mówi synowa.

– Krewni właściciela. Piąta woda po kisielu, ale będą odszkodowania dochodzić. Nam za spalone sadyby, zryte pociskami pola, miny rozdzierające ludzi i zwierzęta nikt nigdy żadnej odpłaty nie dał. Najpierw Niemiec łupił, czego nie zdążył, Ruski wziął, później swoi zdzierali. Przymusowe dostawy dla państwa...

– Teraz nie lepiej, tylko inaczej. Plonów sprzedać nie ma komu, a podatki mordercze. Małe gospodarstwa ledwo zipią, ale podworską ziemię jak nie stryjeczno-wujeczni pociotkowie półpanka, to kto inny weźmie, tylko nie my – wtrącił mężczyzna.

– Po inspekcji sukcesorów zjechał cudzoziemiec. Potomek jakiegoś zbiega, który się na folwarku w wojnę przytulił i przetrwał, udając przygłupa niemowę, bo biegle był w wyrobie pięknej upręży, zwłaszcza dla koni wierzchowych – powiedziała matka.

– A niedawno Niemca przyniosło. Po wsi poszła pantoflowa poczta: wykupi! Majątek i ruiny! Ale mamie nikt nie przetłumaczy, że cudzoziemcom jeszcze dobrych kilka lat nie sprzedadzą takiego areалу.

– Poddzierżawi przez tyle czasu, ile władze wyznaczą, poddzierżawi, później zawładnie przez zasiedzenie albo inną śrubę wykręca! Nie takie wynalazki nasza gmina potrafi! Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze świat się podli...

– Akurat ten Niemiec nie za kupnem ściągnał, tylko wywiadywał się o *Verwaltera*.

– *Verwalter* to taki Niemiec, co w wojnę majątkiem rządził – objaśnia teściowa. – Nie powiem, włodarzyć umiał, a jak na okupanta i wroga mógłby trafić się gorszy. Nikogo nie zabił, nawet do obozu nie posłał. Ale ordnung i prawo wojenne, i patrzył na człowieka jak przez pustkę. Nawet nie krzyczał, po co mu było. Gardła szkodował. Od wrzasku i batożenia miał podręcznych, jak tylko szpicrutą skinął, a i takich, co z oczu pańskich życzenia odgadywali... Gospodarz był z niego rządny, trzeba przyznać, choć przykro. Ale my z tych pożytków mieliśmy tylko głodowe przydziały. Oprócz pańszczyzny we dworze, własną ziemię musieliśmy uprawiać, zasiać, zebrać i... cały plon zdać. W zamian kartki żywnościowe. Żeby na tych kartkach nie skąpieć, człowiek sam u siebie ukraść musiał. Chociaż za złapanie na tej niby-kradzieży groził obóz albo i kara śmierci.

– A poniektórzy tak się przyuczyli, że do dzisiaj już w trzecim pokoleniu nie mogą przestać – zauważa synowa.

– Bardzo niepocziwy żart, bardzo! My braliśmy nam rabowane, żeby przetrwać, a i tak połowa moich rówieśnych na suchoty wymarła.

– Mamo, ten Niemiec to chłopiec jeszcze i nikomu tutaj niczego nie mógł odebrać.

– Prawda. Wojować tu nie mógł, jak dwór palili, jego jeszcze na świecie długo nie było. I pewno nawet nie zdaje sobie sprawy, że jest potomkiem morderców...

– Mamo, tak nie można, bo nigdy się narody ze sobą nie pojednają.

– Pewno, ciebie po gębie nie bili za snopek żyta wzięty z własnego pola i garść... Et! Co tu mówić. Oby was to nigdy nie spotkało.

– ... z początku z nikim się ten Niemiec nie mógł dogadać. Nasi młodzi, wykształceni, po świecie. Niewykształceni też po świecie, na saksach, a starzy znają tylko wojenny niemiecki.

– ... *halt, ordnung, schnell arbeit, polen banditen, schweine polen, wirtschaft polen, achtung, rauss...* – przypomina starsza z kobiet. – A ciebie, dziewczyno, co tutaj przywiodło?

– Dwór. Chciałabym porozmawiać z kimś, kto pracował na folwarku podczas wojny.

– Pamięci po kim bliskim szukasz?

– Nie. Piszę pracę dyplomową – bez namysłu kłamie Ulka i nie zastanawia, dlaczego ukryła właściwy podwód.

– Nauka? Tylko do Pawliny. To taka nasza koronowska Siłaczka – błysnęła erudycją młodsza z kobiet. – Tego Niemca ludzie zaprowadzili do Pawliny. Ona we wczesnej młodości we dworze pracowała. Później, po studiach, jedna jedyna wróciła, najpierw była kierowniczką szkoły, potem, jak ją stamtąd wygryźli, objęła powiatową kiedyś, po zmianie administracyjnej gminną, bibliotekę. Teraz wójt zdołał wykroić pół etatu. Pawlina powiada, ja mam rentę, bierzcie młodą, niech ma chociaż tę połówkę, ja społecznie pomogę. Taka ta nasza Pawlina. Ona najlepiej pamięta tamte czasy i porozmawiać elegancko potrafi, nawet po angielsku.

– Pójdzie panna tamtą drogą.

Wyjaśnia się pytanie gospodarza, które Ulce wydało się niezrozumiałym żartem. Najstarszą część osiedla miejscowi nazywają Dziady, najnowszą Wnuki. Młodsze Koronowo rozsiadłe przy trakcie łączy z Dziadami polna droga. Pawlina mieszka na Dziadach.

– Jak zobaczy pordzewiałe dachy, znaczy się wsiowi renciści, tak potomkowie splecają trybut...

– Ależ mamo – błagalnie przerywa synowa. – Numer siódmy.

– Numer dawno rdza zżarła, nie ma komu zadbać o nowy, dzieci po miastach, po zagranicach, a nawet na bezrobociu czasu dla matek i babek nie mają – skarży się teściowa.

Na Dziadach domów niewiele, ale większość pod takimi dachami i ta większość w pewien sposób do siebie podobna. Oprócz skorodowanej blachy poszycia, wszystkie mniej lub więcej zaniedbane, pochylone, albo krzywe jak przygarbione plecy ich mieszkańców. I zarosłe trawą podwórka. I puste budy po psach stoją.

– ...łącznie czterdzieści kontenerów granulatu Stella i pulpy poliestrowej Syntex, zniknęły... niemal w mojej obecności...

– Proszę o precyzję. Co znaczy: niemal?

– Uśpiłem dostawców z Lintzu i Dusseldorfu... – powtarza Bogna powód usunięcia przez Rottweilera danych o transakcji. Wszelkie informacje wyeliminowano z dysków twardej stacji roboczych w pionie finansowo-księgowym i gospodarki materiałowej, wyczyszczono serwer.

– Kopie?

– W firmie Hermes Zoo nie obowiązuje procedura tworzenia kopii zapasowych... Poza tym Rottweiler ma uprawnienia administratora systemu informatycznego. Według nowej dokumentacji obie dostawy to: dwa wagony z zawartością tyłu i tyłu opakowań trwałych, czyli kontenerów po dwadzieścia pięć kilogramów netto każdy.

– Coraz lepiej! Kobietko, jesteś piękna, atrakcyjna, podobasz się mężczyznom, ale nie do tego stopnia, żeby jakiś wzbogacony na łajdactwach białoskarpetny dawał ci stanowisko za popatrzenie w twoje doskonale zrobione oczy. Należało użyć szarej substancji, którą nosisz pod fryzem!

– Już lepiej wpaść w szambo niż prosić ciebie o pomoc, Magdaleno – paruje cios Bogna, żeby się nie rozplakać ze wstydu, upokorzenia, strachu, z bezradności. Z nostalgią przypomina sobie wykadzanie knajp po socrealu w pierwszej firmie Sowy.

– Przepraszam. Czyli nie masz żadnej możliwości udowodnienia, że obecny zapis na dysku, dotyczący dwóch dostaw surowców wyekspediowanych przez firmę maklerską z Dusseldorfu i Lintzu, jest niezgodny ze stanem faktycznym?

– Nie mam.

– Jeśli pliki nie zostały zniszczone tylko wykasowano z nich informacje, jest szansa przywrócenia, w każdym razie odczytania poprzedniej wersji, pomimo naniesienia zupełnie innej. Tak zwany cień na dysku. Policja ma swoje sposoby. Usunięty tekst można odtworzyć.

– Nie będzie żadnego odtwarzania! Ja z tym nigdzie nie pójdę. Z moim udziałem czy bez, przewał nie ujrzy światła dziennego. Rottweiler potrafiłby unieszkodliwić mnie bezobjawowo. Wszędzie ma moźnych przyjaciół i jak mawia – w jego rozumieniu ma to być pyszny żart – nigdy nie płaci czekiem, zawsze gotówką.

– W swojej praktyce jeszcze nie spotkałam podobnego przekrętu, ale czemu nie?

Wszystko możliwe, zwłaszcza wśród nuworyszy handlowo-polityczno-patriotyczno-biesiadnych. Mutanci genetyczni, ruch rąk wyłącznie ksobny.

– Rottweilera z polityką nic nie łączy, on tylko ma bardzo wpływowych przyjaciół, z prawa, lewa i pośrodku. Niedawno szalał z wściekłości, ponieważ nie udało się zdjęcie z Super-Naj-Wielkim-Vipem w bliskim tle. Prawie płakał, oglądając w gazetach i telewizjach wyłącznie Najdostojniejsze Tyły. Fragment klapy własnego fraka widoczny nad ramieniem Supernajwielkiego – z postury raczej średniaka – był jednak zbyt nikłym świadectwem zażyłości z Osobistością.

– Znają się?

– Być może na jakimś spotkaniu z luminarzami biznesu nawet podał mu rękę.

– Wracając do rzeczy, czy jest możliwe, powiedzmy, pomylenie symboli transportu z inną dostawą?

– Raczej teoretycznie.

W pierwszym odruchu Bogna chciała skonfrontować dokumenty, będące w gestii głównego księgowego, z zapisem, jaki zastąpił poprzedni, na monitorze jej Hewlett-Packarda. Zawahała się. Nie. Najpierw do Rottweilera i zastygła z ręką na klamce. Nie. Moment paralizującej paniki. Kryzys. Wrażenie stąpania nad głębią po samej krawędzi.

– Opowiedz wszystko po kolei, każdy szczegół, nawet jeśli tobie wydaje się mało albo zupełnie nieistotny – Magdalena włącza dyktafon.

Bogna znowu przeżywa tamte, teraz najdłuższe godziny w życiu. Trzecia nad ranem. Telefoniczne polecenie Rottweilera z drogi na lotnisko. Towarzyszy mu główny księgowy.

Biuro.

Niedospana Bogna z syndromem porannej katastrofy i omnipotenta Sabi, świeża jak pierwiosnek. Zapach parzonej kawy. Deszcz spływający grubymi kroplami po panoramicznych szybach. Szambelan gotów na skinienie w beemie szefa.

– Masz jakiś dowód, że Rottweiler i księgowy na pewno musieli właśnie w czasie nadejścia tych przesyłek polecieć do Lyonu?

– Nie mam. Fakt. Z trojga uprawnionych do sygnowania dokumentów przewozowych na miejscu pozostałam tylko ja...

– Oni cię wystawili na pokwitowanie właśnie tych dostaw! Co naprawdę zawierał ów ładunek, pod szyldem pulpy i granulatu, że urządzili się w taki sposób, abyś ty potwierdziła odbiór swoim podpisem? A Izabelin?

– Także ja. Technolog, kawaler dwojga doktoratów, podpisuje tylko przyjęcie surowca.

- Może odrzucić?
- Oczywiście, jeśli nie odpowiada jakością.
- Zdarzyło się, żeby kiedyś zakwestionował?
- Nie.

Izabelin. Dziewięć wagonów kontenerowych z Lyonu toczących się z górki rozrządowej na bocznice, należącą do wytwórni. Wyładunek na rampie. Dystans, rezerwa, chłodna uprzejmość technologa.

– ... zakład w Izabelinie otrzymuje surowiec wyłącznie z Lyonu. To firma matka w określonych stosunkach handlowych i produkcyjnych z agendą Rottweilera. Tak, tylko z Lyonu!

– Teraz to sobie uświadomiłaś?

– Teraz wydaje mi się znaczące. Dotychczas było zwyczajne. Opakowania, zwłaszcza dla bardzo eleganckich, markowych kosmetyków, odbierał Lyon. U nas robocizna jest nieporównywalnie tańsza. Tam, u siebie, wyrób nobilitował Francuz i Francuz zastrzegł własny znak produkcyjny i własne surowce. Także szczegółowe wytyczne kształtów i parametrów dyktował Lyon. Nasi pomysłowi i utalentowani fachowcy nie często mieli okazję coś poprawić, zmienić lub ulepszyć w zamówieniach Francuza.

– Kto otrzymywał surowce z Lintzu i Dusseldorfu?

– Podwykonawcy.

– Ilu jest podwykonawców, w jakich strukturach?

– Zarejestrowane są trzy firmy, łącznie około czterdziestu pracowników...

– Kontener na jednego? Tytani pracy.

– Możliwe, że drugie tyle ukrywają przed urzędem skarbowym. W każdym razie na konto tych wytwórni księgowano surowce z Dusseldorfu i Lintzu, odpowiednio pomniejszając ich ilości w dokumentach, jak to miało miejsce w moim przypadku.

– Jak częste były dostawy od tych maklerów?

– Nie wiem.

– Przy ilu jest twój podpis?

– Przy dwóch. Lintz i Dusseldorf. Obie w jednym czasie, do różnych punktów docelowych na Ścianie Wschodniej. Adresów więcej niż zarejestrowanych podwykonawców. Jednocześnie ładunek z Lyonu dla podwarszawskiej manufaktury.

– Trzy małe zakłady przerabiały olbrzymie ilości surowca?

– Zatrudniają także chałupników, którzy biorą maszyny w leasing. Ich produkcja idzie tylko na kraj. Tyle wiem. Podwykonawców osobiście dozoruje szef. Nie zastanawiałam się

nad wyzyskiem czy, powiedzmy, nieprawidłowościami fiskalnymi. To jego działka. Nie miałam zamiaru zbawiać świata akurat w firmie Rottweilera, a jego wychowywać na społecznika. Późne wnuki doktora Judyma tłuką kasę albo głodują.

– Gorzej. Wymarły bezpotomnie.

– Są. Budują szklane domy różnym Rottweilerom... Ale też nie dałam zgody na udział w oszustwach. Prawda, bardzo starałam się utrzymać w firmie. A niespodziewany awans wydał się darem losu. Fakt. Oszło mi. Podniósł samoocenę. Lecz starałam się sprostać zadaniu i czułam dłużnikiem tego, tego... troglodyty. Teraz odnoszę wrażenie, że w tym oszustwie tkwi jeszcze jakieś drugie dno, a może wcale nie ostatnie, ukrywające inne matryoszki.

– Wracajmy do ekwilibrystyki komputerowej.

– Najpierw wszystko zniknęło na czas pobytu i, jak twierdził Rottweiler, jedynie z powodu audytora Francuza. To znaczy wszelki ślad po transakcjach i dostawach z Dusseldorfu i Lintzu... Powróciło po kilkunastu dniach, tylko przecinki przesunęły się o parę miejsc do przodu i pogubiły parę zer. Oczywiście sumy wymienione słownie także okazały się odpowiednie do zmodyfikowanych liczb. Wszystko pasowało. Produkt finalny z poprawioną ilością surowca, przewidziane normą ubytki, odrzuty, zgadza się idealnie.

– Dawid Copperfield mógłby u twojego szefa brać korepetycje. Rozmawiałaś w firmie z kimś na ten temat?

– Nie.

– Gdzie i kto przechowuje dokumenty spisane na papierze. W tym przypadku zwłaszcza SAD-0113.

– Główny księgowy w kasie pancерnej odpornej na ogień, potop, substancje żrące, trzęsienie ziemi.

– Kto odpowiada za zapasowe klucze?

– Mąż zaufania. Udziałowiec. Doradca prawny firmy. Wszystko w jednym. Ksywa: Tatus... – przypomina się Boginie nazwa: Zebrzydowice, wymieniona ze złością przez Pi-ar Ewę, faworytę Tatusia, kiedy z ręką na klamce uchylonych drzwi, przeciwstawiła się niezadowoleniu Rottweilera z pokłosa jej starań. Nie mógł jej darować Najdostojniejszych Tyłów Super-Naj-Wielkiego-Vipa zamiast jego najdostojniejszego oblicza obok własnej facjaty.

– Jak dawno był audytor Francuza?

– Minęło kilka tygodni.

– Widziałaś go, wiesz, jak się nazywa?

- Nie. Rottweiler go nie pokazał.
- Czy ten audytor na pewno istniał, na pewno badał dokumenty?
- Już nic nie wiem na pewno.
- Bogna, twoje umiejętności w dziedzinie, powiedzmy, zarządzania są bardzo świeże, niepełne...
 - Ale kontenery, wagony, odróżniam od innych opakowań trwałych, produkt finalny od surowca...
 - Prymitywny przekręt. Prymitywny i bezwzględny. Facet upatrzył sobie kobietkę samotną z dzieckiem, ufną i niekompetentną, dopiero z marszu zdobywającą ostrogi. Łatwy łup. Dlatego dostałaś to stanowisko.
 - Taki przekręt może starczyć na raz.
 - Może starczyć na wiele razy. Już w tym siedzisz. Mocna podstawa do szantażu. Trafny wybór. Kobieta bez doświadczenia handlowego, bez mieszkania i bez żadnego oparcia w tle. Zanim się zorientuje, jak sądzono, będzie tkwić w tym gównie po uszy i grzecznie sygnować, co jej podsuną. Jeśli się w końcu połapie w czym rzecz, dostanie jeszcze więcej pieniędzy i nadal będzie dyspozycyjna. Albo sama zrozumie, co w niczym nie zmieni jej uzależnienia.
 - Dziękuję za ocenę.
 - Próbuję spojrzeć na ciebie z pozycji tego kanibala. W tej sytuacji nawet średniej klasy adwokat potrafi dowieść, że słabo rozróżniasz kontener od wagonu kontenerowego.
 - Niemożliwe, żeby Rottweiler był aż tak nielojalny.
 - Niby dlaczego?
 - On... proponował mi małżeństwo.
 - O... kurwa! To jest kurwa majestatica! Wyrażenie podziwu a nawet zachwytu, według Franciszka Starowieyskiego.
 - Magda, mnie nie do śmiechu.
 - W jaki sposób złożył ofertę, przyszedł do biura i zaproponował etat żony?
 - Gorzej... – Bogna duka o szampanie Moët Chandonne w kameralnym saloniku. – Kłamał, czarował, zagadywał rzeczywistość?
 - Wykalkulował, że mu się opłaca zakontraktowanie właśnie ciebie.
 - Aż takie wyrachowanie?
 - Niekoniecznie. Jesteś kobietą atrakcyjną. Może jego wyliczeniom towarzyszyć fascynacja, pociąg, uznanie dla własnego gustu.
 - Nie pocieszaj, ale jak można...

– Można. Mentalność. W jego świecie wartości wszystko da się pogodzić. Prawdopodobnie należy do osobników nie rozróżniających dobra i zła. Dobro znaczy wszystko, co dobre dla nich, złe – co dla nich niekorzystne. I nie interesują ich niuanse. Tak zwana przyzwoitość stanowi pojęcie abstrakcyjne. Ostatnie doniesienia medycyny wskazują na braki w głowie. Bodaj w płatach czołowych, a może skroniowych mamy zakodowane: moralność, etykę, miłość, w ogóle uczucia wyższe, czyli całą lepszą część człowieka. Bardzo możliwe, że taki detal u twojego szefa nie istnieje.

– Wrodzone inwalidztwo moralne?

– Osobnicy aspołeczni. Groźni dla jednostki i zbiorowości. Niewykluczone, że w niedalekiej przyszłości zajmą się nimi psychiatrzy albo zupełnie nowa gałąź nauki. Na razie obowiązuje kodeks karny.

– Wariackie papiery są w obiegu od dawna.

– Na zasadzie innej diagnozy. Jak tobie układało się z Sabi?

– Bez nieporozumień i bez zażyłości. Inna generacja, inna mentalność, poza tym jest świetną asystentką z pamięcią komputera najnowszej generacji.

– I taka doskonałość trawi perfekcję na rzecz prymitywa i aferzysty?

– Praktyka i pieniądze. Duże pieniądze. Za to mówi oraz prowadzi korespondencję w trzech językach. Osobisty dolmeczner Rottweilera. Dyspozycyjna. Taktowna. Umie dyskretnie poprawić lub zatuszować *faux pas* szefa. Z niezrównanym wdziękiem podać coś do picia, negocjować i prowadzić błyskotliwą konwersację o niczym. Skarb!

– Przy odbiorze dokumentów na Warszawie Towarowej mogła ci podsunąć do podpisu coś innego niż przeczytałaś?

– Głównóg jest super, ale nie prestidigitator.

– Właśnie. Młoda. Atrakcyjna. Z praktyką. Perfekcjonistka. Coraz bardziej niezastąpiona. I nagle dystansuje ją kto? Jakaś przybłęda. Starsza od niej, gorzej przygotowana zawodowo, gorzej ustawiona materialnie, to znaczy bardziej wyposzczona, bardziej niecierpliwa i zdeterminowana...

– Ona ma bank w głowie. Dla niej nie stanowią zagrożenia i ona o tym wie.

– Chcesz zawłaszczyć faceta z mercedesem, chałupą pod lasem, pałacem za lasem i świetnie prosperującą firmą, nie wspominając już o zasobach w trezorach po świecie. Mogła się wkurzyć? I podsunąć szefowi pomysł jako jego własną kombinację handlową, która przyniesie krocie, a przy okazji przepłoszy konkurencję, która ucieknie z firmy, o czym Rottweiler, uczciwy inaczej, pewno nawet nie pomyślał.

– O ofercie matrymonialnej Rottweilera ona nic nie wie.

– Sama mówisz, że jest bardzo inteligentna. I wciąż w pobliżu tej kasy na dwóch nogach. Zauważy wszystko, tkwiąc przy obiekcie dniami i nocami.

– Nic mi nie wiadomo o nocach.

– Skąd. Jesteś ponad. Tobie nawet nie wiadomo, co podpisujesz. Sedno tkwi w SAD-0113.

– Kopie powinna mieć Pekape, spreparowane są w moim komputerze, oryginały u Rottweilera. Pytanie, które prawdziwe, które sfalszowane?

– Wniosek? Firma Rottweilera prowadzi podwójną księgowość. Dokumenty mają sobowtóry, które w przewidzianych okolicznościach ujawnia się, ale nie wprost, osobie do tej roli przeznaczonej i po raz pierwszy uwikłanej. Teraz twój ruch. Oczekują reakcji. Milcząco zaakceptujesz narzuconą formę współpracy, zażadasz wyjaśnień, czy zaczniesz się szarpać w sieci wiązanej z faktów dokonanych – podsumowała Magdalena.

– W czasach dla nas prehistorycznych, gazety, zwłaszcza popołudniówki, sygnował swoim nazwiskiem redaktor odpowiedzialny. Wymagana jedyna kwalifikacja: umiejętność podpisu. Potocznie nazywany redaktorem od kozy czyli aresztu. Facet odsiadywał wyroki za przegrane przez pismo procesy o zniesławienie. Mnie mianowano dyrektorem od kozy.

– Odejdź stamtąd, każdy pretekst dobry.

Muszę najpierw wiedzieć, dlaczego z dokumentów znikają wagony załadowane nie wiadomo czym – ale o tym postanowieniu Magdalenie nie mówi.

23.

– Dwór? Jaki tam dwór.

Pawlina odmawia posiadłości rangi, prezentując amatorską fotografię w kolorze sepii. Klasycyzujący parterowy budynek pod dachówką rozsiadły na planie prostokąta. Mansardy, tympanon, kolumny przed frontonem, na schodku chuda dziewczyna w jasnej sukience z chudą kobietą w zapasce z samodziału i chustce na głowie. Przed nimi przyklęknął chudy chłopiec.

– Matka, brat i ja. Miałam wtedy czternaście lat – uśmiecha się siwa Pawlina do dawnej siebie.

– Wygląda jak prawdziwy dwór. Czego mu brakowało? – nie rozumie Ulka

– Patyny. Prawdziwy to stare gniazdo z pokoleniami w minionym czasie. A toto

zbudowano za pamięci mojego ojca na początku dwudziestego wieku, dla kogoś, kto u schyłku poprzedniego stulecia szybko i nieczysto dorobił się na dostawach dla armii pruskiej. Mój ród dawniejszy od tamtych z pałacu. Swoich na mogiłkach znam do siódmego pokolenia, a w księgach metrykalnych i dalej. My u tego państwa nie służyliśmy. Dopiero w wojnę, na przymusie, całą rodziną poszliśmy na folwark. A spróbowalibyśmy nie!

– Dawano lepsze warunki?

– Jakie tam lepsze. Każdy, kto skończył czternaście lat, podlegał obowiązkowi. Za odmowę obóz. A kto w dobrym zajęciu nie był zakotwiony, ten w pierwszej kolejności trafiał na brankę do Rzeszy.

– Co znaczyło dobre zajęcie?

– Produkcja dla armii. U nas także zadekretowano Rzeszę. Ale ludzie woleli już znaną, koronowską, od targu niewolników w jakiejś Meklemburgii. Wprawdzie i tutaj nie było lekko, mimo to chętni się garnęli. Wzięcie miał folwark nie tylko u miejscowych. Jednych podziemne organizacje przysyłały na przechowanie, inni płacili łapówki, żeby się zaczepić i dostać mocny dokument. Ale wtedy na majątku nie było naszych półpanków, rządził *Verwalter*.

– Kim był *Verwalter*?

– Niemiecki komisarz z doktorskim patentem, miał zdaje się ze dwadzieścia lat.

– Doktor od czego?

– Tak go tytułowano. Wtedy nie miałam pojęcia o stopniach naukowych. Doktor kojarzył się wyłącznie z medycyną.

– Dwadzieścia? To w jakim wieku zrobił doktorat, geniusz?! – docieka Ulka.

– Podobno niezwykajnie zdolny, z bogatej rodziny, może nie zdążył zdobyć dyplomu, a tytułowano go tak grzecznościowo. Władupstwo nie dzisiaj wymyślono.

– Co mógł nakazać?

– Wszystko. Interesowały go rośliny oleiste. Uprawiał doświadczalny zagon... Później nawet jego przydupniki ukradkiem pukały się w czoło. Front o rzut kamieniem, a *Verwalter* dalej jakby nigdy nic z oleistymi praktykuje, zamiast o własnej skórze pomyśleć.

– Na mózg mu padło?

– Nie. On to robił, odkąd nastał, nad niezależnym od ropy paliwem się biedził. Wprawdzie wtedy Niemcy parli do przodu jak burza, jednak jakieś gremium myślało o alternatywie dla nieprzebranych zasobów na Kaukazie, dokąd nigdy ich armia nie dotarła. I pod koniec tej krwawej łaźni paliwa brakowało. Starsi pamiętają dychawiczne ciężarówki z kominami, popychane do przodu gazem drzewnym.

– Jak się nazywał?

– Lothar Henryk Weber.

– Nosił wąsy i pikelhubę? – plecie Ulka, byle wypełnić nagłą ciszę wewnątrz siebie. Waha się, czy postawić następny krok w przeszłość, ale już nie jest w stanie zawrócić. Przecież dlatego tu przyjechała. Jednak nie z powodu komisarza Lothara Henryka Webera, doktora nauk nie wiadomo jakich, który ją nic nie obchodzi. Tylko to imię. Zwykła zbieżność. Nawet nie pierwsze, tylko drugie.

– Pikelhauby? Złe wspomnienie, ale minionej generacji.

– Głupi żart. Ciekawe jak wyglądał taki mensch superstar. Bezbarwny? Wymoczek? Krótkowzroczny?

Ulka wyposaża Lothara Henryka także w mankament, który jej osobiście najbardziej dopiekl, i sugeruje powierzchowność inną niż Henryk z portretu; Ulce, zgodnie z przewidywaniami okulisty, poprawił się wzrok. Szkieł może potrzebować dopiero na starość. Starość Ulki jest tak odległa, aż nieprawdopodobna nawet dla Bogny, wiedzącej już o przemijaniu.

– Dalekowzroczny?

– Ani okularnik, ani blondyn ze świńskimi rzęsami, ani różowy i piegowaty, jak wtedy jeden z żandarmów posterunku w Koronowie. Był smagły i czarny. Podobno tacy są Niemcy z południa. Mówiono, że pochodził z Bawarii. Niejedna dziewczyna za nim popatrzyła.

– A on?

– Obojętność doskonała, gładka jak diament. Z pozycji pana może w ogóle nas nie widział, byliśmy jednolitą magmą, kiedy przemierzał pola na deresz. Przystawał i słuchał raportu administratora. Niżsi rangą podzarządcy przypominali ukleje. Wolno im było dawać głos – podobnie jak łaciatemu wyżłowi, który zawsze biegł za koniem – tylko na żądanie. Zresztą ile znali z jego języka? W większości kilka słów. Bariery, bariery, bariery z obu stron. Dystans pana uzurpatora, najeźdźcy, wroga, jego wykształcenie, nasza nędza, nasze zapóźnienie cywilizacyjne, nasza sytuacja w ogóle. Koronowskie dziewczyny zabiedzone, nieobyte, zastraszone. No i już matki, ciotki, sąsiadki dobrze pilnowały żeby młódki jak najmniej podobne były do kobiet.

– Dlaczego, skoro was nie dostrzegął?

– Dla wyrobnic z pola, chlewni czy gorzelni był odległy jak faraon. Sprawował rządy absolutne przez administratora, on odpowiadał za zarządców działów i tak dalej. Każdy, pełniący jakąś funkcję, rozliczał się tylko przed starszym nad sobą, każdy z nich miał prawie nieograniczoną władzę nad podległymi. I tak aż do pastucha, który przewodził zwierzętom,

ale mógł jeszcze kopnąć psa, oczywiście bezpańskiego, nie psa kogoś postawionego wyżej, broń Boże czworonoga komisarza.

– Więc kto czytał na koronowskie dziewczyny?

– Ci mężczyźni postawieni nad innymi. Od nich nie odgradzała bariera języka ani głęboko zakodowane pojęcia, wróg czy okupant, ani nie groziło ostrzyżenie do skóry, powszechna kara za zadawanie się, tu egzekwowana przez braci, kuzynów, znajomych i nieznajomych, należących do takiej lub owakiej organizacji i bez organizacji, obojętne, czy dziewczyna tutejsza czy przyjezdna.

– Barbarzyństwo. Nie dosyć wojny, jeszcze przemoc rodaków? Do diabła z patriotyzmem wspieranym maszynką do golenia.

– Jesteś z innego czasu.

– Ale nie z Marsa. W tamtym też byłabym taka sama.

– Rezonujesz z głębi niedoświadczenia. Najłatwiej umieszczać się w czasie przeszłym. A człowiek dowiaduje się o sobie dopiero gdy staje z określonym problemem twarzą w twarz... Jedna dziewczyna złamała wszystkie tabu. Zresztą oboje je złamali. *Verwalter* i pokojówka.

– Walewska na skalę folwarku?

– Do nich nie pasuje żadne odniesienie...

– Co się z nimi stało?

– Bardzo długo nikt się nie domyślał, co się między nimi wydarzyło. Jej obecność przy nim wynikała z charakteru jej służby. Przyjechała tu do dalekich powinowatych. Moja babka twojej babce podawała gruszki w czapce. Mniej więcej tego rodzaju pokrewieństwo. Gorzelnik – wtedy to była funkcja! – zaprotegował ją do kredensu. Ochmistrz dał ją zaraz na pokoje, gdy się okazało, że niczym nie ryzykując, przysłuży się gorzelnikowi, którego wdzięczność posiadała moc okowity. Dziewczyna była obyta, odróżniała sosjerkę od patery, nie myliła noży do ryby z owocowymi i umiała porozumieć się po niemiecku na tyle, aby wiedzieć, co ma podać, zabrać, czego brakuje i jakie ubranie przygotować na jutro. Pochodziła z rodziny przestrzegającej form, dbałej o przekazanie ich dzieciom, i przede wszystkim o ich wykształcenie.

Ulce przyszła na myśl ciotka Karolina. Ta musiała być odporna na przekazywanie, chociaż przy stole nie wylizywała talerzy ani nie wybierała palcami potraw z półmiska.

– Martę nawet w wojnę posyłano na tajną naukę, zanim nie stało się nieszczęście z jej rodzicami...

– Martę?!

– Tak miała na imię ta warszawianka, pokojówka *Verwaltera*. I to nieszczęście było drugą zastoną, bardziej szczelną niż tamta z racji jej funkcji we dworze. Więcej, stanowiła niejako rękojmię. Dziewczyna, której zabito najbliższych, dobrowolnie nie zbliży się do mężczyzny pochodzącego z klanu zabójców. Oczywiście nikt nie wyartykułował tego pojęcia, tkwiło w umysłach i przesłaniało rzeczywistość, podobnie jak powściągliwość tych dwojga przy świadkach i oczywistość jej zajęć na pokojach.

– Pokojówka zamiast garderobianego albo lokaja.

– Widocznie nie trafił się nikt zdalny na lokaja. Albo może od pierwszego widzenia ona mu przypadła do serca, tym bardziej, że nieźle mówiła po niemiecku, a on tu nie miał do kogo gęby otworzyć poza trzema żandarmami w miasteczku, ale to były prostytutki, tyle że niemieckie.

– To w jaki sposób rządził, na migi?

– Tyle, ile trzeba, rozumieli administrator i nadzorcy.

– Ktoś z nich namierzył tych dwoje?

– Moment nieuchwytny. Zaczęło się od słowa... szeptanego.

– Sądząc po tym, co usłyszałam, nie słowo wykreowało ów związek.

– Nie. Tylko wydobyło tajemnicę.

– Ostrzygli ją?

– Nie. Skutki wściekłości *Velwaltera* nie dałyby się przewidzieć. A ona nikomu nie szkodziła. Nie należała do żadnych układów. Nikt do niej nie chodził po pomoc. Ona nikomu jej nie proponowała.

– Uszy po sobie wobec silniejszego?

– Nic nie rozumiesz. Folwark dawał mocne papiery, schronienie poszukiwanym, możliwość ukrycia w razie niebezpieczeństwa i, mimo wszystkie rygory, w sposób zorganizowany dawało się ukraść żywność i okowitę. Silna moneta. Tylko ostatni bęcwał pozwoliłby to wszystko narazić dla ostrzyżenia jednej małej dziwki.

– Odstąpienie od zasad na rzecz kasy?

– Nie było żadnej kasy, dziecko. Tylko zupa, najczęściej z brukwi, i skibka komiśniaka. Treściwsze jedzenie trzeba było zdobyć. Ukraść? To współczesne pojęcie. U okupanta się nie kradło, tylko organizowało. Ludzie walczyli o przetrwanie. Biologiczne.

– A pokojówka... była dziwką?

– Według ówczesnych kryteriów, tak. Wtedy nie istniało moratorium na miłość. Przystającą z Niemcem traktowano jednoznacznie. Natomiast nad Niemcem wisiały ustawy o hańbieniu rasy, a jego władze były coraz gorliwsze w wyszukiwaniu zdalnych na wschodni

front.

– Oni się kochali?

– Tak myślę.

– Jak się ta miłość skończyła?

– Gdzieś go nagle wezwano. Pojechał i ślad przepadł. Na jego miejsce zaraz przysłano jednookiego bez ręki i nogi.

– Uciekł?

– Nie sędzę. Musiało stać się coś nieodwracalnego, w czym nikt nie mógł pomóc, nawet krewni. Podobno pochodził z bogatej, wpływowej rodziny, która go strzegła. Dzięki nim otrzymał stanowisko *quasi* cywilne, lecz na tyle ważne dla armii, że chroniło przed pierwszą linią. Do czasu. Później być może ów rodzaj poparcia mógł zaszkodzić osłaniającej go osobie, może jakiemuś dygnitarzowi? Albo coraz szybciej zbliżający się front stał znaczenie protekcji.

– Nie był faszystą?

Przeczeniem w pytaniu Ulka zaklina rzeczywistość sprzed trzech pokoleń. W tej chwili podział przestrzegany przez babkę Martę staje się niezmiernie ważny.

– Nie widywaliśmy go w organizacyjnym mundurze, lecz w klapie granatowego trencza nosił miniaturę ze swastyką. Pewno należał. Gdyby nie należał, nie dostałby w zarząd siedmiu tysięcy hektarów, hodowli, przetwórnicy, gorzelni, młynów, ludzi. Świadomie ludzi wymieniałam na końcu. Taka była skala wartości.

– Znęcał się nad nimi?

– Nie. Przedsiębiorstwo wsparte na bezwzględnej zależności funkcjonowało zadowolająco bez dodatkowego bicia. A on nie był sadystą.

– Dobry dla pracowników?

– Ani dobry, ani zły. Musiał wytwarzać żywność dla armii. Czuł oddech konkurentów na plecach, ponieważ wielu miało ochotę na komfortowe miejsce, skutecznie zabezpieczające przed zsyłką na pierwszą linię. A on był młody i zdrowy i jeszcze miał w komplecie ręce i nogi zdadne do urwania... O ludzi na folwarku dbał na swój pragmatyczny sposób, bez żadnych sentymentów. Przede wszystkim liczyła się przydatność.

– Może był pacyfistą?

– Nie wiem. Może był draniem, może człowiekiem przyzwoitym mimo tego hakenkreutza w klapie, z całą pewnością dobrym agronomem. Może synem wpływowej rodziny, wysłanym w miejsce mniej mordercze niż armia w stanie wojny? Zwierzchność wyceniła jego wiedzę i umiejętności organizacyjne ponad wartość trupa w jakimś punkcie

frontu rozciągniętego skroś równiny rosyjskie przez ponad pięć tysięcy kilometrów...

Ulce w jakiś sposób dolega gorzka ironia Pawliny.

– ... żył w nieludzkim czasie, poddany ciśnieniu ludobójczego systemu, kultu dla austriackiego kaprała. Jak się zachowywał? Tutaj, u nas, nikogo nie zabił, nie wysłał do obozu, nie wrzeszczał, prawdopodobnie pochodził z tak zwanego dobrego domu, gdzie wpaja się pewne formy bycia, i do pewnego stopnia te formy zachował... Tylko od czasu do czasu dochodziły echa po oklaskach. Ale dotyczyły wyłącznie nadzorców, czasami dostawali po pysku. Zwyczajnego robotnika nigdy nie tknął, może uważał, że bicie zwykłego, to jakby wysmagać konia, bydlę albo kopnąć psa, a on zwierząt nigdy nie bił.

Ulka jest wściekła w imieniu Henryka z portretu i przeciw Henrykowi narysowanemu przez Pawlinę.

– Co się stało z dziewczyną?

Ukryła ją rodzina gorzelnika. Wywieźli nocą i ślad po niej zaginął. Pomogła moja matka. Wprawdzie jej zachowanie uważała za niegodne, ale współczuła. Pożałowała za wcześnie osieroconej, za wcześnie skazanej na samodzielność i coraz bliższe macierzyństwo, bo chociaż jeszcze nie miała zniekształconej sylwetki, jej stan odgadły doświadczone kobiety. Od tego zresztą zaczęły się szeptane domysły.

– A pani, tamta dziewczyna z fotografii, jak ją postrzegała?

– Ja z tamtych lat, pogardzałam, ja terażniejsza, stara, rozumiem i nie ma we mnie ówczesnej świętej zgrozy.

– Chcieli ją ostrzyc?

– Chcieli.

– Szczury.

– Dzisiaj trudno przekazać, zwłaszcza takim młodym jak ty, tamte odczucia, skalę strachu, bezsilności, upokorzenia i nienawiści. Ja dopiero z perspektywy minionego półwiecza umiem już w miarę bezstronnie spojrzeć na ich związek. To była miłość. Miłość dwojga ludzi z dwóch krańców ogarniętego pożarem świata. Ale wtedy? Hańba nad hańbami, zadawanie się z Niemcem wywoływało pogardę, gniew, agresję. Ludzie i tak już zdeptani, upokorzeni, sprowadzeni do funkcji zwierząt roboczych albo traktowani gorzej od tych zwierząt, czuli się jeszcze bardziej upokorzeni, jeszcze bardziej zdeptani, jeszcze bardziej poniżeni, pośrednio dotknięci niesławą.

– Szczury! Przecież ona została sama, bezbronna.

– Podobnie reagował młody Niemiec, który niedawno był tutaj i chciał wiedzieć wszystko o *Verwalterze*. I także z Bawarii, i ciemnowłosy jak tamten... – Pawlina przygląda

się Ulce.

Ulka milczy.

– Kim jest albo była dla ciebie Marta?

– Jest! Moją prababką. Pani od razu się domyśliła, że to ktoś dla mnie bardzo ważny?

– Od razu. Nie opowiadam o tych dwojgu każdemu, kto chce słuchać. Po tym młodym Niemcu miałam dziwną pewność, że się niebawem doczekam kogoś z Polski.

– Kogoś z Polski mogło w ogóle nie być – Ulka pamięta aluzję ciotki Karoliny i odpowiedź babki: – Gdybym ciebie posłuchała nie byłoby żadnych pokoleń.

– Kogoś z Niemiec także mogło nie być... Ten młody człowiek prosił o każdy kontakt i pozostawił swoje dokładne zamiary.

Ulka czuje niewyartykułowany żal, że tu przyjechała, że to jej babka przez całe życie niesie ciężar swojej trudnej miłości, przytłacza ją także surowa ocena własnego wścibstwa i dręczące pytanie, co zrobić z tą wiedzą? Może najlepiej zapomnieć?

24.

MA! Przez najwspanialszą, największą majuskułę, tę z kolumny Trajana! Bądź nadal piękna. Już ci trochę mniej zazdrozczę i wcale nie mam za złe. Dorośleję. Cieszysz się? Kocham cię, MA.

Oksford. Zwiedzaliśmy refektorium, podobne do alkierza babci Marty, tylko nieporównywalnie większe i oczywiście nieporównywalnie bardziej okazałe, sala dłuższa niż szersza, wyłożona dębiną, liczącą już jako dębina kilka stuleci. Jak długo rosły drzewa, zanim je ścięto i obrobiono, historia milczy. Na ścianach konterfekty minionych rektorów, uczonych, biskupów uczonych... Kolegia: New Trinity, Baliol, Worcester...

Nasze kijanki czyli kandydaci na mężczyzn, to znaczy koledzy, pochwalili lokal. Powiedzieli: zajebisty. Poszukam w angielskim odpowiednika tego neologizmu...

Pierwszy list od Ulki.

Dotychczas był tylko zwięzły pomruk ze smyczy – tak Ulka nazywa aparat komórkowy – po wylądowaniu samolotu, i karta z pięknym stemplem poczty w Stratford-on-Avon, z hrabstwa Warwick, miejsca urodzenia i śmierci Szekspira. Później długo żadnego znaku życia.

Co z Ulką, jeśli jej matce coś się przydarzy?

Pozostaje ojciec. Pamięta o córce, płaci za jej drogą angielską szkołę i nauczył tego, co sam umie najlepiej. Gry w brydża. Jest kochająca Marta, ale nie wolno zwalić jej na barki ciężaru losu trzeciego już pokolenia. Magdalena? Dobry człowiek. Nigdy nie miała dzieci, chyba bardziej rozumie psa czy kota lub innego zwierzaka. Jest jeszcze ciotka Karolina.

Bogna nagle uświadamia sobie, jak mało ma bliskich ludzi, którym może zaufać. Na których może liczyć.

Życ muszę – chcę – będę!

Pamięć przywodzi łąkę nad rzeką. W trawie przy ścieżce zagłębienie gruntu jak połówka łupinki orzecha. Pośród ździebeł pajęczego puchu, pod rozpiętą siecią roją się pajęczce niemowlęta. Matka, pająk-krzyżak, kosmaty obły kształt na rozstawionych jak statywy łapkach, własnym odwłokiem osłania gniazdo. Znieruchomiła na rozsnutym woalu, czujna, zdeterminowana. Gotowa do ataku. Nieustraszona.

Co w Hermes Zoo wiadomo o Ulce? Bogna nie opowiadała o córce. Podświadoma obawa? Coraz starsze dziecko postarza matkę, dodaje lat? Niewykluczone. Ale Ulka istnieje. Można cios oddać. Ugodzić najboleśniej z bolesnych. Ależ ona, Bogna, nie chce walki. Tylko wyrównania szans. Po prostu remis, chociaż czuje się zdeptana, poniżona, użyta niczym rzecz. Upokorzenie zżera jak choroba.

Plan powstał jakby sam. Ujawnił się w zarysie prawie gotowy. Diabeł tkwi w szczegółach, ale drobnych okoliczności, jakie mogą zmienić i pomieszać szyki, nigdy nie da się przewidzieć.

Przede wszystkim musiała mieć pod ręką samochód. Służbowego użyć nie mogła. Własnego nie miała.

W Warszawie po lewej stronie Wisły reklamowe foldery wypożyczalni aut oferowały wspaniałe automobile przeważnie z dwudziestolecia minionego wieku. Zapewniały: szyk – styl – elegancję – wyrafinowanie.

Bogna potrzebowała zwykłości, nijakości, mimikry.

Właśnie w Cannes film Romana Polańskiego otrzymał Złotą Palmę. Z tej okazji prasa odnotowała wspomnienia i opinie mieszkańców – gdzie film powstawał – z obszaru ulic: Stalowej – Konopackiej – Małej, nazywanych trójkątem bermudzkiem.

W taki nieskomplikowany sposób Bogna przypominała sobie o prawobrzeżnej części miasta, gdzie zawsze można kupić albo wypożyczyć wszystko, od tresowanej pchły, poprzez kałasza, po latającą fortecę najnowszej generacji.

Praga, warszawskie wrota na Wschód. I w tę stronę potoczył się skład pociągu, którego jak się miało okazać, w ogóle nie było, poza dwoma kontenerami. Także stąd

najracjonalniej rozpocząć obserwację następnego transportu widma. Bo, że taki będzie, nie miała wątpliwości, nie znała tylko terminu.

– ... ślubne, komunijne, zaręczynowe, konduktowe, na chrzciny, majówkę, na zejście i na ksiuty, wszystkie odrobione na glanc – zapewnił przedsiębiorca, urzędujący w przyczepie kempingowej na tle czworoboku niskich, betonowych budowli, przypominających bunkry.

– Potrzebuję wozu odpowiedniego na każdą drogę i bezdroża. Nie zabytkowy, nie nowiutki, nie zwracający uwagi.

– Są terenówki, dlaczego nie! Może być Amerykaniec, Rus, Szwed, Niemiec, Japonec, Koreaniec. Starsze, młodsze i najnowsze modele.

– Model nieważny. Ma jechać, nie psuć się i nie wyróżniać.

– Kompri, madame! Polecam Mitsubishi Pajero.

– Brzmi jak imię pięknej kobiety.

– Jest piękne.

– Nie wybieram się na bal.

– Spoko! Przebrane za schludnego kopciucha. Nie pierwszy z pani klient potrzebujący klasa pojazdu, ale nie rzucającego się w oczy. I niech się pani nie boi, chociaż się obyczajnie ciut nadwyreżyły, zresztą nie tylko u nas, w trójkącie bermudzki klient jest święta krowa.

– Nie znam dokładnego terminu, kiedy samochód będzie mi potrzebny.

– Żadna sprawa. Poczeka w boksie. Za postój zniżamy takse. Szanpani otrzymuje kluczyki, klamkę od garażu i obojętnie, o jakiej porze dnia albo nocy, dysponuje szanpani sprawnym pojazdem z pełnym bakiem i zapasem w kanistrze. Natomiast w kantorze siedzę ja albo zmiennik. Firma czynna całodobowo. Telefon też całodobowo. Na życzenie doprowadzamy wózek w dowolnie wskazane miejsce, o dowolnej porze. Może być z kierowcą, może być z ochroną, może być z damą do towarzystwa, która w razie potrzeby eliminuje nawet karatekę. Jak przydzwoni, to Zygmunt na Wawelu się gibnie.

– ...

– Dyskrecja zapewniona! Wypożyczamy filmiarzom, szołmenom, wycieczkom, nawet przedszkolnym, tajniakom, szpicom, ludziom towarzyskim, zabawowym, klamecznym i biznesmenom na dorobku, dętym oraz zwyczajnym obywatelom. Obciachu nie było czyli reklamacji. Firma nie ma uprzedzeń: rasowych, religijnych, obyczajowych, nie ciekawi nas przynależność partyjna, towarzyska, klasowa, orientacja seksualna, stan cywilny ani zawód. Firma nie wtrąca się ani nie kabluje... Zadatek osiem stówek, z czego odliczamy postojowe za boks. Podpis na zobowiązaniu zwrotu kosztów w razie uszkodzenia, które oszacuje bezstronny biegły, na psa urok!... w razie wycofania się z umowy, tylko stawka dobową za

garaż i gotowość, czyli dyspozycyjność pojazdu.

Zzerający dniówek samochód stał w garażu. O jego istnieniu przypominała klamka obciążająca torebkę i wrażenie stąpania po kruchym lodzie. Po tym kruchym lodzie Bogna zbliżała się nieuchronnie do następnego transportu widma.

Nie posłuchała Magdaleny. Nie odeszła z firmy, symulując chorobę. Nie, nigdy nie uważała siebie za silną czy bardzo odważną, lecz w pewnych okolicznościach daje o sobie znać uparte, nieprzejednane ego, ujawniające się rzadko, lecz gdy się już ujawni, nie spocznie, dopóki zamiaru nie spełni.

– Mam odejść jak złodziej bez żadnego zabezpieczenia? Jeśli Rottweilerowi coś się rozsypie, zwał na mnie, nieobecna – kwituje przestrogi Magdaleny, znosząc jej skopiowane dokumenty, ale to wszystko nie to! Musi zdobyć atut nie do przebiccia. Coś, co wyrównałoby jej szansę na remis.

– Powtarzam. Ten barbarzyńca nie działa sam. To kryminalny target, grupa osób o podobnych, powiedzmy, zamiłowaniach. Nie wiadomo, jak wysoko ustawionych w hierarchii władzy. Więc nie zachowuj się jak desperatka.

– Bóg czuwa nad desperatami – za tą nonszalancją ukrywa wstyd. Dlaczego właśnie padło na nią. Co w niej takiego jest, generuje jakąś niezdrową aurę? Gorzka lekcja. Bogna czuje się poniżona, sponiewierana, wykorzystana przez prymitywa, którego może nie lekceważyła, ale oceniała niezupełnie serio, dopóki nie wmanewrował jej w sytuację prawie bez wyjścia, jakąś czarną dziurę krzywych interesów.

– ...tym bardziej mogą być niebezpieczni – przestrzegała Magdalena. – Takie przewały nie są możliwe solo... Wspólna korzyść może łączyć różne struktury, niewykluczone osoby z administracji państwa i to z wysokiej półki...

– ...jaka czułam się wspaniała i jaka szlachetna, bez namysłu odrzucając olśniewającą propozycję, oszałamiającą partię, fortunę! – Bogna nie może zepchnąć w niepamięć tamtej mrocznej chwili, krótkiej jak mgnienie, długiej jak wieczność i nie ma na świecie nikogo, przed kim to wyznanie przeszłoby jej przez usta.

– Powtarzam. Odejdź stamtąd. Ponieważ w tym przypadku droga sprawiedliwości może być długa, uciążliwa i niekoniecznie z korzystnym dla ciebie finałem.

– Sprawiedliwość, cóż to takiego? Od kilkunastu lat politycy z prawa, lewa, środka, pobocza i ścieku, pod hasłami dla dobra i ku, rozgrabiają dorobek trzech pokoleń głośno wrzeszcząc, że po wyklętych poprzednikach zastali ruiny i zgliszcza. Fundują społeczeństwu nieustające widowisko z fajerwerkami, inkwizycją, odnową moralną i rozdzierają postaw czerwonego sukna. A mnie zabrakło łąta przysłowiowego szczęścia.

– Bogna, to nie wirus ani pech. Prawda jest banalna. Trafiłaś na nieuczciwego pracodawcę, który wykorzystał twoją dobrą wiarę i braki kwalifikacji. Przyjęłaś odpowiedzialną funkcję na zasadzie Polak potrafi. Tyle. A teraz się głupio upierasz, żeby...

– To problem ontologiczny.

– ...?!

– Nie chcę, nie mogę zostać bytem pomyślanym a właściwie wymyślonym, przez sysysyna kantu i bazarowej szczęki. Muszę wiedzieć, gdzie wcięło czterdzieści wagonów kontenerowych z en-en zawartością. Co w nich rzeczywiście przewożono i dlaczego zniknęły w wirtualnej rzeczywistości, jakby ich nigdy nie było.

– Co w ogóle wiesz, oprócz zamiany czy wykasowania plików?

– Fałszywa zawartość, cena, ilość, świadectwa pochodzenia. Faktury... A na samym początku musi być skorumpowana służba celna... Wystarczy jeden, dwóch osobników.

– To tylko przypuszczenia.

– Ale logiczne! Dalej: podejrzani podwykonawcy, przyznaję, dobrze osadzeni w strukturach biurokratycznych. Prawdziwe: numery ewidencyjne. Regon. Nip. Konta bankowe. I tylko SAD-0113 wymieniony na zupełnie inny jako właściwy SAD-0113.

– Amatorskie śledztwo może cię drogo kosztować. Czym przekręt większy, tym bezwzględniejsza determinacja autorów. Potwierdzam: tej wagonowej roszady nie robi jeden człowiek, chociażby i najważniejszy dyrektor generalny jakiejś tam agencji reklamowej. To sieć z większym lub mniejszym udziałem, kto wie, jak wysoko ustawionych osób, z administracji państwowej.

– Z polską szlachtą polski lud! *A propos* ludu, za nie zadawanie pytań otrzymałam oszałamiającą premię.

– Kasa ekstra?

– Rutynowa. Kwartalna. Tylko wielokrotność dotychczasowej.

– W tym dialogu niemych on tobie zapłacił za dyspozycyjność, tę dyspozycyjność! Dziękuję za już i żądam jeszcze. Teraz ma pewność współpracy.

– Niech ma. Te wszawe pieniądze złożyłam w skrytce bankowej z odpowiednim wyjaśnieniem i datą. Tu masz hasło i upoważnienie do ujawnienia, w razie gdybym nie mogła zrobić tego sama.

– W tymże dialogu niemych, biorąc premię, zaakceptowałaś dalsze, świadome już działanie.

– Toteż jak dostanie świadomego kopa, bardziej odczuje.

– Ów kop rykoszetem trafi ciebie.

– Może, ale nie musi.

– Powtarzam, on nie działa sam!

– Pewno, że nie! Oczywiście. Rottweiler, główny księgowy, stara-a-głupia czyli ja, to już troje. Zarządca materiałowy Wschód, to czwarty. W każdym razie otrzymuje do ręki kopie prawdziwych listów przewozowych i ma je przynajmniej do chwili rozładunku na ostatniej stacji docelowej. Przez całą trasę czuwa nad składem, który dematerializuje się tylko w dokumentach. Ale zawartość gdzieś dociera. Chcę wiedzieć, czym jest i gdzie przepada.

– Jak przekonasz czwartego, skoro to jeszcze jeden facet prężący mięśnie na widok kobitki?

– Gra idzie o kasę. Więc nie ma kobitek ani gentelmanów... Nie jestem zachwycona tym, co chcę zrobić, nigdy nie marzyłam o karierze policjantki. Zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności. Ale skoro już wdepnęłam w łajno, nie widzę innego wyjścia, tylko to łajno ujawnić. Głośno. Jak najgłośniej, tak głośno, żeby żaden Autorytet, nawet z najwyższej półki, nie ośmielił się kupy sprzątać po cichu.

– Boję się o ciebie. Powinnaś mieć w odwodzie przynajmniej jakiegoś mięśniaka.

– Pamiętasz motto Jagiellonki? *Plus Ratio Quam Vis*, bardziej rozum niż siła.

– Szkoda, że ten rozum ujawnił się dopiero po szkodzie. Wiesz przynajmniej, jak przekonasz czwartego?

– Okaże się w realu.

– Pomyślałaś, co może grozić Ulce?

– Na razie jest w Anglii, dzięki Bogu.

– Co zrobisz z dzieckiem, jeśli kolejny transport objawi się dopiero po jej powrocie?

– Wtedy będę się zastanawiała.

25.

Z łomotem zderzaków wolno suną lory ze srebrzystymi kontenerami o gabarytach wagonów. Jeszcze bardziej zwalniają przed wiaduktem nad rozjazdem torowisk. Na platformie zabezpieczona w statywie terenowa toyota land cruiser, wewnątrz na rozłożonych siedzeniach przezornie opiętych pokrowcem, przykryty kocem drzemie Rysio, zarządca materiałowy podwykonawców firmy Hermes Zoo.

Pociąg zdążyła świńskim truchtem, właściwym długim zestawom, redukującym

szybkość na konstrukcjach nadziemnych.

Bogna czeka kilkadziesiąt metrów niżej przed zamkniętym szlabanem ze stopą na gazie samochodu mitsubishi pajero, przebranego w zgrzebną karoserię starej terenówki.

Skład spełza z arkady, przyśpiesza na skrzyżowaniu z szosą, krwawo opalizują światła odbłaskowe ostatniego wagonu, gdy prawie jednocześnie otwierają się ramiona kolejowej zapory, a w perspektywie czerwone oko semafora.

Ciekawe, kto pokwitował kolejne bliźniacze transporty o takiej samej ilości wagonów z surowcem dla kooperantów, które wyparowują bez śladu z komputerowych plików i nie ujawniają się w księdze głównej?

Srebrzysty wąż hamuje z wizgiem pneumatyków, jego koniec zastyga ledwo kilka metrów od betonowej kładki wyrównującej poziom nawierzchni. Bogna bierze to za czwarty już dobry omen i zwiększa szybkość na szosie. Zdecydowaniu towarzyszy niepokój, ale i uczucie mściwej satysfakcji. Uparła się dotrzeć do kolejnej dostawy, dematerializującej się prawie natychmiast po zniknięciu z oczu za semaforem Warszawy Towarowej.

Nie zauważyła żadnych znaków, mogących określić przynajmniej w przybliżeniu termin kolejnej przesyłki. Zdeterminowana, odliczała tylko mijające dni pobytu Ulki na wyspach.

Firma wymagała od pracowników, bez względu na ich rangę w hierarchii służbowej, dyspozycyjności przez całą dobę. Tak stanowił odpowiedni zapis w kontrakcie. Co, przede wszystkim, oznaczało możliwość porozumienia się o każdej porze dnia i nocy oraz wypełnienia bez zwłoki zleconego zadania.

Czekała. Prawie spokojna. Cierpliwa. Zdeterminowana. W domu uczyła się z map komunikacyjnych stacji kolejowych z rozrządem i zapasowymi torami oraz usytuowania i odległości szlaku szynowego od dróg trakcji kołowej.

Tym razem dostawa dała o sobie znać także zaraz po północy. Zapowiedziana przez Sabi bez wcześniejszego uprzedzenia.

Najpierw odezwała się smycz – Bogna przejęła od Ulki określenie aparatu bezprzewodowego.

– Bogna, jesteś proszona natychmiast! Wysyłam Szambelana – pojawił się na wyświetlaczu tekst, ponieważ Bogna nie odpowiedziała na wdzięczny alt Sabi.

Rottweiler już się nie fatygował jak poprzednio, na wyłgiwanie siebie i księgowego.

Kiedy zaniósł się sygnałem telefon stacjonarny i włączyła automatyczna sekretarka rejestrująca coraz bardziej dramatyczne wezwania Sabi, Bogna słyszała je już tylko jako szmer, przekręcając klucze w zamkach wyjściowych drzwi.

Mogą tu zaraz być, przeraziła nagła myśl i Bogna pobiegła pustym osiedlowym przejściem pośród domów okratowanych jak więzienia. Za rzędami trzypiętrowych szeregowców zaczynała się prawdziwa ulica. Na postoju jedna, jedyna taksówka. Zaliczyła fakt, jako dobry omen.

– Praga. Jak najprędzej!

Drugi dobry omen zdarzył się przy wjeździe w przecznicę. Kiedy skręcili, za ich plecami śmignęła beema Rottweilera.

– A tak konkretnie, dokąd jedziemy? – chciał wiedzieć kierowca.

– Stalowa do końca i jeszcze trochę.

– Trójkąt bermudzki, też sobie pani wybrała porę...

– Ja tam mieszkam – samo powiedziało się Bognie.

Kilkanaście metrów pokonała biegiem, przed oświetloną przyczepą kempingową stanęła bez tchu.

– Podobno lada moment będziemy w Europie, ciekawostka geograficzna, gdzie tkwimy dotychczas? Tak czy inaczej, należało użyć telefonu, kazałbym pojazd podstawić pod drzwi – powiedział ten oswojony już przedsiębiorca, a nie jakiś nigdy nie widziany zmiennik, co Bogna uznała za trzeci dobry omen, ale nie wyjaśnia, że po wezwaniach sekretarki musiała uciekać z mieszkania.

– Dostaje pani do ręki mitsubishi pajero. Tylko płaszczyk, czyli karoseria, zgodnie z życzeniem, z przeciętniaka. Ta bryka od północnej strony na Giewont wjedzie – zapewnił przedsiębiorca. – W schowku przy siedzeniu tylko sięgnąć: paralizator, pistolet na gaz i plastik. A to klasyka: szpadryna. Nakłada się toto na palce u nasady i operuje szczękę, nos albo po oczach! Jeśli wielbiciel nazbyt poufały. Najlepiej pod rękawiczką, działać z zaskoczenia i zaraz, nie oglądając się, dyla! Czyli zgubić kontakt z przeciwnikiem... Ale to wszystko ostateczność...

– Skąd pan wie...

– Nie wiem. Wyczuwam. Jak się człowiek urodził na Pradze, przeżył tu lata i prowadzi taki jak ja interes, to rozpozna ból drugiego człowieka. Aha, w kufrze oprócz serwisu ma pani zestaw narzędzi prostych, młotek, cęgi, kombinerki, te rzeczy. I niech pani nie ryzykuje z nadto. Nie warto.

– Dziękuję.

– Z fartem!

Przed Bogną droga prawie pusta. Lekko naciska gaz. Samochód przyśpiesza. Nareszcie nie przystanek tylko stacja z torami manewrowymi i rozrządem. Bogna wykuła na

blachę właściwości różnych terminali usytuowanych od początku po koniec przejazdu znikającego transportu.

Kalina.

Tu szosa biegnie przez miasteczko, a za nim kilka kilometrów równoległe z torami.

Na ogrodzonym łańcuchami placyku z zaznaczonymi białą farbą kilkoma prostokątami zostawia terenówkę. Płaci się z góry za pierwszą godzinę postoju, bez znaczenia, czy upłyną sekundy, czy kwadrans. Kolejne godziny mają już po sześćdziesiąt minut. Otrzymuje numerki od starego człowieka w wyblakłej kolejarskiej rogatywce, zabytkowym nakryciu głowy, obowiązującym w drugiej Rzeczypospolitej, noszonej jeszcze na początku powojennej dekady, zanim nie nastały dekle.

Bogna wchodzi w dwustronne wrota dworca z czerwonej cegły. Budynek z pewnością pamięta jeszcze dawniejsze czasy niż konfederatka parkingowego.

– Sokółka, powrotny proszę – przezornie kupuje bilet do miejscowości położonej mniej więcej w połowie trasy kontenerowego tranzytu, który znacznie wyprzedziła.

Z peronu wraca zawiadowca. Właśnie odprawił wahadłowiec w kierunku Warszawy.

– Dzień dobry! Tylko pan może mnie uratować! – dopada pierwszego po Bogu na tej stacji. Nie musi udawać osoby bezradnej i zagubionej. Czuje ucisk w gardle i porażający strach odkąd odstawiła przyjazne mitsubishi.

– Słucham? – uprzejmie. Służbowo.

– Chciałam... Bardzo pana proszę o rozmowę... – wyrazisty gest dłonią. Po kątach drzemie kilka osób.

Zawiadowca ogarnia Bognę spojrzeniem i zaraz robi się elegancki.

– Proszę do mnie.

Podsuwa Bognie krzesło – sam zasiada w obrotowym fotelu, przed konsolą oprzyrządzoną jak kabina pilota.

Bogna gorączkowo wypatruje książki lub czegoś, co będzie miało grzbiet i stronicę. Jest. Opały tom rozplanowania godzin odjazdów i przyjazdów kolei. Może być i rozplanowanie, tylko jak się wręcza łąpówkę urzędnikowi państwowemu sprawującemu odpowiedzialną funkcję?

Tymczasem przedstawia się: pracuje w firmie Hermes Zoo. Nie wymienia swojej pozycji. Z Warszawy Towarowej wysłano skład, łącznie czterdzieści dwa kontenery...

Miałam stłuczkę w drodze na dworzec, spóźniona z tego powodu, nie odebrałam od materiałowca kooperantów bardzo ważnych dla firmy dokumentów. Za które odpowiadam... utratą pracy. Teraz gonię ten pociąg.

Stacja pana zawiadowcy ma tory manewrowe.

– Pan tu jest pierwszy po Bogu, pan ma moc skierowania każdego składu na stanowisko zapasowe... Proszę! Tylko kilkanaście minut, to dla mnie być albo pozostać bez środków do życia...

– Numer transportu?

– Wszystko jest w tych papierach, których nie mam... – Bognie szklą się oczy ze strachu, a w myśli jedno: jak się daje łapówkę żeby nie obrazić i nie spłoszyć faceta, który tutaj jest na swoim kapitańskim mostku?

Zawiadowca przygląda się Bognie. Milczy.

– To są dostawy z Lintzu i Dusseldorfu, spięte razem i odprawione z Warszawy Towarowej. Zawartość... ponad czterdzieści kontenerów. Tranzyt do stacji końcowej Kąty, w pobliżu granicy. Pierwszy adresat: Brzozowo, cztery wagony loco... – Bogna gorączkowo uwiarygodnia prośbę.

– Ktoś jedzie z tym ładunkiem?

– Tak. Pełnomocnik materiałowy podwykonawców Hermes Zoo. Nie było mnie na dworcu o właściwym czasie, nie miał komu dokumentów oddać... Jeśli nie dogonię transportu, mogę od zaraz szukać innej pracy. Firmy nie interesują losowe wypadki pracowników. Polecenie muszą spełnić punktualnie, później mogą nawet umrzeć. Proszę mi pomóc... – Bogna desperacko sięga po książkę z rozkładem ruchu pociągów i nieporadnie wciska między stronice kilka banknotów, łyzy bezgłośnie płyną po twarzy. Makijaż permanentny ma się dobrze.

Zawiadowca dotychczas nigdy nie wziął łapówki. W tym procederze debiutują oboje. Żal mu tej ładnej kobiety, przerażonej i zdesperowanej. Jest w niej coś takiego, co sprawia, że mężczyzna czuje się przy niej mężczyzną, a nie odmianą homo sapiens, która tylko nieco dawniej przyodziła spodnie.

Zawiadowca nie pozostałby obojętny wobec jej problemu. Jednak nagle trafia go rodzaj zapaści. Nie zwrócił uwagi. Nie przyjął do wiadomości. Zabiegi wokół rozkładu jazdy nie zaistniały. Może gdyby nie sfatygowana armatura w łazience, pilnie potrzebująca wymiany, pewno kazałby jej zabrać te pieniądze. Oparłby się pokusie, chociaż suma znaczna.

– ...proszę, mój dowód osobisty...

– ...transport kontenerowy do... odprawiono – informuje sąsiednia stacja.

Zawiadowca unosi mikrofon.

– Przesyłkę numer... skierować na tor manewrowy... – Bogna patrzy na niego z zachwytem kobiety podziwiającej wspaniałego supermężczyznę, ratującego ją przed

ostateczną klęską. Nie kłamie. Tak go w tej chwili widzi. Moc, która jednym zdaniem zmienia bieg wydarzeń, ugina czas i przestrzeń.

On widzi i rozumie wyraz jej spojrzenia.

– Proszę to zabrać – podaje jej banknoty wciąż jeszcze zaczajone między stronicami rozkładu jazdy. Do diabła z łazienką, do diabła z lewą kasą, niewiele brakowało, żeby nie mógł w lustrze popatrzeć sobie w oczy w tejże wymagającej remontu łazience. Trwa niepodzielne teraz.

Jego teraz i tej patrzącej na niego kobiety. Widzi siebie jakby jej oczyma. Przyjazny. Silny. Bezinteresowny. Nie skażony piętmem ścierwnika. Trzynasty wyczyn Herkulesa – na drugim planie podriwiwa jego nieznośne, irytujące krytyczne ego.

Przywołuje kogoś z personelu. Każe przeprowadzić Bognę na bocznice. Bogna idzie za kolejarzem, z każdym krokiem zbliża się nieuchronnie i najtrudniejsze. Wystawić Rysia dosłownie i w przenośni.

Czy ją rozpozna? Widział ją jeden raz w deszczowej, przedrannej godzinie, gdy jeszcze nie wstał dzień pod koniec grudnia, przypominającego raczej porę deszczową niż początek kalendarzowej zimy. Przelotne spotkanie na rampie Warszawa Towarowa, gęsta mżawka pogłębiała półmrok. Latarnie przypominały świetliste dmuchawce pośród rozmazanych, nieostrych konturów szyn i magazynowych podestów. Teraz jest jasny poranek wyjątkowo łagodnego początku kwietnia.

Czym się przejmuje? Przecież wciąż jeszcze ma ważną legitymację firmy z wpisaną funkcją wice, dyrektor. Wprawdzie utrata przez nią nie tylko tytułu, także w ogóle miejsca w Hermes Zoo, została przesądzona, jednak Rysio nie może jeszcze o tym wiedzieć.

A jeśli jednak został uprzedzony, przed czym?

Zastępczyni generalnego dyrektora nie stawiła się na dworcu po odbiór przesyłki. Żeby podpisać jakąś nieczystą kombinację, oficjalnie SAD – któryś tam. I ten przekręt musiał podpisać główny księgowy, a może nawet sam dyrektor generalny. Bardzo możliwe, nie podejrzewają aż takiej wolty niepewnej siebie dyletantki, zbyt ufni w siłę pieniędzy. Bo nawet jeśli coś jej się nie zgadzało, trzeba desperata, żeby dobrowolnie zrezygnować z sumy, jaką otrzymywała miesiąc w miesiąc. Co przy ich mentalności jest nieprawdopodobne, w ogóle nie mieści się w głowie. Prędzej przyjdzie na myśl wypadek, niewykluczone, że już szukają jej po kostnicach.

Do kieszeni spodni wsunęła paralizator. Szpadrynę nawet zdążyła przymierzyć – na początku swej drogi ku nieznanemu – ale okazała się za duża na jej nadgarstek. Pewno musiałaby poprosić:

– Rysiu, przykleknij, mam zamiar przyłożyć ci w ucho! – także paralizator, przy gabarytach Rysia, może się wydać ukąszeniem gza. Pozostało przesłanie Jagiellonki: bardziej rozum niż siła.

Na dobrą sprawę, przed czym Rottweiler mógł uprzedzić Rysia, skoro ona sama jeszcze wczoraj nie bardzo była pewna, co robi. Zachowanie Bogny jest desperackie, stwarza fakty *a vista*, i, paradoks, ma tu pewną przewagę, chwyta i wykorzystuje bieżącą sytuację.

Na pewno wiedziała tylko, czego chce, i działa jak w transie, jakby nie ona, tylko jakaś nieznaną siłą sterowała jej postępowaniem, z pewnym wyprzedzeniem rozwijając przed nią plan.

– Bogna! Co jest?

– Dlatego tu jestem, żeby nie było. Przede wszystkim cisza w eterze. Poproszę twoją komórkę, Rysiu.

– Dlaczego stoimy, może wiesz?

– Wiem. Załatwiłam z koleją.

– Kurde! Dobra jesteś, a nie wyglądasz!

– Komórka!

– Mogę mieć dwie, kumasz? – Rysio oddaje aparat bezprzewodowy.

– Jeśli ci pilno garować, wolna wola. Centrala zawsze jakoś się wykpi, ale ty na pewno polegniesz. Chcesz tego?

– A ja myślałem żeś damula. Lala malowana! – nie może nadziwić się Rysio.

– Teraz już wiesz. Jeśli chcesz zostać bezrobotnym albo i gorzej, zachowaj sobie tę drugą.

– Nie mam. Tak tylko powiedziałem... myślałem, robisz sobie jaja. Aha, dlatego menago był taki wściekły. Co się dzieje?

– Najzdrowiej wiedzieć tyle, ile musisz. To, co musisz, już wiesz. Powiedziałam. Przestań mózgować, bo się zmęczysz. Dawaj dokumenty przewozowe. Dalej ja jadę z transportem.

– Co mam robić? – zaniepokojony Rysio wyłuskuje z portfela kopie SAD, numer... i oddaje Bognie.

– Dokładnie to samo, co robiłeś poprzednim razem, tylko teraz będziesz się przemieszczał samochodem. Nie zapomnij brać rachunków za paliwo, bo nie dostaniesz zwrotu kosztów. I podkreślam, żadnych rozmów ani z centralą, ani z nikim, dopóki ta przesyłka nie zostanie rozdzielona pomiędzy odbiorców, aparaty telefoniczne dla nas nie istnieją.

– Nic nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejszy. Jeszcze jedno: jeśli komuś po drodze przemawiałeś ekstra do ręki, przemów i tym razem. My spotkamy się dopiero na ostatniej stacji w Kątach.

– Szczerze. Jest bardzo źle?

– Gdyby było bardzo źle, nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła do zmiany ciebie na tranzycie. Spadaj! Dostałam dwadzieścia minut na trakcji manewrowej. Pozostało osiem.

Rysio naciska dźwignię. Pneumatyczna prowadnica umieszczona na boku lory zsuwa w dół kojec z samochodem. Rysio zwalnia umocowania i odtacza pojazd po małym spadku wprost na łąkę za rozrządem. Uwolniony od ciężaru dźwig samoczynnie powraca na wagon.

Najwyższy czas. Transport otrzymuje sygnał powrotu na tor główny. Skład rusza. Zgrzytają koła na złączach automatycznej przekładni z szyn postojowych na szlak jezdny. Pod Bogną uginają się nogi.

26.

Worki. Worki. Worki. Bez nadruków. Zastępowane szpagatem z syntetyku. Ułożone ciasno, ekonomicznie. W promieniach kwietniowego słońca jednakowe, jak spod sztancy.

Bogna stawia Przebierańca na przecince. Wokół sosny, świerki, jodły, modrzewie, monokultura. Zdarzy się dąb, grab, widziała nawet jawor, ale ani jednej brzozy.

Z samochodu zabrała koc, rozkładane płócienne krzeselko, pastele i tekę z arkuszami do szkiców. Zapadła w kępę jałowców, w otulinie na przedpiersiu wysokich drzew. W oddaleniu. Nie dało się bliżej. Jednak z dobrym widokiem na tor manewrowy. Żałuje, nie pomyślała o lornetce. Ale i tak widzi okoliczność raczej nietypową. Przynajmniej jej nieznaną.

Kontenery służyły na ogół do przewozu materiałów sypkich albo drobnicy. Wyłożone cienką podszewką ze stali nierdzewnej, higieniczne, w zgodzie z ekonomią, nie woziły jak wagony tradycyjne pustych miejsc między opakowaniami. Zrozumiała, dlaczego ten towar, czymkolwiek jest, zaszyto w worki, kiedy zaczął się rozładunek.

Na tej stacyjce, przy jednym paśmie torów jezdnych nie ma ramp ani betonowych podjazdów dla samochodów przystosowanych do dużego obciążenia, nie ma dźwigów zdolnych unieść i przestawić całe, wielkie pudło olicowane lśniącym aluminium lub nacylić

pod właściwym kątem albo ustawić na naczepie transportowca i nie ma transportowców z naczepami.

Dłuższy bok kontenera, opuszczony i podparty kołami z żelaznych elementów, tworzy ukośny pomost, po jego gładziźnie suną czarne worki spychane w dół przez czterech pracujących u góry półnagich mężczyzn ociekających potem, mimo że słońce, początku wprawdzie ciepłego kwietnia, dawno zeszło z zenitu.

U dołu zaimprovizowanej rampy kolejka różnorodnych, często egzotycznych pojazdów: furgonetka, półciężarówka, motory z koszami, najczęściej ciągników z przyczepą, przeważnie ursusy z kominkiem, ale to arystokracja: ładuje stertę worków i odjeżdża. Większość pojazdów to często nieprawdopodobne konstrukcje własnego pomysłu i wykonania, pędzone siłą mięśni, są nawet rowerzyści, przewieszają worek przez ramę i pedałują z pokraccie odchylonymi kolanami lub idą obok, pchając za rączki dwuślada.

Z boku stoi niepozorny mężczyzna i odhacza w notesie nazwiska albo numery pojazdów. Zdaje się znać tu wszystkich.

– Za uszkodzony worek nie ma zapłaty – mówi co jakiś czas.

– A jeśli go zakleję? – chce wiedzieć dociekliwy.

– Za uszkodzony worek nikt... – powtarza konus jak zdarta płyta.

– Ważne, żeby się nie sypało. Żeby nie śmiecić, zwłaszcza na terenie kolei, bo jak zadrą z koleją, mogą nie mieć przewozu, a my roboty.

– Taka to i robota, od czasu do czasu.

– Wolałbyś żadną?

– No nie. Zawsze to jakiś grosz, może będą częściej przysyłali...

– Pewno, dopiero rozkręcają interes...

– Byle nie zahaczyć czym ostrym, sam nie pęknie, jeśli się jednak nie daj Boże po drodze zdarzy, zbierz rozsypane albo zakop, a dziurę zaklej taśmą – radzi szeptem obeznany ze zwyczajami.

– Szeroka taśma pięć złotych rolka – wzdycha nowicjusz.

– Za worek z wysypem płacą sześć osiemdziesiąt.

– Dołóż jeszcze jeden – żąda od ładowacza stara kobieta.

– Nie za słaby pojazd, babko? – ma wątpliwości ładowacz.

– Dołóż, nie gadaj – mężczyzna spycha drugi worek, po opuszczonej ścianie kontenera zsuwa się wprost na pojazd starej kobiety i bezbłędnie układa na poprzednim.

– Razem sto kilo. Pięćdziesiąt, jeden worek. Nie uradzicie, babko!

– Komu babka, temu babka, dla ciebie smrodzie, tom pani – kobieta zakłada przez

jedno ramię szeroką brezentową szelkę przymocowaną do dwóch krawędzi pojazdu, ujmuje w obie dłonie dyszel z poprzeczną rączką, pochyla się, napina linę, cała konstrukcja to dwie złączone deski na czterech żelaznych kółkach. Nie wiadomo skąd wynurza się wyrostek. W otworze na końcu wózka mocuje taki sam kij z poprzecznym uchwytem i popycha w rytm kroków babki. Ludzie odprowadzają spojrzeniem tych dwoje, osobliwy wehikuł skrzypi i dźwięczy skargą nadmiernie obciążonego drewna i ścieranego metalu, ale się toczy, aż zacicha w oddali za pierwszymi zaroślami.

Ludzie milczą.

Niektórzy wzdychają i tylko wznoszą oczy ku niebu. Tam, mimo dnia, mający już przezroczysty sierp nowika i ciągnie kwietniowym chłodem. Ludzie nic nie mówią, znają biedy sąsiadów, cierpią własne, przestają ufać włodarzom państwa od gminy po sam szczyt. W ludziach odkłada się gniew jak ta ziemia: skaleń, zwietrzliny, glina, kamienie, piaski, próchnica.

Wciąż pólnadzy ładowacze, jak automaty spychają wory po zaimprovizowanej pochylni, podjeżdżają po raz któryś traktory z przyczepami, dychawiczne ciężarówki, dwukółki do transportu zwierząt ciągnięte przez stare Ursusy, ludzie obracają po kilka razy, niektórzy rowerzyści i posiadacze motorów mają duże przyczepy, ale właścicieli takiego sprzętu jest niewiele.

Na torze manewrowym rosza, na miejsce opróżnionego konteneru przetoczono następny. Druga zmiana: czterej ładowacze zajmują stanowiska, w milczeniu spychają wory i tylko pobrzmiwa refren konusa:

– Kto uszkodzi worek, nie otrzyma zapłaty.

Bogna zza swoich jałowców widzi wyładunek i słyszy ruch na pobliskiej leśnej drodze. Przejeżdżają tędy ludzie wiozący na rowerach i pomniejszych sprzęcie czarne worki, bardziej odpowiedni transport kieruje się za przejazd kolejowy. Widzi także niepozornego konusa, który szarogęsi się pośród raczej egzotycznego sprzężaju i coś powtarza. Bogna nie jest w stanie odgadnąć znaczenia słów. Być może jest to zarządca tutejszych podwykonawców Hermes Zoo. W każdym razie, sądząc z postury, z całą pewnością nie jest to Rysio.

Rysio jest ostatnią osobą, którą Bogna chciałaby teraz spotkać. Tylko do czego jest w ogóle potrzebna jego obecność na trasie?

Wywieszki z adresami odbiorców za siatką na każdym wagonie podają dokładne dane adresata.

Wniosek nasuwa się sam. Dostarcza pieniądze. Daje z ręki do ręki takim konusom

dyrygującym rozładunkiem, a on najprawdopodobniej opłaca tę kłębiącą się na stacji biedę, i świeżo dotkniętych niedostatkiem z braku stałej pracy. W taki sposób liczona w setkach ton przesyłka wprawdzie nie znika *deus ex machina*, lecz topniejąc wzdłuż linii kolejowej przepada, a z całą pewnością zmienia postać, staje się nie do odnalezienia czy rozpoznania.

Horror Rysia opowiadane o pogubionych wagonach także mają swój sens. Lepiej, żeby z tych przesyłek nie zabłądził nigdy żaden. Mógłby go otworzyć ktoś niepowołany, i to jest drugi, nie mniej ważny powód peregrynacji Rysia.

Dlaczego konus na wypłaty nie otrzymuje pieniędzy przelewem z banku, tego już Bogna nie musi sobie tłumaczyć. Trwa zmowa milczenia pazerności z rozpaczą. Kapitału czarnego z głodem. W dalszej perspektywie zmowa groźna. Dla wszystkich.

Bogna czuje zmęczenie.

Jest późne popołudnie, ona od dwunastej w nocy pod stałą presją sfałszowanych kooperantów, przestępstw bogacącej się firmy, niekonwencjonalnych zachowań i stałego napięcia po brawurowej rozgrywce z Rysiem, materiałowcem.

W pierwszej chwili nie wierzyła własnemu... – bała się pomyśleć szczęściu, żeby nie zapeszyć. Udało się! Zdobyła kartę przetargową, w każdym razie kopie oryginalnego SAD – któryś tam, dotyczące następnej dostawy czegoś, co nie było ani pulpą, ani granulatem, chociaż tak widniało na fakturach i prawdziwa była waga.

Dlaczego Rottweiler podpisał odbiór osobiście, nie posłużył się głównym księgowym?

Księgowy mógł stanąć okoniem. To zawód, z kimś takim trzeba się liczyć znacznie bardziej niż z zastępczynią do spraw nie wiadomo jakich, plastyczką bez dyplomu, studentką wieczorowej szkoły zarządzania.

Nie przecenia zdobyczy. Rottweiler ma moźnych przyjaciół, z prawa, lewa i pośrodku, od liberałów po ekstremy, posiadaczy udziałów firmy Hermes Zoo. Jeśli poczuje zagrożenie, Bogna może mieć cały Zoolog, na karku. W czarnych interesach nie ma specjalnych względów nawet dla najbardziej atrakcyjnych kobiet. W wielkich interesach zaufani wspólnicy, koledzy, popełniają wyrefinowane samobójstwa, strzelając sobie w brzuch albo się topią razem z dokumentami innej tożsamości, bywa, przywdziewają habit bez składania ślubów zakonnych albo wieszają na prześcieradle w strzeżonej więziennej celi.

Nie kusić losu, wracać do domu, powielić glejt, kopię glejtu złożyć w skrytce bankowej, drugą u Magdaleny, pisemną rezygnację z pracy przesłać pocztą.

Ale co naprawdę przyjeżdża z Niemiec i Austrii pod szyldem doskonałych, najwyższej jakości surowców, dla kooperantów firmy z francuskim kapitałem założycielskim? Iść za ciosem! Powinna wiedzieć, dostawę jakiego towaru potwierdziła swoim podpisem.

Muszę zdobyć próbkę. Wtedy dopiero będzie remis.

Pod presją tej motywacji zdecydowała dotrzeć do pierwszego miejsca rozładunku. Tranzyt opuściła po angielsku, gdy skład przystanął przed pierwszym semaforem świecącym czerwono. Udało się. Koszta własne: uszkodzona nogawka spodni i otarte kolano. Przechodząc tory w niedozwolonych miejscach, nie natknęła się na straż ochrony kolei.

Ścieżką poniżej nasypu dotarła „o przystanku kolejowego. Ani w pobliżu, ani w polu widzenia żywego ducha, także w budynku z poczekalnią i kasą otwieraną na godzinę przez przyjazdem osobowego, na zewnątrz również ni człowieka, ni samochodu, ni roweru.

Na tablicy, informującej o miejscu postoju jedno – i dwuślądów, zapisany czerwoną, niezmywalną farbą numer telefonu komórkowego posiadacza, jak się miało okazać, jedynej taksówki w osadzie.

– Do Kaliny na postój przy dworcu kolejowym – na wszelki wypadek dzwoni z aparatu wyłudzonego Rysiowi. Swoją wyłączyła i przyrzekła sobie ożywić go dopiero po powrocie do domu.

– ...kawał drogi – wzdycha ostatni posiadacz taryfy, z zapadłej w recesyjny letarg osady. – Zapłaci pani za kurs powrotny, jeśli nie trafi się stamtąd pasażer? – on wie, że się nie trafi.

Bogna przyrzeka.

– ... u nas strukturalne bezrobocie. Pracę mają tylko kolejarze, ksiądz i grabarz. Nawet gdy stary organista umarł, proboszcz następcy nie zaangażował. Muzyka w kościele z playbacku...

Kalina. Parking.

Bogna wysiada pod stacją, płaci podwójny wskaźnik licznika i dokłada górkę. Najprędzej jak może rozlicza się z parkingowym w zabytkowej kolejarzkiej rogatywce.

Kiedy skręciła na szosę, ukryta w mitsubishi pajero, przebrany za schludną przeciętność, poczuła ulgę. Najbardziej uwierała świadomość możliwości spotkania z zawiadowcą stacji, którego pomoc przesądziła o szansie Bogny. Powtórne spotkanie, w niespełna dwie godziny później, mogłoby wzbudzić podejrzenie, że został użyty niekoniecznie w dobrej sprawie, bo niby co znowu robi na jego terenie ta bezradna kobieta, w niewiele czasu po przedranych łzach?

Kiedy będzie po wszystkim – cokolwiek to znaczy – przyjadę tutaj z upominkiem i podziękuję, postanawia. Nie przychodzi jej na myśl, że nawet nie zna jego imienia.

Znowu na szosie.

Teraz jednak nie ściga żadnego pociągu, tylko musi ustalić w jakiej odległości zdąża

tranzyt, żeby go nie wyprzedzić i nie dogonić samochodu Rysia.

Jest jeszcze taka ewentualność, że Rysio złamał jej zakaz i telefonował do centrali. Ich ruch! Jaki? Przede wszystkim pozbyć się możliwie najprędzej zawartości transportu. Nie da się jednak tego porzucić gdzieś przy drodze czy zepchnąć z nasypu. A zatem ładunek musi jechać dalej do miejsc przeznaczenia.

Szosa znów przybliżyła się do torów. Kolejna stacja.

– Dzień dobry. Czy transport kontenerowy numer... już przejechał?

– Dobry. Dobry. Tajemnica służbowa. A po co jej wiedzieć, a?

– Chciałam podać gościńca dla... babki.

Ten rodzaj przysługi jest tutaj przyjęty od bardzo, bardzo dawna, być może powstał wraz z pierwszym odcinkiem szyn, które legły na szpalach. Nikogo nie dziwi ani nie gorszy. Ot, zwyczajne, ludzkie wsparcie, czasem nawet jedyny ratunek. Znajomi i znajomi znajomych załóg pociągów mają krewnych i powinowatych wzdłuż trasy. Świadczą drobne uprzejmości, udogodnienia, biorą lekarstwa, paczki, pieniądze i przekazują odbiorcom oczekującym na innych peronach. I kto słyszał, żeby szewc bez butów chodził, a tutejsi, mający w rodzinie kolejarza, korzystali z poczty?

To nawet nie wypada!

Bogna, dziecko tej ziemi, znała ów zwyczaj od zawsze. I chociaż zmieniło się prawie wszystko, zwyczaj przetrwał i nie zdziwił siwego zawiadowcy.

– Ot, spóźniła, będzie ze cztery i pół godziny jak odprawił, a dokładnie cztery i trzy kwadransy.

Na kilka kilometrów przed Brzozowem skręciła w boczną drogę, dalej opuściła szuter dla leśnego traktu, tak dotarła do miejsca z widokiem na tory manewrowe, najbliżej jak pozwalał instynkt samozachowawczy. Samochód pozostawiła na przecince, sama zapadła na skraju jałowcowej otuliny w kępę wysokich krzewów, pieniających się na przedpiersiu wysokopiennego lasu. Kłudy ze wszystkich stron, ale jakoś wywalczyła sobie miejsce. Teraz z blokiem rysunkowym-atrapą, pudełkiem pasteli i naprędce nakreślonymi szkicami rudych pni w zielonych wiechach żałowała, że nie przyszło jej na myśl zaopatrzyć się w lornetkę.

Kiedy dotarła do punktu, skąd mogła obserwować, na torach manewrowych już trwał wyładunek. I nadal podjeżdżał, odjeżdżał i znowu nawracał w miarę zwyczajny transport, przemieszany z egzotycznym sprzężajem, a po srebrzystej płaszczyźnie ukośnie opuszczonego boku ostatniego kontenera, sunęły czarne worki.

Ta lepsza, ładowniejsza lokomocja kierowała się za przejazd kolejowy, egzotyka przewozowa ciągnęła w stronę leśnej drogi, leżącej we względnie bezpiecznej odległości od

jałowców Bogny. Winszowała sobie przezorności. Nie zostawiła samochodu na leśnym trakcie, tylko dalej, gdzie odziomki i korzenie po ściętej papierówce, uniemożliwiały ruch kołowy.

Zadrzemała.

Męcząca ułuda. Prowadzi samochód. Monotonna, prosta szosa aż po horyzont. Co jest za nim? Jak dym snuje się myśl: Rottweiler ją, Bognę, od samego początku hodował na to szczególne zastępstwo, wicedyrektorowanie. Może tylko dlatego w ogóle ją przyjęto. Miała numer osiemdziesiąty któryś. Z tej blisko setki ją uznał za największego kołka...

– ... Boże, Boże! – w majaki wplótł się gwałtownie kobiecy głos. – Czy tam jeszcze jesteś na niebie, ja już nie mogę, nie mam siyyył!

Bogna ze swojego półsnu jeszcze niezupełnie przytomna, z blokiem rysunkowym jak z tarczą, wyrywa się z kłujących objęć jałowców.

O rzut kamieniem, na początku leśnej drogi stoi okulawiony niski wózek, dwie deski na żelaznych kółkach, jedno z nich odchylone od osi zacięło w swoim obrocie i na tę stronę przesunął ładunek. Dwa czarne worki nałożone jeden na drugi. Dolny worek zaczyna broczyć cienką strużką żwirowatej substancji.

– Kurna! – cedzi przez zęby wyrostek. – Nie płaczcie, babko, zostańcie. Spocznijcie. Skoczę do domu po przybór i naprawię.

– Mam narzędzia, zaraz przyniosę – Bogna nie chce pamiętać, że powinna trwać w ukryciu, biegnie do samochodu i niesie zestaw narzędzi prostych, o czym nawet nie pomyślała, zamawiając auto, i ciepło myśli o przedsiębiorcy z trójkąta bermudzkiego, który zadbał, a także poinformował ją o kompletnym wyposażeniu, jakie może być potrzebne człowiekowi w drodze.

– Worek się rozdarł – zauważa babka i znowu płacze. Już nie zawodzi. Płyną ciche łzy śmiertelnie udręczonego człowieka. – Za bezdurno będziemy się męczyć. Za potargany konus nie zapłaci.

– Babko, łaty jego nie obchodzą, aby tylko po drodze nie śmieciło, mamy taśmę, dziurę się zalepi i wyjdziemy na swoje.

Babka skrajem spódnicy oczyszcza brzegi uszkodzenia. Bognie przykro, że nie może zawieźć im tych worków. Bardzo możliwe, że w miejscu, dokąd je dostarczają, nad wyładunkiem czuwa wrogie niewiadome.

Babka, suchą gałęzią podjętą z podszytu, zagarnia uroniony z worka kopczyk, miesza wraz z miałkim podłożem leśnej drogi. Wierzchnia warstwa zmielona na proch przez ciężki sprzęt wywozący ścięte już nie drzewa, a drewno, jest płytka. Pod nią zawężlona korzeniami

twarda opoka. Na koniec wybiera z pyłu szarawe grudy, które wyraźnie różnią się fakturą od leśnego traktu i zagrzebuje w opadłe, rude igliwie pod najniższym okółkiem rozłożystego świerka.

– Trutka – wraca pokaszując. – Najgorsze wysypywanie, niby to granowane, ale kurzy się jak we młynie. Maski narządziłam z gazy we czworo złożonej, każdy coś sobie przysposobił, żeby nie dusiło. Zdrowiej.

– Byście, babko, mniej gadali, byłoby zdrowiej – ponuro napomina chłopak.

Bogna bierze z rąk starej kobiety taśmę i starannie zakleja uszkodzenie.

– ... mnie za jedno, na co, za parę lat i tak i tak umrę, czy się struję, czy inaczej. Tylko dzieci szkoda, a sama nie uradzę. To co mam robić?! Jak nam do grzbietów brzuchy przyrastają, a jagód ni grzybów jeszcze w lesie nie ma?... Trzeci raz obracamy, byłoby prawie czterdzieści złotych...

– Czterdzieści i osiemdziesiąt groszy, z wysypem – poprawia chłopiec. – Po cztery osiemdziesiąt od worka i po dwa złote za wysypanie.

– A gdzie sypiecie, jeśli to niezdrowe?

– Bogatsi z ciągnikami, samochodami do wyrobiska po żwirowni, tam lepsza droga dla nich za przejazdem. Mniejsi, tacy jak my, wypełniamy glinianki. Obiecują jakoweś sponsory: nasypie się tego nawozu, przykryje ziemią, zasieje trawę i posadzi las. Znowu będziemy mieć zarobek przy rekultywacji i zalesianiu.

– Uprzedzono was, co wozicie?

– Ale tam! Wszystko, szyto-kryto. Sami rozumiemy, my nie w ciemną bici.

– Byście mniej gadali, babko – znów ponuro wtrąca się wyrostek, tonem starego, doświadczonego człowieka.

– Ja wam nie wróg – zachnęła się Bogna. – Urodziłam się nad Hańczę – dodaje, chociaż wcale nie miała zamiaru tego powiedzieć.

Śpiewna mowa tutejsza, wprawdzie już stłumiona przez radio, telewizję, daje jednak o sobie znać swoją niepowtarzalną melodią, miękkością, czasem słowem dawnym, tutejszym i tylko tutaj mającym takie, nie inne znaczenie. Nagle Bogna silnie odczuwa, że jest stąd. To jej ziemia najbardziej ojczysta.

– ... dzieci po świecie. Najmłodszy został, ale jak go z roboty przy kolei szurnęli, zgasł. I pootoczyło się! Pije. Ja już się żadnego piekła po śmierci nie boję. Moje piekło tutaj... Powiedziałam synowej, ona w Belgii prasuje odzienie i bieliznę ludziom, to powiedziałam, kładź zarobek do banku w Belgii, bo jak synowi ręce zaczynają dygotać, mogłabym nie zdzierżyć i ubiednić z książeczki, jakby była blisko. Bo wnukom to ja od ust

nie odejmę, żeby synowi na picie dać...

– Mój brat za młody jeszcze do takiej jak ta roboty – usprawiedliwia chłopiec.

– ... i w tej Belgii oszczędności pewniejsze. A u nas nigdy nic nie wiadomo. Albo nieważne jak przedwojenne, chociaż i ze srebra niektóre były, albo szachrajska wymiana jak po wojnie, albo już takie poníženie pieniądza, że byle parob był milionerem albo inakszy czort, ale zawsze przeciw biednemu człowiekowi...

– Babko! Narządzone.

– Daj ci Boże szczęście za pomoc – żegna Bognę stara kobieta.

27.

– ... Bogna, potrzebujesz pomocy, gdzie jesteś? – Inżynier jest zaskoczony, przede wszystkim faktem, że ona telefonuje właśnie do niego.

– Statystuję w filmie typu: droga. Zresztą nieważne. Mam pilną sprawę do chemika, a z chemików znam, niestety, tylko ciebie.

– Dlaczego: niestety?!

– Za długo by mówić.

– Nie pokazuj się w centrali. Rottweiler zawiadomił ścisły zespół kierowniczy o twojej nielojalności, bez wyjaśnienia w czym rzecz. Werdykt brzmi: zwolnienie natychmiastowe. Karne. Bez odpawy. Za usiłowanie zepsucia wizerunku firmy.

– Ten wizerunek nigdy nie miał twarzy, jedynie otwór gębowy czyli szmalochłon.

– Snują się domysły, że tobie się coś przytrafiło i ludzie nie wierzą w przypadek. Podobno z pola widzenia znikł także Tatus.

– Dlaczego także?

– Tak mi się powiedziało.

– Łączą moją nieobecność z dematerializacją Tatusia?

– Taka sugestia do mnie nie dotarła.

– Dziękuję za uprzedzenie, ale pilnie potrzebuję chemika, zdecydujesz się?

– Jestem do dyspozycji.

– Możesz być zaraz w kawiarni przy Nowym Świecie?

– Postaram się. Tylko weź pod uwagę odległość z Izabelina.

Bogna odprawiła taksówkę i przystanąła w bramie prowadzącej do pasażu po

przeciwnej stronie salonu Warszawy, skąd mogła widzieć interesujący ją lokal.

Chociaż uważała inżyniera za najprzyzwoitszego faceta z kierownictwa całej firmy, nie dowierzała już nikomu stamtąd. I z dużą rezerwą odebrała jego przyjazny odruch.

We wdzięcznej pamięci zachowała starą kobietę, której z rozdartego worka usypał się surowiec transportowany w szczelnych opakowaniach za hermetycznie zamykanymi drzwiami nierdzewnych kontenerów, do jakich nie potrafili dostać się nawet niezwyčajni złodzieje kolejowi, notorycznie operujący na tej linii.

Traf, okoliczność, zrządzenie losu, przypadek? Oszczędziły Bognie ryzykownej wędrówki nocą nad wyrobisko po żwirowni albo nad glinianki, które prawdopodobnie zaraz po wyładunku przykrywano przynajmniej cienką warstwą ziemi, chociaż nie jest to takie pewne.

Spod falbany rozłożystego świerka wygarnęła kilka szarawych grud, rozdzieliła i zamknęła w trzech kupionych po drodze szklanych słoikach. Okruchy złowrogiej substancji widoczne poza osłoną gałęzi zamiotła pod okółek iglastą łapką. Pozostałe na miłkim piasku faliste smugi przypominały ślad pełzającego węża. Noc przespała na strzeżonym parkingu zamknięta w terenówce, o świcie ruszyła dalej. Koło swojego domu nawet blisko nie przejechała. Najpierw jeden pojemnik z próbką zamknęła w skrytce bankowej, drugi przywiozła do Magdaleny.

– Nie musi stać w lodówce – zapewniła.

– Świerzb, syf i malaria! To może być jadowite, może promieniować, wiesz? – Magdalena przyjęła dowody przyjaciółki jak dopust boży.

– Przejrzyj pisma dla pań, tam z pewnością znajdziesz przepis, jak przechowywać właściwie pierwiastki radioaktywne w warunkach domowych – poradziła Bogna i zasnęła na dwadzieścia godzin.

Z trzecim słoikiem przystanęła teraz w głębi bramy naprzeciwko kawiarni słynnej firmy cukierniczej, która jedna z niewielu podniosła się po totalnej zagładzie miasta i przetrwała doświadczenia handlowe socrealu.

Inżynier nadszedł od strony Alej Jerozolimskich. Był sam. Bogna odczekała chwilę i weszła do lokalu.

– No więc jestem, niestety chemik! Skąd ten przyptyw zaufania?

– Przemysłałam sprawę na parkingu za Sokółką w drodze powrotnej, kiedy ze zmęczenia nie mogłam już ani prowadzić wozu, ani spać. Fakty przemawiają na twoją korzyść: Ty przyjmowałeś i kwitowałeś wyłącznie francuskie transporty, a one nigdy nie zniknęły, ani nie traciły na wadze i nie ginęły z dnia na dzień w wirtualnej rzeczywistości.

Zatem jesteś wprawdzie oportunistą, ale raczej nieskorumpowanym fachowcem. Najwyżej odmówisz, ale nie polecisz z donosem, że cię o ekspertyzę prosiłam.

– Dziewczyno! Żądasz przysługi mogącej kosztować mnie znakomite miejsce pracy i wymyślasz od oportunistów! Nie nadajesz się do dyplomacji. Tam nie zagrzałybyś miejsca nawet tyle, ile w Zoo-logu. Mam nadzieję, że się w nim nie pokazałaś?

– Oczywiście nie, i tak za nic bym tam nie poszła, ale podbudowało mnie twoje ostrzeżenie. Już prawie dwóch sprawiedliwych w Sodomie. Może jest nas nawet więcej, lecz tak się kamuflujemy, ze strachu przed redukcją, że nie możemy się rozpoznać.

– Byłem przekonany, że ty grasz w tej orkiestrze.

– I spokojnie przyjmowałaś do wiadomości, doskonale się orientując, co oni wożą dla tak zwanych podwykonawców?

– Niedokładnie. Myślałem, że to lewy surowiec... No cóż, rozwój Zoo-logu nie jest szczególnym wybrykiem natury raczkującego kapitalizmu, może tylko zbyt nachalny i niecierpliwy. Podejrzywałem przewały, ale to nie moje barany. Odpowiadam za wytwórnę, prowadzę ją dobrze. Nie jestem policjantem ani świętym z Asyżu... Cóż, wiadomo, pierwszy milion trzeba ukraść...

– Dwa.

– Nie rozumiem?

– Należy brać pod uwagę inflację.

– Później już można być w miarę przyzwoitym, nawet uczciwym, dawać na ubogich, niedołączonych, co ukraść w porę nie potrafili albo jeszcze gorzej, mieli skrupuły, i w ogóle słabszych.

– Przykre, że tak spokojnie o tym mówisz.

– Płacę podatki, za które oczekuję od państwa rzetelnej obsługi, co oznacza także posyłanie takich biznesmenów tam, gdzie ich miejsce. Ale niestety tacy biznesmeni psują państwo i błędne koło wiruje dalej.

– Nie wierzysz w sprawiedliwość?

– To nie dziedzina wiary, tylko wszechogarniającej korupcji. Ja nie jestem od naprawiania, ale zbadam to świństwo i podpiszę ekspertyzę, żeby założyć munsztuk szambogryzowi, inaczej może zniszczyć nas wszystkich Jego Wielmożność Śmieć.

– Przepraszam za tego: niestety, chemika.

– Bogna, dla jasności. Nie jestem facetem od żadnej Samossierry, Olszynki Grochowskiej, czy Wału Pomorskiego. Ja na tym nie stracę. Jeśli rozwali się Zoo-log, sklecony z przekrętów, tupetu, zwykłego złodziejstwa i korupcji, dogadam się z Francuzem.

Znam się na tym, co robię. Daleko mi do pałaców, ale firma z pewnością nie będzie oparta na śmieciach z importu.

* * *

Z prasy:... w Brzozowie, miejscowości położonej przy linii kolejowej odkryto silnie toksyczne odpady przemysłowe, import z zagranicy, składowany... Władze kolejowe, przedstawiciele leśnictwa, ani mieszkańcy nie zauważyli przewozu, czy rozładunków budzących podejrzenia... śledztwo prowadzi prokuratura wojewódzka.

Z prasy:...Dyrektor generalny Hermes Zoo wydaje bal w związku z zainstalowaniem nowej linii technologicznej, przy której znajdzie zatrudnienie... Zaproszeni zostali przedstawiciele parlamentu, członkowie gabinetu, ludzie biznesu...

Z prasy:...odkryto dalsze miejsca składowania toksycznych odpadów importowanych z zagranicy jako surowiec produkcyjny najwyższej jakości...

Z prasy:...w pobliżu miejsc skażonych toksycznymi odpadami demonstrują Zieloni... była metoda w tym szaleństwie. Toksycznymi śmieciami z importu rekultywowano wyrobiska po nieczynnych żwirowniach, gliniankach, zamierających akwenach, położonych w pobliżu linii kolejowej...

Z wywiadu telewizyjnego – rozmowa z wójtem:

– ... my tu postawiliśmy na zdrową żywność i w ogóle ekologię! Gospodarstwa ekologiczne, turystykę... nic nam nie wiadomo o składowaniu odpadów, to są jakieś dzikie wysypiska, śmieciarskie dziuple, to sabotowanie naszych planów!

– ...to jest niewyobrażalny sabotaż – wypowiadał się do mikrofonu wójt innej miejscowości...

– ... ktoś nam ewidentnie podłożył świnię, niewykluczeni przeciwnicy polityczni – grzmiał do mikrofonu unisono samorząd jeszcze innej osady. Nikt z nich nie miał pojęcia o nieczym procederze, nie wydawano żadnych zezwoleń. W życiu! Mafia, nieznani aferzyści, siła nieczysta...

Z wywiadu telewizyjnego:

– ... cztery osiemdziesiąt od worka, worek pięćdziesiąt kilo, i dwa złote za wysypanie...

- A co z pustym workiem?
- Też na wysypisko... lżej było doczekać zbioru grzybów i jagód...
- Nie przyszło wam na myśl, że one będą zatrute?
- Słodki czyli jadalny grzyb nie urośnie na jadowitej ziemi...

Na życzenie osoby udzielającej wywiadu jej głos i wygląd zostały zniekształcone.

Wieczorne wiadomości podały: Generalny dyrektor firmy Hermes Zoo, został, na wniosek władz skarbowych, zawrócony przez służby przy próbie przekroczenia granicy państwa na warszawskim Okęciu.

SŁOWO OD JOANNY CHMIELEWSKIEJ

Nieszczęściem Heleny Sekuły okazało się nazwisko.

Nie znam się na polityce i pojęcia nie mam, dlaczego niejaki Ireneusz Sekuła był bardzo źle widziany przez społeczeństwo, wiem natomiast na pewno, że z Heleną Sekułą nie miał nic wspólnego. W niewłaściwym momencie pojawiła się ta zbieżność nazwisk i Helena Sekuła przestraszyła wydawców.

Równie dobrze mogłoby się okazać, że jakiś tam Sebastian Chmielewski jest szpiegiem międzynarodowym, handlarzem narkotykami, względnie wielokrotnym mordercą albo, jeszcze gorzej, kandydatem na prezydenta i zostałabym posądzona o związki z nim rodzinne. Syn...? Brat...? Mąż...?!

Mąż najgorzej. Syna i brata człowiek nie wybiera, męża owszem. I co niby miałabym zrobić? Zmienić pseudonim? Przestać pisać?

W wyniku takiego właśnie nieporozumienia nigdy nie zostały wznowione trzy ostatnie książki Heleny Sekuły: „Demon z bagiennego boru”, „Barakuda” i „Siedem domów Kuny”. W całej plejadzie naszych kryminałów wyróżniały się wystrzałowo, szczególnie ostatnia, zahaczająca o zmiany ustrojowe. Następna, „Pierścień kalifa”, leci już po zmianach obyczajowych, nie unikając przestępczości, kolejna, niniejsza, stanowi przepiękny przykład tego czegoś, co u nas nastąpiło, a co zgoła trudno nazwać. Demoralizacja...? Luki prawne...? Kretynstwo wymiaru sprawiedliwości...? Świństwo ogólne...?

W fenomenalny sposób Helena Sekuła potrafiła połączyć sytuację kobiety atawistycznie głupiej z ową przestępczością ogólną, zarazem pokazując równie atawistyczną

dzielność i mądrość tejże samej kobiety. Książka pisana nie dla ówków, pełna znakomitych skrótów myślowych, metafor, pochłaniająca chęcią sprawdzenia, co dalej! Da ona sobie radę, czy nie, okaże się człowiekiem, czy kurą, wyjdzie z impasu, czy się ugnie...?

Czytałam do czwartej nad ranem. A wy, Szanowne Społeczeństwo, róbcie sobie co chcecie.

J. Ch.